

Uc. II 1
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 155.

[BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

3. 1879.]

2 *masz*

SERYA V.

Lipiec.

TOM III. — ZESZYT VII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główny w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 422 —

Ukończono druk dnia 3 lipca 1879 roku.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 155.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

— 00 —

Tom trzeci.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1879.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Июня 1879 года.

SPRAWOZDANIE

Z KONKURSU OGŁOSZONEGO W ZESZYCIE LUTOWYM Z R. 1878 BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, A W ZESZYCIE GRUDNIOWYM 1878 R. PONOWIONEGO.

Ponieważ na temat w powyższem ogłoszeniu konkursowem rozwinięty, a mający za treść przedstawienie obrazu obywatela wieku społecznego, złożoną została *jedna* tylko rozprawa; gdy nadto objawione zostały piśmienne życzenia, ażeby z powodu ważności przedmiotu przedłużonym został termin konkursu: przeto redakcja *Biblioteki Warszawskiej* rozprawę otrzymaną pozostawiła bez rozpoznania, a konkurs uważając za otwarty, termin jego odracza do dnia włącznie 30 grudnia 1880 roku, dając tym sposobem możność nietylko wykończenia prac swych autorom, którzy te już pozaczynali, ale i innym, którzyby mieli chęć przystąpić obecnie do konkursu.

W końcu redakcja nadmienienia, że autor rozprawy nadesłanej na niedoszły do skutku konkurs, a znajdującęj się w biurze redakcyi od miesiąca maja r. b., stosownie do życzenia, może albo za udowodnieniem zażądać jej zwrotu, jeśliby pragnął w niej jakie zaprowadzić zmiany, albo ją do powyżej oznaczonego terminu w biurze redakcyi pozostawić.

Warunki konkursu pod każdym innym względem pozostają bez zmiany, a mianowicie:

KONKURS

Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Dzieje umysłowe narodu naszego przedstawiają ten fakt, godny uwagi, że począwszy od wyraźniejszej fizyognomii piśmiennictwa, każde stulecie zdobywa się na wzory, kreślące obowiązki człowieka i obywatela, zawsze z jednej prawdy moralnej wypływające, ale do pojęć, zadań i potrzeb stosowane. I tak w wieku XVI *Żywotem poczciwego człowieka* Rej inauguruje etykę narodową. W wieku XVII Skarga, karcąc zboczenia od wielkich zasad w *Kazaniach sejmowych*, a więc w samej krytyce ujawniając swe postułały, co do stron dodatnich, za przykład ziomkom stawia *Żywoty Świętych*. W wieku XVIII mniej wzniosły, ale zawsze sympatyczny wzór podaje Krasicki w *Podstolim*, oraz w *Życiach zacnych mężów z Plutarcha*.

Wzory te uznane zostały przez społeczność i spopularyzowały się pośród niej dlatego, że nie były płodem fantazyi, formułą abstrakcyjną

i arbitralną, ani echem żywiołów obcych, ale podsłuchane i troskliwie przez myślicieli utalentowanych zebrane ze zdań i pragnień zdrowej części narodu, stały się niejako jej wyrazem, treścią myśli i natchnień, uczuwanych przez wszystkich, ale przez nikogo jeszcze nie wypowiedzianych. Myśli te i natchnienia, stopione w jedność i uklassyfikowane przez jednostkę, wyrażającą w ten sposób sumienie ogółu, prawnie uchodzić mogły za drogowskaz dla pokoleń, objętych sferą położenia i warunków społecznych, słowem za ideał wieku.

Przy zmianie sfery tej, drogowskaz i przewodnik taki, nie przystając we wszystkich punktach do wyobrażeń i położeń, których w biegu historii przewidzieć nie mógł, staje się z czasem niedostatecznym. Przychodzą nowe warunki, a z nimi nowe zapatrywania, nowe potrzeby i nowe obowiązki. Wiek XIX, choćby dla utrzymania tradycji myślicielskiej, potrzebuje rozpatrzeć się w swych warunkach samodzielnie, podsłuchać nanowo, uchylić zasłonę z sumienia ogółu i postawić wzór nowy, ideał miejscowy wieku.

Takie z pośród grona myślicieli i talentów krajowych, pragnąc wywołać dzieło, łączność pewną z kilku powyżej wymienionemi stanowiące,

Redakcja Bibl. Warsz. ogłasza w tym celu konkurs,

którego premium przeznaczoném będzie za dzieło nie względnie najlepsze z pomiędzy nadesłanych, ale za takie, któreby tak myślał jak i obrobieniem, stosownie do swego zadania i wieku, mogło stanąć bez zawstydzenia obok swych pierwowzorów.

Pożądaném jest, aby dzieło proponowane opierało się na podstawie dziejów, głównie naszego narodu, oraz innych społeczeństw i aby czerpane z historii fakta i wnioski, jasno zasadniczą myśl konkursu uwydatniały.

Dla bliższego objaśnienia dążności dzieła konkursowego dodajemy, że wyborem odpowiednich typów lub faktów z historii ma kierować nie tylko idea obowiązków obywatelskich w warunkach normalnego rozwoju i potęgi, ale także i zadań, które mogą i powinny być urzeczywistnione przez wszystkich członków społeczeństwa w każdym położeniu i okolicznościach życia: publicznego, prywatnego i stosunków rodzinnych.

Słowem, praca konkursowa objąć powinna wykład obowiązków potrzeb i zadań obywatela społecznego w kraju naszym, ku czemu naukę i przykłady dostarczyć ma historia.

Pierwszeństwo w przyznaniu nagrody, oprócz żywotności w treści, pełności w zjawiskach, powagi i spokoju w ujęciu przedmiotu, zależy będzie od doskonałości formy zewnętrznej, rozumiejąc przez nią wdzięk, wytworność stylu, poprawność języka, czytelniczą dostępność i t. d.

Nagroda konkursowa wynosi zł. pol. 5,000, czyli rs. 750.

Termin złożenia prac oznacza się na dzień 1 maja 1879 r. Autorowie prace swe nadsyłać mają opatrzone godłem, dowolnie obraném, które stać będzie i na kopercie zapieczętowanej, zawierającej wewnątrz imię i nazwisko autora, ze wskazaniem miejsca pobytu.

Rękopis nagrodzony, pozostaje własnością autora, który obowiązany ogłosić go drukiem w ciągu roku, po przyznaniu nagrody. Gdyby zaś tego nie uczynił, Redakcyja *Biblioteki Warszawskiej* wydać może dzieło uwiecznione na swoją korzyść.

NOWY KONKURS

Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Niezależnie od powyżej wyszczególnionego przedmiotu, redakcyja *Biblioteki Warszawskiej* ogłasza nowy i osobny konkurs na napisanie dzieła p. t.:

Historya języka polskiego.

Lubo redakcyja pozostawia piszącym zupełną swobodę pod względem użycia metody i sposobu rozwinięcia przedmiotu, uznaje wszelako za rzecz dla porozumienia się pożyteczną, wskazać w niektórych punktach głównych zakres i ducha dzieła mającego się przez konkurs obecnym wywołać, nie stawiając bynajmniej przez to własnego programu, ale zaznaczając tylko swój sposób zapytywania się na niektóre żywioły przedmiotu. A zatem:

Język polski w rodzinie języków aryjskich; wspólność z niemi pierwiastków wyrazowych oraz ustroju organicznego; stanowisko wśród języków pokrewnych i pogląd porównawczy.

Zabytki z czasów przedhistorycznych; wzmianki u obcych którzy ludy słowiańskie wyprzedzili na drodze cywilizacyi; odrębność pod względem językowym rozmaitych grup słowiańskich, a w pośród nich języka polskiego, oraz zbliżenie jego do narzeczy czeskich, łużyckich i innych plemion zaginionych a żyjących niegdyś nad niższą Łabą.

Stosunek języka polskiego do języka najdawniejszych pomników piśmiennych u plemion mieszkających na południu wschodzie Słowiańszczyzny, czyli do tak zwanego języka bułgarsko-cerkiewnego; okoliczności i przyczyny powodujące że język ten mógł lub nie mógł być początkiem i wzorem dla kształtowania się języka polskiego.

Wpływ dziejów na kształcenie się języka polskiego i ustalenie jego form; alfabet łaciński, jako początek niewzruszonych zasad grafiki

polskiej; szczegółowy rozwój tejże grafiki, zwłaszcza od wprowadzenia do pisma naszego *joty*, w zakresie jaki jej deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk oszacowała; ocenienie projektu rozszerzenia tego zakresu do wyrazów przejętych z łaciny; krytyka motywowana projektów reform co do grafiki polskiej.

Wpływ łaciny, oraz stosunków z innymi narodami (Niemcy, Włochy, Francya, Słowiańszczyzna, daleki Wschód), jak niemniej reformy religijnej na wyrabianie się języka polskiego w piśmiennictwie i w mowie potocznej. Skażenia językowe.

Wpływ ustaw państwowych i życia społecznego na rozwój języka w rozmaitych kierunkach: naukowym, prawniczym, krasomówczym i poetyckim.

Twórczość samodzielna ludu; różnica narzeczy prowincjonalnych (wielkopolskie, małopolskie, mazurskie); przyczyny dla których jeden dyalekt przeważał w języku piśmiennym.

Zmiany zaszczytu z postępem czasu w znaczeniu i użyciu wielu wyrazów.

Krytyka badań nowoczesnej lingwistyki, ograniczającej się wyłącznie do samej morfologii, a nie uwzględniającej różnicy zachodzącej pomiędzy składnią języka polskiego urobioną na wzorach przeważnie łacińskich, a składnią innych języków słowiańskich.

Liczba przybliżona wyrazów wchodzących w skład języka polskiego, używanych powszechnie, w porównaniu do innych słowiańskich, oraz główniejszych zachodnich.

Bibliografia odnosząca się do badań języka polskiego.

W oznaczeniu powyższych punktów, redakcyja *Biblioteki Warszawskiej* nie przesądza ani zdania autorów, ani metody i porządku wykładu, pragnie tylko ażeby w dziele były stosownie uwzględnione.

Termin do składania rękopisów, pod adresem redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* oznacza się wyłącznie do dnia 30 czerwca 1881 r. Rękopisy powinny być bezimienne, a tylko oznaczone dewizą, która powtórzyć się ma i na kopercie listu zawierającego nazwisko autora, właściwe lub przybraue.

Nagroda konkursowa, w ilości rubli siedmset pięćdziesiąt przysnaną będzie pracy odpowiadającej warunkom nauki i krytyki dzisiejszej, a najlepszej z pomiędzy złożonych na konkurs. Autor pracy nagrodzonej pozostaje właścicielem rękopisu, zobowiązuje się tylko wydrukować go w ciągu roku jednego, czego gdyby nie uczynił, redakcyja *Biblioteki Warszawskiej* wydać może dzieło uwiecznione na swojej korzyść.

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

Cukier był przez długi szereg wieków wyłącznym produktem stref gorących. Wydobywany z trzciny cukrowej i przywożony do Europy w stanie surowym, do użycia jeszcze nieprzydatnym, a więc po-
czytywanym za materiał surowy (*matière première*), wytworzył był we Francyi, w Holandyi i w Anglii oddzielną gałąź przemysłu, mającą za cel oczyszczanie tegoż materiału i przerabianie na pokarm w fabrykach *rafineryjami* zwanych. Ta gałąź przemysłu musiała być już w wieku XVII znacznego nabrać rozwoju, skoro w roku 1680 ustanowiono we Francyi podatek od cukru surowego, pochodzącego z kolonii, a nawet dekretem rady stanu króla z roku 1684 zabroniono rafinowania cukru na wyspach uprawiających trzcinę cukrową i protekcyja dla rafinerji francuzkich tym zakazem zapewniona, przestała istnieć dopiero z końcem wieku XVIII ¹⁾. Sprowadzano zaś do Europy znaczną już ilość cukru surowego, skoro w jednej kolonii francuzkiej (*St. Domingue*) istniało w końcu zeszłego wieku 792 cukrowni, które dostarczały były do rafinerji francuzkich po sto milionów kilogramów rocznie tego produktu ²⁾.

Cukier, z tak odległych stron sprowadzany, a w rafinerjach krajowych przerabiany na pokarm, był niewątpliwie przedmiotem zbyt-
kowanym, dla ogółu niedostępnym, skoro jeszcze w roku 1811 kilogram kosztował we Francyi 12 franków ³⁾.

Rozpowszechnienie użycia cukru i jego dzisiejszą taniość zawdzię-
czać przychodzi i nauce i polityce zarazem. W połowie wieku XVIII pruski chemik Margraff uczynił był ważne odkrycie, iż cukier stanowi jedną z części składowych buraka i może być z tej rośliny otrzymywanym. To odkrycie, udoskonalone przez innego uczonego berlińskiego Acharrda, zwróciło uwagę cesarza Napoleona I, prowadzącego wówczas

1) *Le Pelletier de Saint-Remy. Le Questionnaire de la question des sucres*, 2 éd. Paris 1877, str. 41, przypisek 1.

2) Tamże, str. 94.

3) *Etude sur les tarifs de douanes et sur les traités de commerce par M. Amé*, Conseiller d'Etat, Directeur général des douanes. Paris 1876. Tom II, str. 103.



bój z Anglią i pragnącego pozbawić ją przewagi handlowej, zwłaszcza na morzach. Chcąc przeto odjąć angielskiej marynarce handlowej jeden z główniejszych przedmiotów przewozu (*de fret*) i dojść do tego, iżby Europa mogła się obejść bez jednego z najważniejszych produktów kolonii angielskich; Napoleon I dekretem z roku 1811 rozkazał oddać pod uprawę buraków 32,000 hektarów ziemi i jednocześnie ministrowi spraw wewnętrznych otworzył kredyt miliona franków, na zachęty i pomoce dla téj nowój gałęzi przemysłu.

Dzięki téj inicjatywie i tym pomocom i zachęcany owemi wysokimi cenami; przemysł fabrykacji cukru z buraków zaczął się w Francji szybko rozwijać.

Jakoż w chwili upadku pierwszego cesarstwa liczono już 200 fabryk, produkujących rocznie 3,400,000 kilogramów tak zwanego *piasku* czyli mączki cukrowej, cena zaś cukru rafinowanego spadła była z 12 na 3 franki za kilogram ¹⁾.

Fabrykacja cukru z buraków, do szerokiego w Europie doszedłszy rozwoju, zajmuje dziś poważne miejsce w ogólnej ekonomii Niemiec, Francji, Austrii, Belgii, Holandyi, Rosyi i Królestwa Polskiego. Dziś, już nie rafinerye cukru surowego z trzciny, dowożonego z kolonii (jak to miało miejsce w pierwszych dziesiątkach lat wieku bieżącego), ale fabryki cukru z buraków tworzą w każdym z tych krajów oddzielną gałąź przemysłu, zajmującą uwagę prawodawców i statystów. W jedynéj tylko Anglii z pomiędzy wielkich mocarstw europejskich, nie przestaje rafinerya poprzedniego zajmować stanowiska; Anglia więcéj niż każdy inny kraj sprowadza cukru surowego z kolonii i piasku z buraków, dla przerobu na swych 53 rafineryach i jest zawsze najgłówniejszém targowiskiem dla tego produktu. Naród angielski spożywa cukru więcéj niż każdy inny ²⁾, ale przemysłu cukrowniczego takiego, jaki dziś istnieje na stałym lądzie, zupełnie niéma; w Anglii bowiem jest tylko jedna fabryka cukru z buraków.

Przemysł rafineryjny na kontynencie zeszedł więc na drugi plan, od chwili zwłaszcza, gdy fabrykacja cukru z buraków została do tego stopnia udoskonaloną, iż sama wytwarza produkt, przydatny na pokarm i niewymagający rafinowania.

Jakoż wielkie ilości cukru, tak zwanego *pierwszego rzutu*, idą wprost na targi, jako towar, który w konsumcyi publicznej, zupełnie zastępuje cukier kolonialny i rafinowany ³⁾.

¹⁾ *Etude sur les tarifs de douanes et sur les traités de commerce* par M. Amé, Conseiller d'Etat, Directeur général des douanes. Paris, 1876 Tom II, str. 103.

²⁾ *De Saint-Remy loco citato*, str. 18. Konsumcyja cukru w roku 1876 wyniosła w Anglii 925 milionów kilogramów, co czyni na mieszkańca po 28 kilogramów rocznie (tamże str. 206). Kilogram=2 funtom, 42 zolot. i 40,⁵⁴ dol. rossyjskim.

³⁾ La plus grande merveille scientifique qui ait peut-être jamais ac-

Rozwój fabrykacyi cukru z buraków, jest dla każdego widocznym ¹⁾. Poświadczono w Wiedniu, podczas ostatniej wystawy powszechnej, iż w Niemczech, we Francyi, w Austrii, Belgii, Holandyi i w Imperyum Rossyjskiem istnieje około 1,700 fabryk cukru z buraków, które w kampanii 1870/71 wyrobiły 18,851,774 centnarów ²⁾.

Późniejsze obliczenia statystyczne wykazują, iż w r. 1877/8, produkcya cukru na kontynencie wyniosła dwadzieścia pięć milionów centnarów ³⁾. Obliczenia te wszakże, mogą być przyjmowanemi jedynie za punkt wyjścia, i tylko pod pewnemi względami służyć za podstawę do porównań; nie są bowiem prawdziwym wyrazem produkcji, nie podają cyfr z rzeczywistością zgodnych i nie prowadzą do wniosków pozytywniejszych. Cyfry stawiane przez statystyków zapożyczanemi są od władz fiskalnych, układających wykazy na podstawie norm podatkowych, norm od rzeczywistości bardzo dalekich i wszędzie fikcyjnych. Chcąc mieć rzeczywistą cyfrę produkcji cukru, należałoby jej szukać w księgach i kontrolach prowadzonych z osobna przez każdą fabrykę i zestawień sumę tych wszystkich obliczeń.

comple dans l'industrie, ç'a été la desinfection absolue du sucre de betterave non raffiné." *De Saint Remy, loco citato*, str. 27. „Par le procédé de la double carbonatation, le sucre de betterave de premier jet devient comestible comme le sucre de canne;" tamże str. 47.

¹⁾ Rafinerye zadaniem tego studyum nie są. Ilekroć przeto mówić będziemy o cukrze, odnosić się to będzie do wszelkich gatunków tego produktu, wyrabianych przez fabryki cukru z buraków, czyli do cukrów nierafinowanych.

²⁾ Francya 5,781,660, Niemcy 5,259,734, Austro-Węgry 3,645,600, Rossya 2,700,000, Belgia 1,114,780; Niderlandy z innemi krajami 350,000 por. Richard von Kaufmann. *Die Zucker-Industrie in ihrer Wirthschaftlichen und Steuerfiscalischen Bedeutung für die Staaten Europas. Ein Beitrag zum Verständniss der Zucker-Zoll und Steuer Frage*. Berlin 1878, str. 38. Centnar austr. = 136 funtom 72 zolot. i 25 dol. wagi rossyjskiej.

³⁾ Produkcya cukru z buraków, z czterech kampanii, wykazana jest jak następuje:

	r. 1874/5	r. 1875/6	r. 1876/7	r. 1877/8
Niemcy	5,014,164	6,932,914	5,824,077	7,100,000
Francya	9,017,540	9,245,180	4,865,900	6,500,000
Rossya	4,450,000	4,900,000	5,000,000	5,000,000
Austro-Węgry	2,803,839	3,602,769	4,105,335	4,700,000
Belgia	1,421,580	1,595,920	889,340	1,200,000
Niderlandy z innemi krajami	600,000	600,000	500,000	500,000
Razem centnarów	23,307,123	26,876,783	21,184,652	25,000,000
Czyli ton	1,165,356	1,343,839	1,059,233	1,250,000

Najbliższemi prawdy, są bezwątpienia wykazy układane w ces. biurze statystyczném w Berlinie. Bliskiemu rzeczywistości, pod względem produkcji cukru z buraków, są także wykazy formowane we Francyi, chociaż pozostawiają wiele do życzenia, ilekroć idzie o produkcję cukru rafinowanego, z materiałów surowych dowożonych z zagranicy. Cyfry podawane o produkcji cukru w Rosssyi i w Austrii nie zasługują na żadną wiarę.

Przyczyną téj niezgodności między rzeczywistością i statystyką, są wszędzie systemata podatkowe ¹⁾. Rzeczywista produkcya cukru na

(Dr. Richard von Kaufmann, *loco citato*, w przypisku do str. 38 na podstawie obliczeń F. O. Lichta). Tona = 1,000 kilogramom, 20 centnarom, 2,240 funtom angielskim, 2,481 funtom, 10 zoł. i 86,⁴ dol. wagi rossyjskiej.

¹⁾ Ponieważ w ciągu tego studjum znajdziemy sposobność dać rys zasad podatkowych, jakie istnieją w rzeczonych krajach, poprzestajemy więc w tém miejscu na zaznaczeniu:

a) Że podatek w Niemczech jest pobieranym od rzeczywistej wagi buraków, dopełnianej w chwili, w której, one po odpowiedniém oczyszczeniu, przechodzą z płuczki do tarki lub nożów; statystyka przeto, wprowadza w rachunek, istotnie prawdziwe cyfry przerabianych buraków.

Każda znowu fabryka przesyła co rok sprawozdanie do bióra statystycznego w Berlinie, wykazujące ilość buraków przerobionych w ciągu ubiegłej kampanii, ich polaryzacją, ilość wyrobionego cukru i t. p. Sprawozdaniom tym można dawać wiarę, jak to bowiem słusznie zauważył wydelegowany przez departament dochodów niestałych w r. 1876 dla wystudjowania zagranicą prawodawstw w przedmiocie cukru, członek komisji ustanowionej dla przejrzienia ustawy o akcyzie od cukru A. Jermolow, (w piśmie: *Obzor razlicznych sistem wzimania nałoga z sachara w Europie*, str. 16) „wszystkie te dane nie mają żadnego wpływu, na cyfrę pobieranego podatku, przeistaczanie więc prawdy nie leży bynajmniej w interesie fabryk.”

Do téj uwagi dodajemy, iż zarząd każdej fabryki jest właśnie najbardziej interesowanym, iżby cyfry, ogłaszane przez bióro statystyczne, były prawdziwemi; skoro żadna kombinacya w rzeczy produkcji, jéj ulepszeń, zastosowania wynalazków i przy sprzedaży cukru, nie jest możliwą inaczej, jak przy dokładnych danych statystycznych.

b) Podatek we Francyi pobieranym jest od wagi wyprodukowanego cukru, dopełnianej w chwili, gdy tenże wyrób z magazynów fabrycznych wchodzi w cyrkulacyą handlową. Rachunek władz fiskalnych powinienby więc być zgodnym z rzeczywistością; że jednak do oznaczania wysokości podatku, wskazane są typy cukrów, że nawet sprawdzania urzędów fiskalnych, dokonywane za pomocą *sacharimetrów*, jako zależne od mniejszej lub większej dokładności tych narzędzi, nie wypadają jednakowo, (*de Saint Remy loco citato*, 3-e question str. 60—90), że wydajność cukrów surowych wprowadzanych z zagranicy dla przerobu w rafineryach, obliczana jest nie wedle rzeczywistości, lecz wedle norm; z tych przeto powodów i we Francyi cyfry produkcji i konsumcyi cukru są wyższe od tych, jakie w statystykach napotykamy.

kontynencie, jest niewątpliwie daleko wyższą, niż wykazywana przez statystyków; można ją śmiało podać na czterdzieści milionów centnarów rocznie.

Wszędzie gdzie się rozwinęło, cukrownictwo jest gałęzią przemysłu wielkiej doniosłości dla kraju. Doniosłość ta dochodzi do szczególnej potęgi w Królestwie Polskiem, gdzie fabrykacja cukru z buraków zajęła pierwsze miejsce w przemyśle krajowym, zaraz po produkcji rolniczej.

Przy rozbiorze przepisów podatkowych w Izbie deputowanych, wyjaśniano, iż zawsze znajdzie się *la fissure légale*, dzięki której pewna ilość cukru unika wszelkiej kontroli. Cyfry więc statystyczne mają i we Francyi tylko względną naukową wartość.

c) W *Rossyi*, podatek jest obliczanym na podstawie norm prawnych, oznaczających ilość buraków przez wymiar naczyń wydobywających sok cukrowy i przez czas téj roboty; ilość zaś wyprodukowanego cukru, przez przypuszczalną cukrowość czyli wydajność buraka.

Że te normy nie mogą być zgodne z rzeczywistością, tego dowodzić nie ma nawet potrzeby. Niedokładność danych statystycznych, uwydatnioną została w samych pracach wzmiankowanej (ad a) komisji; (*Izsliedowanija nad rabotoj sokodobywatelnych snarjadów*, przez byłego profesora Instytutu rolniczego, rzecz. radcę stanu Eugeniusza Andrejewa, str. 102). Że z tych danych niepodobna wyprowadzać żadnych pozytywniejszych wniosków, przekonanywa następujące zestawienie, wedle tablicy przez tegoż autora ułożonej, a dołączonej do innej jego pracy (*Razwitijsze świeklosacharnago proizwodstwa w Rossyi*, str. 239), ogólna produkcja w Imperyum w r. 1876/7 wyniosła 8,160,207 pudów mączki cukrowej. Inna tablica tegoż dzieła (str. 251) wykazuje znowu, iż w tymże roku wywieziono z *Rossyi* za granicę cukru rafinowanego i mączki 3,891,897 pudów, przywieziono zaś z zagranicy tylko 1,506 pudów; na miejscowe przeto spożycie pozostawałoby 4,250,000 pudów, w cyfrze okrągłej, czyli na jednego mieszkańca przecięciowo po 2,¹² funtów rocznie. Rzeczona komisja poświadcza przecieź, iż każdy mieszkaniec Cesarstwa, spożywa przecięciowo po 8 funtów rocznie (*Żurnał Komissii po peresmotru ustawa ob akcyzie z sacharnago piesku*, str. 26); gdzież więc szukać nietylko różnicy 11,750,000 pudów, przy ludności 80 milionów, ale nawet owéj cyfry 3,890,000 pudów, wywiezionych za granicę, a więc brakujących do 8,160,000 pudów, przyjętych za punkt wyjścia. Do żadnych znowu dzieł statystycznych, nie mogła być jeszcze wejść cyfra rocznej produkcji, przez rzecz. r. st. E. Andrejewa na 16 milionów pudów po raz pierwszy podana, a oparta na jego własnych obserwacyach (*loco citato*, str. 230 i 231), i z niéj przecieź strącając cukier za granicę wywieziony, przypadałoby na wewnętrzną konsumcyą 12,110,000 pudów, czyli nie po 8 ale tylko po 6 f. rocznie na 1 mieszkańca.

d) Systemat podatkowy w *Austro-Węgrzech* ma wiele podobieństwa z systematem istniejącym w *Rossyi* i polega na normach. Doprowadzają one do cyfr statystycznych jeszcze bardziej niedokładnych. Od cukru wyrobionego w r. 1875/6, skarb pobrał podatku 9,330,081 guldenów, od cukru zaś w tymże roku wywiezionego za granicę, zwrócił 9,472,991 guldenów; gdy zaś zwraca

Początki tej gałęzi przemysłu były u nas powolne i nieśmiałe: pierwszą fabrykę cukru w Częstocicach, w dzisiejszej gubernii Radomskiej, wznosił był hr. Henryk Żubieński w roku 1826. Z jego inicjatywy powstała także fabryka *Guzów*, w gubernii Warszawskiej, zbudowana w r. 1830 ¹⁾; a chociaż obie fabryki miały pierwotnie na celu przetwarzanie własnych buraków, nie przedstawiały więc cech przemysłu prowadzonego samodzielnie, niemniej wszakże, pisząc w przedmowie cukrownictwa nie można o tej inicjatywie przemilczeć, ani jej należytego odmówić uznania.

Rzeczywiście przemysłową, dającą istotne początkowanie tej gałęzi przemysłu, jest fabryka *Hermanów* w gubernii Warszawskiej, założona w roku 1838 przez spółkę udziałową, zawiązaną pod przewodnictwem bankiera Hermana Epstejna. Dobrze prowadzona i od początku znaczne przynosząca korzyści, fabryka Hermanów przekonała tutejszy świat finansowy, że przemysł cukrowniczy może w kraju rozwijać się, że nawet znajdzie warunki wyjątkowo przyjazne, a mianowicie: taniość kosztów produkcji i wysokie ceny cukru, przy wielkiej łatwości jego zbytu.

Zaczęły się też fabryki cukru wznosić w różnych okolicach kraju; zaraz w następnym dziesięcioleciu powstało ich 11 ²⁾; najwyższa ich liczba, 51, przypada na rok 1854 ³⁾; obecnie, wedle danych urzędowo-

tyle, ile wedle norm pobiera podatek, należałoby więc wnosić, iż na konsumocyą mieszkańców Austro-Węgier w r. 1875/6 nic cukru nie pozostało. (Dr. Richard von Kaufman, *loco citato*, str. 56 i 57). A jednak mieli oni w poprzednim roku spożyć 148,800 ton cukru, czyli z przecięcia po 4 kilogramy na jednego mieszkańca, (tamże, str. 26).

¹⁾ Daty wzięte z materyałów w rękopiśmie, zebranych przez radcę stanu Jana Blocha, do statystyki Cesarstwa i Królestwa, jaką wydać zamierza, a z których to materyałów uprzejmie dozwolił nam korzystać.

²⁾ wzniesiono w roku 1840 fabryk 1

„	1843	„	2
„	1845	„	2
„	1846	„	1
„	1847	„	2
„	1848	„	1
„	1849	„	2

(z materyałów Jana Blocha).

³⁾ w r. 1850 było w Królestwie fabryk czynnych 33 nieczynnych 2

„	1851	„	„	„	39	„	3
„	1852	„	„	„	47	„	2
„	1853	„	„	„	49	„	5
„	1854	„	„	„	51	„	4
„	1855	„	„	„	50	„	5
„	1856	„	„	„	45	„	7
„	1857	„	„	„	44	„	8

wych, ma być 40 fabryk ¹⁾, prywatne źródła podają ich cyfrę o dwie więcej ²⁾.

Owe warunki dla przemysłu cukrowniczego wyjątkowo przyjazne, musiały przecież w koleji czasu ulegać pogorszeniu, wynikającemu nie tylko z rozwiniętej konkurencji, ale i z przeobrażenia stosunków ekonomicznych i prawnych całego kraju.

Cukrownictwo nie mogło uniknąć kryzysów w skutek tych przeobrażeń, i obecnie musi pokonywać liczne trudności. Minał niepowrotnie wiek złoty dla téj gałęzi przemysłu, i musi ona wyczerpać wszystkie swe siły, ażeby istnieć przy warunkach dzisiejszych. Dotychczas przemysł cukrowniczy stawiał tym trudnościom czoło, za pomocą bacznej uwagi na wynalazki ulepszające fabrykacyą, natychmiastowego ich przyswajania, ogólnego, na ścisłym rachunku opartego gospodarstwa i ciągłego postępu.

W téj gałęzi przemysłu są umieszczone bardzo znaczne kapitały tutejszych mieszkańców; kwestya więc jéj przyszłości wchodzi w zakres ogólnej ekonomii kraju, a upadek fabryk musiałby na rolnictwo wielu okolic oddziaływać szkodliwie.

Rys stopniowego pogorszenia warunków przemysłu cukrowniczego i metoda, jaką tenże przemysł posługiwał się, by pod dzisiejszemi trudnościami nie upaść; budzą więc żywy interes, a nawet mogą i dla innych gałęzi przemysłu krajowego, przynieść pod wielu względami naukę lub radę, a przynajmniej zachętę lub przykład.

I.

Czynnikami produkcji w przemyśle cukrowniczym są: 1) buraki czyli materiał surowy (*matière première*); 2) opał; 3) praca ludzka czyli najmy; 4) podatki i 5) wszystkie inne koszta rozpadające się na kilkanaście oddzielnych rubryk, jako to: materiały do fabrykacyi potrzebne, nasienie buraczane, koszta opakowania cukru, płace stałej służby fabrycznej, opłaty assekuracyjne i t. d. Poprzestaniemy na rozbiórce czterech pierwszych czynników, wszystkie bowiem inne koszta zestawione razem jako czynnik piąty, acz w każdéj fabryce tworzą cyfrę bardzo poważną, (przeszło czwartą część wszystkich kosztów produkcji, około 27 kopiejek na każdych przerobionych stu funtach bu-

(*Materiały po dietam Carstwa Polskago. Swiedzenia po finansowej czasti. Tetrad' II, g. 1864, str. 199*).

- ¹⁾ W gubernii Warszawskiej fabryk 19 w Siedleckiej 1 w Kaliskiej 5
 „ Piotrkowskiej „ 3 „ Lubelskiej 3 „ Radomsk. 3
 „ Kieleckiej „ 2 „ Łomżyńs. 2 „ Płockiej 2

(*Kratkij oczerk sowremennago sostojanija swiekłosacharnych zawodow Imperii i Carstwa Polskago w techniczeskom odnoszenii, przez Wiktora Andrejewa, technika departamentu dochodów niestałych, str. 193*).

- ²⁾ *Niwa*, zeszyt z 1 lutego 1879 r., str. 204.

raków), rozpadają się przecież na tyle szczegółowych pozycji, a każda z nich od tyłu różnorodnych warunków jest znowu zależną, iż szczegółowe każdej opracowanie musiałyby przybrać cechę raczej techniczną niż ekonomiczną, mieć na celu raczej tych, którzy nie znajdują w tém piśmie nic dla siebie nowego, raczej samych fabrykantów cukru, niż czytający ogół, a przeto raimy tego studyum bezpotrzebnie rozszerzyć ¹⁾.

1. *Buraki*. Cena płacona przez fabryki za dostawiane buraki jednakową w całym Królestwie nie jest ²⁾. Cena przecież płacona przez fabryki istniejące w gubernii Warszawskiej, może być uważaną za cenę normalną i za najwłaściwszą podstawę do obliczeń i porównań; skoro przemysł cukrowniczy rozwinął się przeważnie w téjże gubernii, która jedna, ma dziś tyleż fabryk cukru, co wszystkie inne gubernie Królestwa razem, i która przerabia co najmniej 60% ogólnej ilości buraków, przerabianych w całym kraju ³⁾. Korzyść zresztą fabryk płaćących za buraki taniej, jest w znacznej części łądzącą i względną; równoważą ją bowiem w niektórych okolicach niższe pod względem słodyczy przymoty buraków; w innych, wyższe znowu kosza odstawy cukru do głównego miejsca zbytu, Warszawy. Że zaś wszystkie fabryki cukru istniejące w gubernii Warszawskiej płaćą plantatorom ceny jednakowe; rachunek więc jednej, dostarcza już dane, w tém miejscu

¹⁾ Same kosza zakupu materyałów posługujących do opakowania cukru wyniosły w r. 1877/8 w fabryce Dobrzelin rs. 17,212 kop. 44 1/2

„ Ostrowy „ 27,151 „ 16 1/2

„ Walentynów i

Tomczyn rs. 28,777 „ 50 1/2

²⁾ Ceny obecnie płacone przez fabryki, różnią się w granicach między 25 i 35 kopiejek za centnar stufuntowy.

³⁾ W roku 1873/4 wszystkie fabryki w Królestwie przerobiły wedle normy podatkowej 1,682,829 berkowców, z czego na fabryki istniejące w gubernii Warszawskiej przypada 1,007,131 berkowców; (wiadomość podana w nr. 134 *Gazety Polskiej* z r. 1876, a wyjęta z ogólnego wykazu fabrykacyi cukru w całym Imperyum). Tablica znowu, str. 238 i 239 rz. r. st. E. Andrejewa (*Razwitię swiekłosacharnawo proizwodstwa w Rosii*) wykazuje następującą produkcją cukru w Królestwie, w pudach obliczonych na podstawie norm podatkowych:

w gubernii	1870/1	1871/2	1872/3	1873/4	1874/5	1875/6	1876/7	1877/8
Warszawskiej	625	376	750	602	422	753	833	586
Kaliskiej	100	54	95	94	109	105	88	92
Radomskiej	96	47	96	76	50	91	78	66
Piotrkowskiej	86	48	89	81	51	64	70	59
Siedleckiej	47	12	38	33	23	30	34	19
Płockiej	27	14	41	34	29	44	53	32
Lubelskiej	30	22	19	22	18	40	50	51
Łomżyńskiej	17	9	14	10	13	15	16	14
Kieleckiej	12	6	13	16	19	34	58	51

tysięcy pudów, pomijając sta, dziesiętki i pojedyncze liźby pudów.

potrzebne. Zdawaćby się mogło, że ten rachunek ustala zarazem sumę rzeczywistego kosztu na zaopatrzenie fabryk w materiały surowy, będący przedmiotem fabrykacyi. Tak przecie nie jest. Cena bowiem płaconą plantatorom za dostawiane buraki nie wyobraża jeszcze całego kosztu buraków przerobionych na cukier. Pochodzi to z dwu przyczyn:

a) Plantatorowie są w niemożności dostatecznie oczyścić buraki z korzeni, z koron, z ziemi i w ogóle z części obcych, chociaż w umowach z fabrykami do tego się zobowiązują. Powstają nawet przy odstawie buraków spory pomiędzy odstawiającymi a odbierającymi, nie o rzeczywistą ilość centnarów składanych z każdego wozu, skoro każdy wóz wchodząc z ciężarem i wychodząc po jego złożeniu idzie na wagę, a tém samém ilość ta oznaczana jest zawsze z matematyczną ścisłością; ale spory wynikają o stopień oczyszczenia dostawianych buraków z owych części obcych, o wysokość procentu, jaki z tego powodu ma być przez fabrykę z téj ilości potrąconym. Sporom tym ani się dziwić, ani niemi gorzyć nie należy; nigdzie, w żadnym stosunku kontraktowym nie są one do uniknienia, tém mniej zaś byłoby sprawiedliwém wysnuwać ztąd zarzuty przeciwko fabrykom, skoro one pomimo owych potrąceń w ostatecznym rezultacie zawsze płacą za więcej centnarów buraków, niż ich po dokładném z części obcych oczyszczeniu, do przerobu na cukier rzeczywiście się okaże. Oczyszczenie to odbywa się w fabryce po obmyciu buraków na płuczce, a ostateczna waga w téj samej chwili, w której burak przechodzi do tarki lub nożów, celem zmiążdżenia i przeistoczenia go w masę, stanowiącą dopiero właściwy materiał surowy, dalszemu działaniu odpowiednich przyrządów poddawany.

Otóż fabryki obliczają (i nie mogą obliczać inaczej) ile kosztuje każdy centnar buraków już wychodzących z płuczki i to dopiero obliczenie daje rzeczywistą cenę kosztu. Różnica pomiędzy tą ceną, a ceną zapłaconą plantatorom jest zawsze dość znaczną. Wprawdzie, przy dłuższej kampanii, trwającej po dniu 1 stycznia, ma czasem miejsce gnicie buraków w kopcach i rzeczywiście w takich razach strata na wadze buraków zapłaconych, zwana *maneo*, bywa zwykle dotkliwszą. *Maneo* to przecież ponawia się co rok, bez wyjątku dla kampanii kończących się w grudniu i pomimo jesieni pogodnych, zimnych, w których buraki w kopcach dobrze się zachowywać dają. Zgoła, koszta na zakup buraków, są zawsze wyższe za centnar, od ceny płaconej za centnar przez fabrykę wszystkim dostawcom ¹⁾.

¹⁾ Strata przy oczyszczaniu buraków w fabryce Hermanów (*maneo*), uczyniła w latach 1838/67 przecięciowo po 9⁰/₁₀ rocznie. *Maneo* obliczone szczegółowo w następujących kampaniach wyniosło:

w roku 1867/8	—	7 ⁴ / ₁₀ ⁰ / ₁₀
„ 1868/9	—	8 ³ / ₁₀ ⁰ / ₁₀
„ 1869/70	—	8 ⁴ / ₁₀ ⁰ / ₁₀

b) Wprost do płuczki może być dostawiana mała ilość buraków w czasie ich kopania, a więc tylko w pierwszych tygodniach każdej kampanii. Odstawa więc wprost do fabryki jest wyjątkiem od reguły ogólnej, wedle której buraki są odstawiane do kopców bądź w bliskości budynków fabrycznych, bądź w miejscach składu, o kilka a czasami nawet o kilkanaście wiorst od fabryki odległych. Przybývają więc znowu wydatki późniejszej odstawy buraków do płuczki, z owych kopców i składów, które zwiększają ogólne koszta zakupu.

Maneo na burakach, w połączeniu z powyższemi wydatkami, acz ani we wszystkich fabrykach, ani we wszystkich kampaniach jednakowoż nie jest, daje się jednak oznaczyć przecięciowo na 5 kopiejek od każdego centnara buraków, rzeczywiście fabrykacyi poddanego.

Uwzględniając zaś to, co dotąd w tym przedmiocie powiedziano i czyniąc porównanie między cyframi kosztu zakupu buraków w okresie ubiegłych lat 40, dochodzimy do przekonania, że fabryki cukru *placą dziś za buraki dwa razy drożej* niż przed rokiem 1851. Kiedy bowiem w epoce początkowania tej gałęzi przemysłu, (między 1838 i 1851 r.), koszt przerabianego 100 funtowego centnara buraków wynosił tylko $21\frac{1}{2}$ kopiejek, następnie przecież wzrastając stopniowo, przeszedł kopiejek 40, i w tej przeciętnej dla fabryk w gubernii Warszawskiej cyfrze, utrzymuje się stale już od lat kilku ¹⁾.

w roku 1870/1	—	$6^8/10^0/0$
„ 1871/2	—	$6^2/10^0/0$
„ 1872/3	—	$7^7/10^0/0$
„ 1873/4	—	$6^4/10^0/0$
„ 1874/5	—	$5^2/10^0/0$
„ 1875/6	—	$5^6/10^0/0$

Żadna z fabryk w żadnej kampanii mniejszego lub wyższego *maneo* uniknąć nie zdołała.

¹⁾ Koszt centnara buraków przerabianych w fabryce Hermanów, wynosił:

w latach	1838	do	1850/51	po	$21\frac{1}{2}$	kop.
„	1851/2	„	1854/5	„	$26^3/4$	„
„	1855/6	„	1857/8	„	$34^4/5$	„
„	1858/9	„	1859/60	„	$35^3/4$	„
„	1860/1	„	1861/2	„	$26^3/4$	„
„	1862/3	„	—	„	33	„
„	1863/4	„	1865/6	„	$32^1/10$	„
„	1866/7	„	—	„	$35^4/10$	„
„	1867/8	„	—	„	35	„
„	1868/9	„	—	„	36	„
„	1869/70	„	—	„	38	„
„	1870/1	„	—	„	34	„
„	1871/2	„	—	„	35	„
„	1872/3	„	—	„	36	„

2. *Opał* tworzy bardzo znaczną rubrykę kosztów, skoro odniesiony do centnara przerobionych buraków wynosi po 10—15 kopiejek, co wyobraża przecięciowo $12\frac{1}{2}\%$ wszystkich kosztów fabrykacji ¹⁾.

W porównaniu do cen dzisiejszych, drzewo w sążniach było przed laty 30 nad wyraz taniem, fabryki przeto opalały się samém drzewem. Za podrożeniem przecież drzewa i z pobudowaniem drogi żelaznej Warszawsko-Bydgoskiej, musiały opał drzewem zastąpić w możliwej części węglem, chociaż 10 korcy węgla grubego daje dopiero tyle siły ognia, ile jeden sążeń kubiczny drzewa sosnowego.

Dawniejsze ceny drzewa w każdej okolicy są każdemu pamiętne, dzisiejsze każdemu wiadome; przywozić ich przeto nie ma potrzeby. Pragnąc zaś uniknąć zarzutu przesady, przyjmujemy za pewnik, nie mogący już uleść żadnemu zaprzeczeniu, iż cena materyałów opałowych zużywanych na potrzeby każdej kampanii, *wzrosła tylko w dwójnasób, czyli o 100%*, w porównaniu z cenami tychże materyałów w epoce do roku 1850 ²⁾.

3. *Najmy* robotników potrzebnych przez cały czas trwania każdej kampanii, nie podrożały w prawdzie w tak rażącym jak drzewo stosunku, zawsze jednak dzień roboczy (godzin 12) płaci się obecnie przynajmniej o 50% drożej, niż przed rokiem 1850. Podrożenie to pada także na jeden z ważniejszych czynników produkcyi fabrycznej, skoro ogólny koszt najmu robotników i płacy rzemieślników, odnie-

w latach 1873/4 „ — po 35 kop.

„ 1874/5 „ — „ 36 „

w latach zaś od 1875/6 do 1877/8, przecięciowy koszt wzięty z 5-ciu fabryk wynosił kopiejek 40.

¹⁾ Drukowane coroczne sprawozdania akcyjnych towarzystw fabryk cukru, wykazują następujące koszta zakupu materyałów opałowych zużytych na potrzeby jednej kampanii:

w latach	Józefów		Dobrzelin		Ostrów		Walentynów i Tomczyn	
1873/4	—	—	—	—	—	—	125589	14
1874/5	68894	39	66090	36	—	—	95719	58 $\frac{1}{2}$
1875/6	73207	46 $\frac{1}{2}$	93909	89	113566	88	82401	85
1876/7	77444	13 $\frac{1}{2}$	78695	25	70212	23	76089	84
1877/8	54060	64	—	—	80102	55	59357	32

²⁾ Dla dania miary drogocności materyałów opałowych w okolicy Łowicza, Kutna i Krośniewic, gdzie właśnie istnieje kilkanaście fabryk, podajemy koszta tych materyałów *loco* fabryka Dobrzelin (obok stacyi *Pniewo*): sążeń kubiczny drzewa sosnowego rub. 10, korzec węgla grubego kop. 80, korzec miału węgla kop. 48.

siony do centnara przerobionych buraków wynosi 10 do 12 kopiejek, czyli przecięciowo około 11% wszystkich kosztów produkcji ¹⁾.

4. *Podatki.* Do roku 1849 fabrykacya cukru żadnemu nie podlegała opodatkowaniu, opłata bowiem pod nazwą *akcyzy* wprowadzoną została dopiero od włącznie kampanii z r. 1849/50 ²⁾. Akcyza pobieraną była od średniej, czyli oznaczonej przecięciowo ilości piasku cukrowego, zawartego w berkowcu buraków, oczyszczonych z koron, z korzeni i z ziemi; obliczenie zaś ile każda fabryka mogła przerobić buraków na dobę, opieranem było na zbadaniu liczby, siły i objętości przyrządów i aparatów używanych do wydobywania z buraków pierwszego surowego soku. Istniały przeto dwie normy prawne: jedna, specjalna dla każdej z osobna fabryki, wskazująca jej przypuszczalny dzienny przerób buraków; druga, ogólna dla wszystkich fabryk w kraju, oznaczająca procent wydajności piasku z berkowca buraków; cała zaś przewyżka tegoż piasku, wyrabianego nad powyższe normy w każdej fabryce, nie podlegała opodatkowaniu.

Wobec bardzo umiarkowanej wysokości podatku i jeszcze umiarkowańszych norm jego poboru ³⁾, rozwój przemysłu cukrowniczego nie

¹⁾ Fabryki w Królestwie dawały zatrudnienie:

w roku	1851	rzemieślnikom i robotnikom stałym	865	niestałym	2978
„	1852	„ „ „ „	1339	„	4210
„	1853	„ „ „ „	1495	„	4938
„	1854	„ „ „ „	1915	„	4709

(*Materyjały po dziełach Carstwa Polskago. Swiedzenia po finansowej cząści. Tetrad'2. str. 199*).

²⁾ Prawa i ustawy w przedmiocie podatku od fabrykacyi cukru, czytać można w *Dzienniku Praw Królestwa*:

w tomie	41	str.	406	z dnia	23	Września	1849 r.
„	48	„	292	„	21	Listopada	1854 r.
„	51	„	360	„	1	Grudnia	1857 r.
„	55	„	360	„	22	Czerwca	1860 r.
„	55	„	408	„	12	Września	1860 r.

³⁾ Wedle prawa z roku 1849, akcyza pobieraną była:

w latach 1849/51 1851/3 1853/4 i nast. do r. 1858

a)	z fabryk wyrabiających rocznie więcej nad 500 pudów białego piasku, od puda po kopiejek.	„	30	45	60
b)	z wyrabiających rocznie 500 pudów lub mniej.	„	15	30	45
c)	z fabryk wznoszonych po dniu 1 stycznia 1878 roku.	„	—	30	45

został ani utrudnionym, ani powstrzymanym; jedyna zaś ujemna strona powyższego systematu: niejednakowość a więc nierówność rozkładu tego ciężaru na fabryki cukier produkujące, pozostała stroną ujemną, tylko ze stanowiska samej teoryi, w zastosowaniu zaś nie dała się nawet uczuć, ani mogła cukrownictwu zaszkodzić ¹⁾.

Pośpiech roboty, a więc przerabianie na dobę, większej nad normę ilości buraków i dokładność fabrykacyi, a więc wydajność piasku z berkowca, nie mogły być i rzeczywiście we wszystkich fabrykach jednakowemi nie były. Im która z nich produkowała pośpieszniej i wydobywała więcej cukru z berkowca, tém miała większą przewyżkę towaru opodatkowaniu nieulegającą, czyli inaczej, opłacany przez nią podatek, odniesiony do jednego centnara buraków, wypadł dla niej niżej niż w innych fabrykach. Że jednak wszystkie płaciły bardzo mało, więc te między niemi różnice żadnego prawie niemiały znaczenia. Owa nierówność rozkładu nie mogła więc wywierać na przemysł żadnego szkodliwego wpływu ²⁾. Nie zatrzymując przeto uwagi nad zasadą równości wobec akcyzy, czyli jednakowego rozkładu przy poborze każdego podatku, zasadą, do której przyjdzie nam powrócić w dalszym ciągu tego studyum; poczytujemy za obowiązek wyrazić dla ówczesnych poglądów i zamierzeń fiskalnych, całkowite uznanie, iż one pojmując ważność i pożyteczność przemysłu cukrowniczego dla ogólnej ekonomii

obliczając ilość pudów wedle norm. Prawo z roku 1857 zniósło przywilęj dla fabryk nowo wznoszonych i podzieliło fabryki na wyrabiające i niewyrabiające 1000 pudów rocznie, utrzymując podatek 60 kop. dla pierwszych, 45 kop. dla drugich. Prawo z r. 1860 przywróciło różnicę 500 pudów.

1) Nawet kosza poboru akcyzy były niskie, co także jest zaletą podatku; wedle sprawozdania komisji rządowej przychodów i skarbu, za rok 1851 wynosiły 4⁰/₁₀₀ od sumy tytułem akcyzy wpływającej.

2) Od 100 funtowego centnara buraków, podpadającego pod normy podatkowe, fabryka Hermanów płaciła akcyzy:

w roku 1849/50 po 1,⁴ kopiejki

"	1851/2	"	1, ⁹	"
"	1852/3	"	1, ⁶	"
"	1853/4	"	1, ⁸	"
"	1854/5	"	2, ⁷	"
"	1855/6	"	3, ³	"
"	1857/8	"	2, ⁶	"
"	1858/9	"	5, ⁴	"
"	1859/60	"	2, ⁴	"
"	1860/1	"	2, ⁷	"
"	1861/2	"	2, ⁶	"
"	1862/3	"	2, ⁷	"
"	1863/4	"	2, ⁵	"

wysokość ciężaru znośna, chociażby nawet dotykała całą ilość buraków, podchodzącą pod normy i wyrobioną ponad normy.

Królestwa, rozwój tegoż przemysłu na pierwszym stawiąły planie i nawet w tym celu zapewniały na lat dwa obniżenie akcyzy o 25% dla każdej fabryki, któraby po dniu 1 stycznia 1848 r. nowo wzniesioną została.

Pomimo, a raczej właśnie z powodu téj na ekonomią kraju baczności i oględności, dochód z akcyzy z 16,000 rubli w r. 1850, wzrósł był do 120,000 rubli w r. 1863 ¹⁾; a chociaż w owéj epoce, równowaga budżetu Królestwa niepotrzebowała od przemysłu cukrowniczego większego zasilenia, byłyby był przecież tenże przemysł przy dalszym swoim rozwoju, nawet bez zmiany norm i wysokości akcyzy, przynosił skarbowi sumy jeszcze poważniejsze.

Kilkakrotne po roku 1864 podwyższanie norm i saméj wysokości podatku, zwiększyło wprawdzie dochód budżetowy ²⁾, powstrzymało przecież rozwój przemysłu cukrowniczego, i już pociągnęło za sobą upadek znacznej liczby fabryk, już bowiem zbyt dotkliwie obciąża rachunek kosztów produkcji cukru w każdej fabryce ³⁾. Gdy zaś wszyst-

¹⁾ Skarb Królestwa miał dochodu z akcyzy od cukru:

w roku 1850	rub.	16,816	kop.	29
„ 1851	„	17,273	„	71 1/2
„ 1852	„	54,767	„	9 1/2
„ 1853	„	48,054	„	—
„ 1854	„	72,159	„	24
„ 1855	„	60,779	„	59 1/2
„ 1856	„	42,109	„	55
„ 1857	„	73,893	„	18
„ 1858	„	112,797	„	95 1/2
„ 1859	„	182,468	„	5 1/2
„ 1860	„	172,754	„	95
„ 1861	„	175,427	„	74
„ 1862	„	108,101	„	16 1/2

W budżeta zaś na rok 1863 i 1864 wstawiano z tego tytułu sumę po 120,000 rub. (cytowane już: *Materiały po dielam Carstwa Polsk.*, w téjże części i zeszytcie, str. 196).

²⁾ Podług wiadomości podanéj przez *Gazetę Polską*, loco citato, produkoya cukru ulegającego opodatkowaniu w r. 1873/4, wyniosła w Królestwie milion pudów; przyjmując tę cyfrę za przecięciową, akcyza wynosiłaby rub. 800,000 rocznie. Przewyżka cukru opodatkowaniu nieulegająca nie może być ściśle podaną.

³⁾ Fabryka Hermanów płaciła akcyzy wedle norm, od sto funtowego centnara buraków:

w roku 1864/5	po kop.	2,4
„ 1865/6	„	2,5
„ 1866/7	„	2,7
„ 1867/8	„	6,1
„ 1868/9	„	7,5

ko zapowiada, iż dotychczasowe normy będą co lat kilka jeszcze podwyższanemi, jest więc ten przemysł zagrożonym w samych swych podstawach. Rachunek bowiem wykazuje, iż gdyby akcyza nawet w dzisiejszej swjej wysokości pobieraną była od całej produkeji cukru, czyli inaczej, gdyby przewyżka ilości buraków wyrabianych w ciągu kampanii i przewyżka wydajności cukru z berkowca, nie były jak obecnie od podatku wolnemi, że w takim razie nie mogłaby się ostać żadna fabryka w Królestwie, albo ceny cukru musiałyby znaczne i stałe otrzymać podwyższenie.

Zawisły więc czarne chmury nad przyszłością tej gałęzi przemysłu, i ta właśnie uwaga wywołuje potrzebę poddać tę podatkowość bardziej szczegółowym studyom, na które następne przeznaczamy rozdziały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

w roku	1869/70	po kop.	7,5
„	1870/1	„	10,5
„	1871/2	„	10,5
„	1872/3	„	13,1
„	1873/4	„	13,1
„	1874/5	„	13,1
„	1875/6	„	15

CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEN O CNOCIE *).

PRZEZ

Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.

IV.

A z y a W i e l k a.

Dokoła Indyi piętrzy się od północy amfiteatralnie Azya wyższa, Wielka czy Środkowa, wyniosły, niebotyczny dach świata, siedziba mityczna Indyjskich bogów, a naprawdę kraj dziejowo od Indyi zawisty; Wielka Azya owa rozpada się na trzy światy odrębne zupełnie, choć wszystkie trzy niegdyś wiarę albo mowę z Indyi wzięły. U wschodu skrajnego płyną ogromne rzeki wśród kolosalnych stoków największego w świecie płaskowzgórza, ku oceanowi Spokojnemu, i tworzą urodzajny krajśrodką, niezmierne, rojne, przeludnione Chiny, których satelitą, niby kraj wschodzącego słońca, Japonia, wonny rój wysp wśród wielkiego oceanu. Pośrodku wznosi się ku niebu ogromnemi piętrami step wielki, co w Tybecie zwiśł wyżej grzbietu Alp, step poprzekrawany pasmami Himalai i gór Nan-Czyan-Nan-Lu, pustka niezmiernie smętna, lodowata, zaludniona przez nieliczne a napoły dzikie pokolenia. U zachodu podobne, ale przecie mniej ogromne stopy i płaskowzgórza tworzą Iran i Turan bohaterskiej pieśni Persów, most co łączy wielką, niedostępną macierz narodów z ruchawszemi krajami nad Śródziemnym morzem.

I dziś jeszcze z tamtej strony mostu owego mieszka największy odłam rodzaju ludzkiego, i gdyby przybysz z innego planety zmierzył okiem wszystkie lądy i morza, i policzył ludzi co na nich mieszkają, orzekłby pewno, że nie kłótniwa, zmienna Europa—jeno nieruchome Chiny w ogromie swym, najważniejszą częścią ziemi. I choć narodzeni i wychowani w nadatlantyckiem Chrześcijaństwie, uczyniliśmy z jednego półwyspia Azyi, Europy, pierwszą część świata, i choć dziejami powszechnymi, zwykliśmy przezywać dzieje ludów zamieszkałych dokoła Śródziemnego i Bałtyckiego morza, i choceśmy przywykli siebie tylko podziwiać, i prawić o sobie tak głośno, że wśród samochwalczego krzyku o innych zapominamy; bierze nas czasem dziwne mrowie na wspomnie-

(* Dalszy ciąg—patrz zeszyt za ozerwiec r. b.

nie owęj wielkiej Azji. Ztamąd wyszli niegdyś Hunowie i Turcy, tam się narodził Dżendzis Chan, największy w dziejach zdobywca, a choć przed niewieloma laty kilka tysięcy Anglików i Francuzów szczęśliwie najechało wielkie Chin mrowisko, nieśmieli jako zwycięzcy osiąść w głębi tajemniczego kraju, a oglądają się dziś niespokojnie, czy żółte ludzkie mrówki, przez nich niebacznie wypłoszone, nie zakryją pracowitym ludkiem krajów, w których człowiek biały myśli, że na wieki zapanował.

Więc zważywszy, że Chińczyków jest podobno aż czterysta milionów, i że naród ten żyje życiem narodów uobyczajnionych od trzech tysięcy lat, należałoby się może Chinom poświęcić większą połowę niniejszej pracy. Czy tak? Chińczyk takby sobie niezawodnie postąpił, i co więcej, gdyby chciał napisać rzecz o rozmaitych naukach moralnych rozmaitych ludzi, zbyłby Europę krótką wzmianką o Chrześcijaństwie. A my znów zmuszeni jesteśmy kilka kartek tylko poświęcić Chinom.

Nam się wydaje, że ogromne to państwo o długowiecznych dziejach wydało mniej rozmaite pojęcia o cnocie, jak maluczka Grecya w przeciągu kilku wieków. Nam się wydaje, że mamy więcej do powiedzenia o kilku ostatnich dziesiątkach lat w Europie, jak o trzydziestu wiekach w państwie Środka, i jak nie umiemy odróżnić twarzy dwu Chińczyków, tak nie umiemy dojrzeć różnicy między moralną fizyognomią dwu chińskich pokoleń. Nam się wydaje, że począwszy od czasów Chrystusa, Chiny stoją nieruchome jak niegdyś pierwotne mrowiska ludzkie, i że dziejopis cnoty i występku nie może ani słowa dopowiedzieć o dalszych dziejach Kitaju. Może się mylimy, może tylko z daleka tak się wydają Chiny; ale z daleka tylko na Chiny patrzeć możemy, i nie ze wszystkim to wina pisarza, gdy daleko więcej napisze o maluczkiej ziemi na której mieszka, jak o niezmiernej bryle Jowisza, zawieszonej gdzieś wśród otchłannęj przestrzeni.

Na początku dziejów chińskich wychyla się z pomroki obraz mglisty i niewyraźny ludzkiego mrowiska, rządzonego podobno przez niewiasty i nieświadomego wojennych zapasów, podobnego do tych, jakie istniały współcześnie w zachodniej i południowej Azji. Potem dolatuje nas słuch o najeździe i podboju przez dzisiejszych mieszkańców Środka, przybyłych gdzieś ze stepów i pustyń, i widzimy jak mnogie państwa powstają w ogromnym kraju, jak królowie z królami walczą, i jak godność cesarza pana Chin całych jest póty legendą, póki szczęśliwi królowie Nan-Kinu nie podbiją całego kraju i nie założą wielkiego państwa, co za dni Klaudyusza cesarza rzymskiego dotarło aż do morza Kaspijskiego, i o mało że się nie starło z Romą wszechpotężną na Zachodzie. Słyszymy tudzież, że współczesny z Tyberyuszem Szi-Hoang-Ti cesarz Kitaju kazał spalić wszystkie księgi w państwie swoim, na to, by nie było pomników po dawniejszych władzcach, i na to, by się dzieje całe zaczynały od jego panowania, i że po śmierci tyrana dawne księgi święte spisano napowrót, posługując się pamięcią starca świętobliwego. I ta ostatnia wiadomość czyni wątpliwymi wszystkie dawniej-

sze opowiadania o tém co się w starożytnych Chinach działo. Na pewno tedy niewiele powiedzieć można o początkach narodu, o pierwotnych jego urządzeniach i o rzeczywistym żywocie obywateli prawodawców chińskiego obyczaju Kon-fu-ce'go i Lao-ce'go, czyli Konfucjusza i Laocjusza, wedle zwyczajnego polskiego brzmienia ich nazwisk.

Zdaje się jednak, że pierwotni Chińczycy wiedli patryarchalne i przeważnie rolnicze życie pod berłem mnogich królów, że podobnie jak inne pierwotne ludy czcili rój cały mniejszych i większych, a przeważnie lokalnych bóstw: zamieszkujących rzeki, lasy i góry, i że nieśli także ofiary ceniom ojców, w których zagrobowe życie wierzyli, i że władzę sądową, hetmańską i kapłańską łączyli w ręku królów, otoczonych przez gromadę starców i możnych, znających dokładnie stare podania i starodawny obyczaj. Choć nie dźwignęli kolosalnych gmachów i nie stworzyli prawdziwej sztuki; posiadli zawczasu rozmaite wygody życia, i spędzali dnie swoje w wygodzie i pokoju, pośród drewnianych domków, wonnych pól i cienistych z wielką sztuką założonych ogrodów; wyrabiali jedwabne materye i przeróżne cacka z kości słoniowej i porcelany, i doszli do ogłady i ładu, z któremiby chyba ogładę wieku Augustów i ład rzymski porównać można.

Społeczeństwo to niezagrzone nigdy ani epiczną poezją Aryjczyków, ani gorącą wiarą synów Sema, było zawczasu nadto sceptycznym, by mózł własnych wydać proroków, i żyło w zbyt wielkiem odosobnieniu, by uledez religijnej gorączce. To téż wielki założyciel chińskiej wiary, (jeśli jego naukę wiarą nazwać można), Konfucyusz był raczej trzeźwym uczonym, niż natchnionym mężem i przepędził życie uczciwie zapewne, ale pospolite i spokojne, pozbawione poświęceń, a podobne do życia niemieckiego radzcy dworu albo profesora. Szperał, badał, spisywał stare pieśni, podania i obyczaje, siedział na łaskawym chlebie u jakiegoś księcia na dworze, żył nad miarę regularnie, lubił się bawić w piłkę i odznaczał się tylko nieźrównanym ogromem wiedzy, obejmującej wiadomości religijne, polityczne i etyczne. Mało co wypowiedział nowego, ale ukodyfikował na wiek wieków starodawny ojczysty obyczaj i podał do rąk najpóźniejszej potomności niezmiennie przepisy, do których mieli się odtąd zastosowywać Chińczycy. To téż i po dziś dzień Chińczycy oddają ceniom rozsądnego i uczonego człowieka cześć, jaką winni mężowi zasłużonemu, a nie prorokowi natchnionemu duchem bożym.

Gdy Konfucyusz spisywał swoje zakony, myślał o tém, jakby społeczeństwu chińskiemu pokój zapewnić; świadom tego, że wojna musi wybuchnąć, skoro samolubstwo każdemu człowiekowi wrodzone, wdrze się w granice obcego samolubstwa, wypisał na czele swój nauki zdanie, że powinno się zawsze względem drugiego tak zachowywać, jakby sobie życzone, by się drudzy zachowywali względem nas. A byłato formuła roztropności i przepis etykiety i grzeczności, do którego dodawano przestrożę, by przecie nie obchodzić się z każdym jednakowo. Gdy spotkamy cesarza, mamy się zachować inaczej, inaczej w obliczu żebra-

ka i byłoby śmiesznie postępować jednakowo z kobietą i wojownikiem, ze starcem i dzieckiem, skoro każdemu z nich co innego się należy i co innego dogodzi. Słowem, nauka ta nakazuje czynić drugiemu to, co się należy czynić człowiekowi będącemu w jego położeniu, to coby powinno cieszyć każdego cnotliwego męża, znajdującego się w dotyczącym położeniu. Wielce roztropna to, polityczna i rozważnie samolubna nauka, zupełnie różna duchem od naczelnego rozkazu chrześcijańskiej wiary: „Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego twego jak siebie samego!” Chińskie przykazanie napomina tylko, by sobie nikt nie robił nieprzyjaciół w interesie własnego i społecznego spokoju i nakłada w dalszym ciągu na społeczeństwo, a mianowicie na księcia obowiązek przestrzegania tego, by każdy się stosował do potrzeb drugich.

Obowiązkiem tedy księcia jest utrzymywać spokój w państwie i broniąc spokojnych i pracowitych, zuchwałych i zaczepnych karać. Na to, by mózdz to uczynić, powinien mieć skarb i wojsko i nieograniczoną władzę. A że tak wyniosłe stanowisko powinno z rąk do rąk przechodzić bez wojen domowych, przeto urząd książęcy jest dziedzicznym i cesarz chiński jest synem niebios władającym ziemią i niejako w boskiej uczestniczy naturze. Nikt kraju wojną domową nie zakłóci, bo nikt nie zamarzy o tém, by zasiadł na tronie, nie urodziwszy się na stopniach tronu, a osoba cesarska, otoczona licznym dworem i nie dla każdego dostępna, wyda się ogółowi jakąś niewidomą i nadludzką potęgą, władającą wszechpotężnie za troistym murem wśród pałacu pełnego bajecznych skarbów i mir będzie i posłuch w Kitaju.

Ale jeśli sam cesarz musi być dziedzicznym, należy się, by wszyscy jego doradcy byli mądrymi i by się każdy urząd dostał w ręce najgodniejszego. Niéma przeto w Chinach szlachty, niéma żadnych kast, a popis jedyną drogą, po której można dojść do władzy i znaczenia. Komisye egzaminacyjne zastąpiły w Kitaju miejsce naszych ciał wyborczych i kto chce być choćby najmniejszym urzędnikiem, ten musi się uczyć lat kilka i potém zdać egzamin; a w tém się różni piramida wszechmocnej chińskiej biurokracyi od podobnych maszyn rządowych w Europie, że trzeba zdać egzamin i na to, by o krok postąpić w urzędniczej hierarchii. I nowego jeszcze popisu i nowych nauk potrzeba, by zasiąść w radzie cesarskiej, albo by zostać namiestnikiem prowincyi wielkiej, i ludnej jak pierwszorzędne mocarstwo europejskie.

Takto chciano Chinom zapewnić nieodmiennie dobre rządy, tylko coraz wyższej nauce oddając coraz wyższą władzę. A na to, by władza ta szanowaną była, otoczono ją moralną strażą drobnostkowej i dla nas częstokroć śmiesznej etykiety i postrachem kar niesłychanie srogich. Litości nie znał chiński prawodawca i kazał na kawałki siekać przestępców, a podejrzanych nawet tylko, zamykał do stęchłych klatek, w których po kilkadziesiąt osób pści obojga, dusiło się w małej przestrzeni, niewychodząc nigdy na krok z ohydnej kaźni i żywiąc się tylko rzuconą pogardliwie jałmużną, którą widok ludzkiej męki wydarł mimowolnej, a wrodzonej wszystkim litości.

Przepisem prawa było i jest wszystko, co materyalny porządek społeczeństwa utrzymać może. Dzieci winny słuchać rodziców, żony mężów, młodsi starszych, prostacy uczonych; powinni czcić ich i okazywać im długimi przymowami swoją czolobitność. A starsi i przełożeni winni nawzajem dbać o dobro podwładnych i okazywać całym zachowaniem swoim powagę i łaskawość. Zabójstwa, rabunki i kradzieże są oczywiście zbrodniami w najwyższym stopniu karygodnymi, a gdy kupiec jaki nie jest w stanie kontraktu dotrzymać, winien bez względu na tłumaczące go okoliczności, odebrać sobie życie na to, by ująć naj-sroższej kary. Każdy Chińczyk winien mieszkać w domu o przepisanim kształcie i rozkładzie, ubierać się, kłaniać i przemawiać w przepisany sposób, czcić pamięć umarłych i jeśli chce mieć jakiegokolwiek zachowanie, stosować się do najściślejszej i formalistycznej rutyny, śmiejąc się z zabobonów motłochu i barbarzyńców, nawet wtedy, gdy papierowe łodzie pali duchom ojców, w których istnienie nie wierzy. Taką to naukę ogłosił Konfucyusz i taki to suchy ład utrzymuje czterysta milionów ludzi i dziś w karbach i zapewnia największego państwa trwanie nieprzerwane. Więc tych przepisów i ładu tego niewolno nam sobie lekceważyć i owszem z podziwem i poszanowaniem powinniśmy patrzeć na wieczny i dotąd niezachwiany ogrom Kitaju. Niemniej przeto wolno powiedzieć, że sławna nauka Konfucjusza ani religią, ani nawet filozofią na prawdę nie jest, że nikomu nie przynosi prawdziwej pociechy, że klasę uczonych i urzędników mota w sić formułek, co wyższą tęsknotę zagłuszy, ale niezadowolni i że milionom mnogim nieuczonego ludu nic nie przynosi, prócz materyalnego pokoju.

Uczeni mogli sobie wytkłomaczyć, że ład czyli niebo i ładem ujęta materya czyli ziemia, to świata władzcy i że opanowanie bogactwa—rozumem, religią naprawdę. Dla nędzarzy, dla prostaków, dla narodu wielogłowego i w Chinach potrzeba religii. Prostak nie umie rozumem dociekać dalekich skutków każdego uczynku i nieużywszy szczęścia w tym życiu, pragnie lepszej doli za grobem i rad gdy uwierzy, że duchy jakieś elementarne i pośmiertne mary, kierują wydarzeń zmienną koleją. Wierzy tedy i dziś Chińczyk prosty, że dusza umarłego wychodzi zwykła z ciała po śmierci, napoły upiorem, strachem i bóstwem napoły i że w dzień spoczywając wraz z ciałem w trumnie, wychodzi po nocy i chodzi po polach Kitaju, ciesząc się ojczystych stron technieniem, domagając się jadła i napoju, pomagając pomocnym, a obojętnym szkodząc. I w tej wierze za nic w świecie nie dopuści, by jego ciało na obcej spoczęło ziemi; umarłych nie grzebie, jeno stopy trumien na polu, na wolnym powietrzu układa, przykrywając je co najwięcej cieniutką warstwą ziemi, by upiór mógł łatwo po nocy wyjść ze swego mieszkania; i kładzie w dniu oznaczone jadło i napój przed drzwiami chaty, umarłym na pożywienie.

Zresztą prostak pracuje skrzętnie, jé mało, kłania się nisko mandarynowi i o ład dba tyle, o ile chce uniknąć kary. Zresztą w nędzy swój szuka zarobku, gdzie go znaleźć może; ukradnie, gdy da się

ukraść; zabije, gdy to się na co przyda, a wreszcie da się dla zysku ukarać w zastępstwie, bogacza, gdy go do tego ostatnia przynagli nędza. W ciągłej nędzy i w ciągłym trudzie boi się mniej śmierci niż męki, tusząc że przecie, skoro się ciało całkiem rozpadnie, doczeka się lepszego losu, choćby tylko zatopiony w przyrody wszechładzie, a gdy ma dzieci nadto wiele, rzuca nowonarodzone zwierzętom na pastwę; gdy nadto głodny, idzie na miejsce stracenia i pożera wraz z rodziną trupiejszące ciała umęczonych zbrodniarzy, a zawsze wśród niewysłowionej nędzy szuka pociechy i ogłupienia w opium, skoro Konfucyusz jemu nie przyniósł pociechy żadnej.

Tamten, współzawodnik Konfucyusza, Laocyusz do ludu się obrócił i trafił mu do serca; on pierwszy w system ułożył zabobony ludowe w księdze *Tuo-ce-king* i on chyba może uchodzić za założyciela oryginalnie chińskiej religii. Ale dziwnie suchą i ta religia i jeśli jaką niesie pociechę, jestto pociecha obliczona na zadowolenie najniższych umysłowych potrzeb.

Że świat cały w dziwny ład i lik ujęty i że w nim jest jakaś tajemniczo wewnętrzna łączność, temu nikt nie zaprzeczy i to głosi Laocyusz narodowi swemu. A ład ten wszechświata ma na imię *Tao*. Po śmierci szczęściem to będzie, gdy się kto z tym ładem zleje i cierpić przestanie. Za życia—nieszczęścia i choroby uniknie, kto ładu tego prawa zbada, zastosuje się do nich i nad niemi zapanuje, a wynikałoby z tego, jak się zdaje to, że drogą do szczęścia i cnotą jedyną zmusną i długa nauka.

Ale Laocyusz był prorokiem ubogich i chodziło mu o to właśnie, by wyzwolić zpod obowiązku nieustannych popisów tych, którym na te popisy czasu starczyć nie mogło. Więc zamiast nakazać badanie i pchnąć do nauki przyrody i ducha, w przeciwieństwie do uczenia się na pamięć suchych i zimnych formułek Konfucyusza, pokusił się niecierpliw Laocyusz o to, by dać nędzarzom herbacianego, jedwabnego Kitaju gotowe zaklęcie, za pomocą którego można było władnąć światem i kierować wydarzeniami. Wrodzona człowiekowi niewyraźna świadomość tego, że jest w duchu jego i umyśle moc pokrewna téj, co świat z siebie wydała i moc, co światem i rzeczami pokieruje, zrodziła naukę, modlitwę i czary. Na naukę niemiał Laocyusz czasu, niemiał Boga, do któregoby się modlił i musiał się przeto uciec do czarów. Z kilku prawd i sztuczek kilku skleił magiczną naukę i podał ją uczniom swoim, włóczęgom i szalbierzom na to, by zachowując ją w tajemnicy, chodzili po Chinach, prowadząc z sobą przyswojone tygrysy i za pieniądze rzucali i odwracali uroki. Takto powstał rodzaj mnichów żebraków, bez natchnienia, miłości i wiary; takto powstało najnędzniejsze na świecie kapłaństwo, którem Chińczyk zamożniejszy gardzi, a do którego przecie czasem się ucieka, pociągnięty przykładem lekkliwych tłumów, podobnie jak i Europejczyk oświecony, czasem uwierzy w zabobony. Prawo Konfucyusza nie ujrzało w włóczędze owęj niebezpieczeństwa dla siebie, przejrzało martwość i jałowość czarodziej-

skiej nauki i dozwoliło kuglarzom chodzić po Chinach i zarabiać na łatwości synów Środka. I napewno nie zagroziła żadnym dziejowym przewrotem nauka Laocyszowa.

I czyż nie było zapisaném w księgach przeznaczenia, że litościwa nauka Buddy podbije i przemieni Chiny i popchnie największy w ludzkości naród do nowych przeznaczeń? Czy wygnana z Indyi przez dawną Braminów potęgę, niemiała tu w jałowych Chinach dać próby swojej żywotności i rozpocząć nowej epoki dziejów, w której miliony oderwane od czczej troski o chleb powszedni i doczesne życie, miały podążyć do wiekiustego pokoju i niewątpliwego zbawienia?

Tak jest. Budaizm wdarł się do Chin w pierwszych wiekach po Chrystusie i wielu się wydaje, że w Chinach zapanował. Czy tak było w istocie, wnet zobaczymy.

Gdy misjonarze Budaistyczni weszli do Chin, przekonali się rychło władze, że to wróg dla ładu państwa nie niebezpieczny, że on Chin nie odmieni i że przynigdy naród cały nie obierze śmierci i nicości, by ująć życia. Nie przesładowano tedy, nie zabroniono nigdy w Chinach Buddaizmu. Ale w Chinach nieznanu wiary w tysiączne, a wieczne bolesne pośmiertne żywoty, nieznanu nieruchomego ucisku kast, ćmiącego nieba Indyi i poetycznej Aryów rozpaczy. Gdy Chińczyk był znudzony wierzył, że rychły znajdzie spokój w opium albo w grobie i Nirwana nie dawała nowej pociechy. Więc Buddaizm wydał się Chińczykom tkanką powieści fantastycznych i przyjął się tylko jako system magii, współzawodniczący z nauką Laocyszusa. Jako system magii otrzymał nawet urzędową ochronę.

Są tedy w Chinach liczne klasztory ustanowione na to, by za pomocą niezrozumianej nauki Buddy, czyli jak go z chińska przezwano Fo, odwracać uroki od ludzi, miast i prowincyi. A że na to, aby być użytecznym guślarzem, trzeba być ubogim, bezzennym i o ile możności bezmyślnym, więc Bonzowie, czyli kapłani Fo, żyją w jaknajwiększej pogardzie i nikt dobrowolnie do klasztoru nie wstępuje. Najczęściej zbiera się po drogach mnogich chińskich podrzutków na to, by wiedli ciężkie, ale dla ogółu potrzebne życie kapłanów wiary, w której nie-masz Boga; ale prócz tego jeszcze i zbrodniarze, ścigani przez sprawiedliwość, znajdują schronienie w bonzeryach.

Gdy dziecko w domu podrzutków podrośnie, goli mu się głowę i kładzie się na nią trzy zapalone pastylki, które wypalając się, zostawiają nad czołem trzy rany, znaki święcenia niezatarte. Odtąd przybiera nieszczęśliwy na wieki szatę żółtą, znak poniżenia, ubóstwa i dożywności niewoli. Do śmierci będzie już słuchał rozkazów przełożonego, nie będzie miał własności żadnej, nie pozna rodziny ani swobody, nie będzie nic jadł prócz ryżu i korzeni, podanych na sucho; będzie milczał przez większą część dnia, będzie czas swój spędzał w półcieniu, a na starość pójdzie w miejsce blizkie cmentarza, oczekiwać wyzwalającej śmierci. Pociechą dla niego chyba tylko pozbycie się myśli i uczucia, zupełne, bezmyślne ogłupienie. Dobrze mu będzie chyba wtedy, gdy zasiądzie w ciemnym kącie, z twarzą obróconą do ściany i gdy bę-

dzie patrzył na koniec nosa własnego, powtarzając bezustannie słowo *om*, to jest nieskończoność. A użytecznym staje się bonz, gdy go przywołają do chorego albo zagrożonego nieszczęściem, by przy nim odprawił gustą, albo gdy za pokutę siedzi na miejscu publicznym, przywiązany do beczki wydobędzie i męką okropną odwraca nieszczęście od okolicy. Za nic go mają Chińczycy; zazwyczaj żyją obojętnie, bez wiary wszelkiej podług starodawnego zwyczaju, a gdy są w kłopotcie, próbują czy im lepiej pomoże guślarz Laocyuszowy, czy bonz Buddaistyczny. I powiedzcież teraz sami, czy Buddaizm naprawdę zapanował w Chinach? Czy jest prawdziwym współzawodnikiem Chrześcijaństwa? I czy w czém pchnął naprzód dzieje Azji i ludzkości?

Z Chin promieniał dalej Buddaizm; na północ i wschód posunął się do Korei i Japonii, a po części nawet do Mandżuryi i Syberyi; na zachód zaszedł między mnogie koczownicze ludy, rozrzucone po bezmiernej przestrzeni od muru chińskiego po Wołgę i stał się tam wszędzie raczej brakiem religii jak religią, a jedynie w Tybecie urzeczywistnił swój ponury ideał powszechnego zaparcia się siebie i świata.

Gdyby nowa wiara była zaszła między wyspy wschodzącego słońca wprost z Indyi, byłaby może w Japonii wielkiem życiem ożyła i byłaby może wydała dodatniejsze i wyrazistsze owoce. Naród japoński bowiem, którego cywilizacya rozpoczęła się dopiero u brzasku średnich wieków, posiadał wojenny animusz i wewnętrzną swobodę i bohaterskie ojczyste legendy i wojowniczy honor, wcale różne od chińskiej martwoty, i gdyby Japonia była leżała na wybrzeżach Europy, byłaby się zawczasu stała potężnym i oświeconym narodem chrześcijańskim. Tam wśród morza Spokojnego otrzymała całą cywilizacyą swoją od Chin i od Chin przejęła martwe już nasienie.

To téż tylko usposobienie narodu i honor feudalny rycerstwa, odróżniają Japonią od Kitaju, pod względem moralnym i czynią tu milszym dla nas Europejczyków pobyt. Zresztą do niedawna wiara obydwu narodów była we wszystkiém jednakową; Buddaizm i w Japonii był do tego stopnia martwą literą, że zgasł bez walki, skoro rząd zaczął pozamykać wszystkie klasztory. Tylko ludność mniej gęsta żyje swobodnie, bezmyślnie, rozpustnie i wesoło i tylko feudalny rycerz japoński, Samuraj w dwa miecze uzbrojony, tak wysoko niesie cześć swoją, że gdy mu kto czołem nie uderzy jak się należy, zabija wroga i potem siebie, przekonany, że taką hańbę tylko we własnej krwi umyć zdoła. Zresztą Japonia tylko naśladowała Chiny niegdyś, tak jak dziś naśladowuje ślepo liberalną Europę.

Tybet jeden, przyjąwszy wprost z Indyi objawienie nicości, przejął się gorętszą wiarą i zamienił się w jeden wielki klasztor, ponad którym góruje jeden przeor nad przeory, Dalej Lama. Zwłaszcza tyle kobiet oddaje się życiu klasztornemu, że tu jak w starożytnej Arabii jedna niewiasta bywa wspólną żoną, a przeto i panią kilku braci; a powiadają, że zwyczaj ten wielką grzeczność wyrobił u ludu. Zresztą

skoro mieszkańcy Tybetu prawdziwą wiarę dusz swoich z Buddaizmu zrobili, zażądali żywego Boga. A skoro go nie było w niebie, ustanowili go na ziemi. Arcy-mnich Tybetu, niedostępny Dalej Lama, wcielaniem Buddy i skoro jeden umrze zanudzony samotnym wyniesieniem, szukają kapłani następcy wśród dzieci zrodzonych w dzień jego śmierci i poznają go z serdecznym drżeniem po znakach i cudach, czyniąc dla ludu bóstwo, co sobą samém zdziwione, samo w sobie najczęściej wierzyć nie może.

Takiemito były losy Buddaizmu, skoro wyszedł z półwyspu indyjskiego i tak się przemieniło w płytką stojącą wodę, morze aryjskiej rozpaczy, gdy zaszło między żółte ludy Turanu.

I oto widzieliśmy już po kolei synów Chama, Sema i Jafeta, wszystkie trzy wielkie konary owęj wschodniej a starożytnej ludzkości, co nas i nasze dzieje naprawdę obchodzi i rzuciliśmy nawet okiem na obcych zewszystkiém Turańczyków. Widzieliśmy w Azji trzy cnoty różne. U synów Chama i w Chinach troska o chleb i ciało było cnotą, g'woli której tłumiono duchowne popędy; u synów Sema poświęcono bogactwo pragnieniom duszy żadnej samotności, boju i poezyi; u synów Jafeta zależała wreszcie cnota na tém, by się wyprzecé wszystkiego, co własne tak z ciała jak i z ducha. Cnoty te różne osiągały cele: Chamitów nagrodą dobrobyt obecny, obecnego pokolenia; u Izraelitów trwało przekonanie, że Bóg dba o tych, którzy pogardzili doczesną troską i nietyle ich samych uszczęśliwia, ile gotuje dla nich życie wieczne i błogie w mnogim potomstwie, powołaném kiedyś do panowania powszechnego; Arejczyk spodziewał się w nagrodę za cnoty oswobodzenia od wszelkiego cierpienia, zatury osobistości i złączenia z nieosobistém bóstwem. Niémamy teraz przed sobą nowego plemienia i musimy zostać przy synach Jafeta, gdy wyjdziemy na wyżynę Iranu, ale dostrzeżemy nowy rodzaj cnoty i nowy jój cel osobisty, czyli nową nagrodę. Cnotą Persów i Medów walka powszechna ze wszystkiém, co sprosne i szkodliwe na ziemi; nagroda ich wieloraka; sama walka daje często dobrobyt, a aby mogła się toczyć, wymaga panowania nad innymi ludami; ale główną każdego nagrodą: osobiste, wiekuiste życie w raju aż do chwili przynajmniej, gdy nastanie wieczność, które to słowo niebawem zrozumiemy.

Oto wymieniliśmy z góry różnice między cnotą perską a cnotą innych narodów starożytnego Wschodu. Gdyśmy to uczynili, należy się także i tu już oznaczyć to co wspólne Irańczykom i ich sąsiadom, co wszystkie ludy owoczesnego Wschodu jednakowo cechuje, a takich rzeczy jest kilka. Oto najpierw żaden człowiek Wschodni nie działa na własną rękę, dla własnego tylko dobra: celem każdego służba rzeczy powszechnej, ogólnej, w obec której on jest niczem. Choć nagroda osobista czeka cnotę, jój źródłem, jój powodem jest coś położonego poza osobą i powyżej osoby. To coś jest gromadą, jest mrowiskiem ludzkim u synów Chama i w Chinach; to coś jest Wszchemogącym jedynie, naprawdę Istniejącym Bogiem u Semitów. To coś wreszcie

jest w Indjach powszechną istotą nie-istotą, bogiem owym nieuchwytnym, co nieruchomą jest jednością wśród jawu mieniającego się wiecznie; taką samą potęgą, w obec której niknie człowiek i jego cel, jest w Iranie Ormuzd.

Powtóre, widzieliśmy u wszystkich ludów Wschodu, że ludzkość dzielono na osobne rodzaje, i to najczęściej na różne kasty, którym różną przypisywano cnotę; a jeśli tego w całej rozciągłości nieczyniono, jeśli nieprzezywano występkiem dla jednych tego, co dla drugich było cnotą, odsądzono już zawsze od cnoty wszelkiej większą część ludzi, twierdząc, że jest przystępną tylko dla swego narodu, albo dla małej garstki wybranych. Najmniej wyłącznym był Buddaizm, choć i on tylko małą garstkę do zbawienia zwywał, a lubo Mazdeizm religia Irańczyków, podobnie jak Buddaizm wierzył w możność cnoty u wszystkich narodów, nieróżnił się do tyła od innych nauk Wschodu, by nie dzielił wybranego nawet narodu na różne kasty o najróżniejszym obowiązk.

Wreszcie widzieliśmy, że wszędzie na Wschodzie istniał obyczaj święty, którego w niczem naruszyć, w niczem zmieniać niebyło wolno; i tu ujrzymy, że Iran został wiernym nieruchomości Wschodniej. Podobnie jak Izrael tak i Iran wierzył w przyszłe ziszczenie obietnic danych w zakonie, i pracował prócz tego nad rozszerzeniem swego zakonu, ale sam zakonu w niczem nie zmieniał.

Powiedzieliśmy to, by ująć w jedną całość treść niniejszej księgi a teraz możemy już bezpiecznie przystąpić do rzeczy i zaniechać dalszych wstępów. Otóż wszyscy wiedzą gdzie leży ów Iran, gdzie się może niebawem zmierzają największe mocarstwa lądowe z największą potęgą morską, a choć kto może sobie wyobraża że to jest letni raj ziemski, i nie wie otém że tylko w dolinach ciepło, a w większej części kraju srogie jak u nas zimy i zawalne śniegi, i choć może kto nie wie że wody w Iranie mało, że tylko dokoła wyżyny, okolice zamieszkałe tworzą wązki i to przerywany pierścień, a po środku najpustszy, zimny niepiękny step solny, nie nam o tém wszystkiém pawić. Chyba tyle tylko się należało o tém wspomnieć, ile jest niezbędnem by zrozumiano pojęcia mieszkańców smutnego pustkowia; widzieliśmy jako kraj wpłynął na myśli każdego narodu o którymśmy mówili. Ujrzymy co uczuli i pomyśleli zawczasu owi synowie Jafeta, co na to by żyć, musieli z trudem uprawiać górskie doliny, co dobytek swój musieli coroku starannie ochraniać przed srogą zimą, a pole swoje i ogrody latem użyźniać, sprowadzając z daleka wodę wśród skwarów lata posusznego. Ciężką była ich dola, a choć przyroda co ich otaczała była wspaniałą w jałowych gór majestacie, niewiele ma uśmiechów dla ludzi; co piękne, czyto kwiat, czy dolina, to nad wyraz piękne; a gdzie wicher stepowy nie doleci, a źródła górskich podostatek, tam jakby ogród boską zasadzony ręką, ale tego co piękne i dobre szukać musi człowiek, a znalazłszy nawet sadybę dla siebie, musi potem o nią bój toczyć z koczowniczymi plemionami pustyni i ze zwierzętami drapieżnymi, i la-

tem z niezliczonym rojem owadów wylętych przy każdym źródle, a złośliwych jakby duchy piekielne, o których wiele prawi wyobrażenia perska.

I nie na tém się kończyły kłeski Irańczyka. Przed wiekami najstraszniejszym dlań wrogiem był syn Sema i Chama: Asyryjczyk i Babilończyk, który od czasu do czasu z wielką potęgą najeżdżał Iran potężny, albo zakradał się doń małemi oddziałami. Czasem przemocą palił wie i brał w niewolę; częściej jako kupiec z Babilonu korzystał z nędzy gospodarza by kupić od niego, za pomocą żółtego błyszczącego kruszcu chłopców i dziewczęta, albo nawet jego własną piękną żonę na srom i ciężką niewolę. Nietylko ze złością zimy i posuchy; ze złością ludzką, czyto oręzną i królewską, czyto podstępną i kupiecką musiał walczyć syn Iranu po wszystkie dni swoje. A jeśli mimo to żył jakoś, to tylko dzięki pomocy bogów, i dzięki zakonowi objawionemu niegdyś w Baktrii prorokowi Zaratusztrze, czyli jak go zwykle nazywamy Zoroastrowi.

Od początku był czas nieskończony—Zerwan Aharamana. W nim jest wszystko co jest, a nim rzeczy powstały, śniły w łonie Zerwana wszechrzeczy zarodki. On wreszcie do ładu rzeczy doprowadzi, on kieruje duchów walką, on jest najwyższą istotą, choć nie Bogiem w chrześcijańskim znaczeniu, bo istotą nieosobistą, z której się wszystko wydzieliło i co nie nie stworzyło.

Oto, po wiekach wielu, w których otchłan czasów była spokojną, powstało światło i powstały ciemności. Światłem był Ormuzd święty duch, a ciemnościami był wróg jego Aryman; póki światła nie było, nie było cieniu i przeto nie było ciemności; zło nie powstało w pierwim nim było dobro; Arymana nie było przed Ormuzdem, ale skoro Ormuzd się wydzielił z Zerwana, skoro dobro i światło powstały dla siebie, był już wśród czasów bezbrzeżnych i Aryman, było zło, były ciemności.

Ormuzd, Światło, Święty duch wypowiedział słowo, i oto powstało sześć rzeczy świętych: Bohman to jest dobra myśl, Ardibehiszt czyli czystość najlepsza, Szachwari czyli królewskość, czy król potężny, czy téż ład, Ispandarmat czyli nabożeństwo i mądrość, Chorwat czyli prawda, Ameretât czyli nieśmiertelność. Są to duchowie skrzydlaci i świetlani, którzy wraz z Ormuzdem płoną jak siedem świeczników wśród czasu bez końca. Duchowie ci pochodzący ze słowa Ormuzdowego są częścią myśli jego, częścią jego istoty, tego co dobre i jasne. Wiekuiste one i nieprzemijające póty, póki trwa walka a przez walkę i świat. Oneto wraz z Ormuzdem świetlanemi są pierwowzorami rzeczy najwyższych tak w porządku ducha jak w porządku ciała; bo z rzeczy widomych każda najlepsza jakby odbłaskiem jednego z świętych nieśmiertelnych, jednego z siedmiu archaniołów czyli Amszaspandów jak ich zwali Persowie. Zoroaster prorok to cień Ormuzda, słońce i ciało niebieskie odbłaskiem Bohmana, ogień Ardibehisza, król Iranu Szachwarego, Ziemia rodzajna dobrej archanielicy Ispandarmaty, powie-

trze i sklep niebieski Chorwata, a wreszcie wody i święte napoje Amertata.

Ale słowo twórcze Ormuzda nietylko współistotne jemu święte ideały wytworzyło. Naprzeciw każdego z Archaniołów z Amszaspandów świetlanych, czy też z bogów, (bo słowo i imię Bóg dawano im w Iranie wedle słowiańskiego brzmienia) stanął Druh, stanęło czarne jego przeciwieństwo: Zła myśl, nieczystość, bezrząd, bezbożność, kłamstwo i śmierć zjawily się przy Arymanie współistotnie z Arymanem, a siedmiu Druhów odbiciem tutecznym—prorocy kłamliwi, ciemność, zimno, buntownicy, nieurodzaj, zawierucha i posucha. Stanęło tak wśród czasu bez końca z każdej strony po siedmiu duchów gotowych do walki—i oto był rzeczy początek. Przy wodach zjawily się wnet wojska, mnogie myśli dobre i złe, dobrych i złych rzeczy niebieskie i piekielne pierwowzory. Poniżej archaniołów stanęły anioły Izedy, podobne do nich ze światła i postaci. Jak to widzimy, odbicie w blasku gwiazd niebieskich i w rzeczach dobrych na ziemi, a ich przeciwnikami Diwy z postaci podobni do rogatych olbrzymów, których odbłaskiem rzeczy szkodliwe. Ciała Izedów z ognia były, z samej istoty, samej myśli Ormuzdowej; widome, namacalne, łakome ciała Diwów z ciemności lepione. Trzecie wreszcie piętro tamecznych hierarchii tworzą duchy dobre i złe, Ferwery i Peri; Ferwer każdy to anioł stróż człowieka, Peri to rusałka albo duch psotnik. Oto cała hierarchia, której obrazem i odbiciem świat niższy.

Gdy tak stanęły już zastępy do boju, powołał Ormuzd jednego z aniołów ktoremu na imię Gau-Tamasz i kazał mu świat zrobić. Gau-Tamasz wziął wielki młot i skował sklepienie niebieskie, i ziemską bryłę ze szczerzej jasności. Ze złota była ziemia, ze srebra powietrze, a kwiaty i krzewy i zwierzęta łaskawe zakryły wszystko kraśną niewysłowioną. Pośrodku stanęła góra Elburs o siedmiu piętrach z dyamentu, a u jej szczytu raj i pośród rajy pałac jaśniejący nieopisanym światłem. W pałacu tym zamieszkał Chorosz w postaci młodzieńca przyobleczonego w jaśniejące szaty. Kazano mu trzy razy na dzień zjeżdżać na dolną ziemię na rydwanie ciągnionym przez plamiste lamparty i wszystkim mieszkańcom ziemi, roślinom i zwierzętom, aniołom i czartom głosić rozkazy i nauki Ormuzda.

Lecz ledwo ziemię stworzono a Aryman popsuł ją całą. Zesłał na nią zwierzęta złe, rośliny jadowite, mrozy i upały, walki i choroby i zaludnił ją Diwami i Peryami, którym dał za wodza czarta Asza, co wychodząc trzy razy na dzień z ciemności, głosił wbrew Choroszowi wolę szatana.

A wtedy to w siódmej dobie powołał z głębi mórz Ormuzd Hanamana, innego anioła i kazał mu uczynić człowieka i osadzić go w raju na pana wszechrzeczy. Hanaman uczynił z ziemi czerwonej człowieka Meszyę i z żebra Meszyi niewiastę Meszyangę i wrócił w głąb wód, a Chorosz złożył sam hołd człowiekowi i wraz z nim archanioły i anioły i zwierzęta i rośliny. I z zastępów Arymanowych wielu przyszło

złożył hołd nowym panom stworzenia; ale Aryman postanowił popsuć to dzieło Ormuzowe; zawołał tedy do pomocy węża chytrego i pawia pysznego i wkradł się do rajy i wszedłszy do rajy, zjawił się w takim blasku i w takiej potędze i piękności przed pierwszymi ludźmi, że oni oćmieni padli na twarz i dali mu cześć. A wtedy namówił ich by jedli owoce drzew; a skoro jedli, spadły z nich szaty świetlane, w które je był przydział Ormuz i Bomar przybył z nieba z zastępem Izedów zbrojnych w miecze, Chorosz przywłókł jaśniejącą zbroję, a Aryman powołał do siebie Druhów swoich wiernych i Diwów. Zaczął się tedy wielki bój w rajy i aniołowie zwyciężali, gdy się Aryman zamienił w wielkiego węża o straszliwych splotach. Ział ogniem ciemnym i uchodzili przed nim aniołowie. Po obłokach spinał się jako zwycięzca do nieba po stolicę Ormuzową; ale Ormuz sam chwycił za gromy i nowy rozpoczął bój, aż zegnał z błękitu złe zastępy i odbił pałace Choroszowe i odzyskał raj z którego na łeb zrzucił i Arymana i węża i pawia i pierwszych ludzi. Aryman wpadł do bezdennej otchłani, a ludzie spadli wraz ze zwierzęty kusiicielami na ziemię.

Ale gdzieindziej spadł Mesziah, gdzieindziej padła żona jego Mesziane. Nadzy, samotni, wśród srogiój zimy i skwarów gwałtownych, pozostawieni sobie samym w nędzy za to, że się pokłonili duchowi złemu, choć od wszystkich duchów byli wyżsi i że niechcąc duchownego tylko bytu, dali się skusić do jadła i napoju, błądzili trapieni od czartów przez dwa wieki szukając siebie w ucisku i tęsknicy. W znużeniu płacząc i narzekając usypiał Meszya, a gdy usypiał wołał żony swojej. Już był gotów wszelkie znieść męki na które zasłużył, byleby Mesziane stanęła przed nim, byle znów zaznał miłości żony jak niegdyś w rajy, byle miał się przed kim pożalić, byle miał kogo pocieszać. I usnął, a widma senne przyszły do niego, siadły przy nim urocze widziadła, a między nimi była Mesziane, kobieta. Objął ją miłośnie ramiony, przycisnął do siebie, ukochał, pojął znów jako żonę i gdy już śnił, że wszelkie szczęście dopełnione, przebudził się sam, wśród pustkowie, zwierząt dzikich i złych duchów i zasłoniwszy twarz uszedł dalej. Ale gdzie we śnie ukochał żonę, tam stanął anioł Hanaman i uczynił cudo z rozkazu Ormuzowego. Oto wyrósł z ziemi przepyszny cudowny kwiat ogromny, a wielobarwny, a z kwiatu wyszedł naród cały płowy, piękny, zbrojny, strojny, młodzianów i dziewczek; z każdego listka tęczowej obłonki wyjechało konne mężów pokolenie, a za rycerzem każdym siadła na rumaku dziewczica. Na czele jechał w złotolitej mitrze z łukiem i sajdakiem i strzałami o złotem ostrzu szach Iranu Kajumarat. I stał się naród na ziemi i stał się narodu król; a gdy wreszcie Meszya nie we śnie, jeno na jawie dopadł swój żony i gdy z nią począł bliźniących par dwanaście, w dwunastu wieków kolei nie były to rody na które Ormuz spogląda rad; ociążone klątwą co na rodziców padła, służyły i służą wężowi, pawiowi i Arymanowi i mieszkają w złości i bałwochwalstwie w zamrożonym Turanie, na Sybirze lodowatym i w spiekłej

pustej Arabii. Naród wybrany, naród prawdomówny Iranu, to dziecko snu szczęsnego i wonnego kwiatu.

Kajumarat wziął pierścień czarodziejski i tarczę i miecz cudowny i wojował z duchami złymi i z olbrzymami, co powstały gdy zawiązano zdrożne śluby pomiędzy Diwami i córami ziemi i zwyciężał długie wieki, aż mu się sprzykrzyło berło i aż wyrósł mu w oczach syn jasnowłosy, rumiany Samian. Jemuto oddał berło i sam odeszedł spoczywać w ustroniu wśród kwiatów i pieśni w ogrodach Adżerbidżanu; spoczywał niedługo a poznał, że komu Ormudz dał panowanie nad ludźmi, ten winien i sądzić i rządzić i wojować, a nie winien myśleć o pokoju i cichém szczęściu poddanych; doleciała do ogrodów królewskich wieść smutna. Niedorósł Samian piękny zadania królewskiego; zginął w boju ze złymi duchami. Sturamiennie olbrzymy zagasiły jego życie, a został tylko syn po nim czarnowłosy, jak dym po ogniu ofiarnym, Husztasp małoletni. Musiał tedy znów dosiąść rumaka Kajumarat, musiał wiaść tarczę słoneczną i miecz jasny i w boju krwawym zwyciężyć, wytępić, wygnać narody Diwów; albo uszły do otchłani duchy niedobre by mieszkać wśród ciemności z Arymanem, albo musiały służyć człowiekowi czyniąc mu odtąd szkodę, lecz tylko pokryjomu i ukradkiem. Zapanował Kajumarat w spokoju nad Iranem i kazał tylko po wszystkich górach zapalić wieczne ognie, by wspominały płonąć nieśmiertelnie Samiana, co zagaśł przedwcześnie, by dym rozdziły zamiast syna Husztaspa i stały dym w niebiosy, kędyby hasał dosiadłszy wichru, w przemiennej postaci obłoków co ciągną za morze.

Rozgromił wrogów, zapalił ognie Kajumarat i umarł, a z jego śmiercią wstała kłeska nowa dla krajów Iranu. Aryman sługi swoje Turków niewiernych zesłał jak szarańczę by kraj tratowały, a matki i dzieci ledwo się schroniły po mężów pogromie w góry niedostępne niosąc z sobą młode królewiątka Husztaspa; i trzysta lat trwało w Iranie zniszczenie, aż Turek i Tatarzyn wrócili na północ w śniegi, zostawiając za sobą zgaszone ogniska, spustoszone sioła, cmentarz tylko i zniszczenie. Wtedyto pierwszy wyszedł zpoza gór król młody Husztasp czarny i jechał sam wśród smutnych rumowisk i patrzył na grób narodu. Aż wreszcie wyjechał na wzgórze i spojrzął z niego dokoła, i westchnął ciężko widząc wszędy, kędy oko sięgało, po sam widnokrąg siny, nic tylko dzieło Arymanowe, nic tylko kościotrupy i gruzy. Wepchnął tedy włócznię do czarnej, twardej ziemi, konia przywiązał do włóczni, mięso wyciągnął spod siodła i wziął się ogień krzesić, naniósłszy drzewa na wzgórze, by przy ogniu upiec jadła dla siebie. Suche drzewo zatliło się, zasyczało i ogień święty buchnął znowu na wzgórze wśród pustego Iranu; gdy królewicz usłyszał śmiech piekielny i podziemne chychotanie, i jakby świst wichru i uczył że wzgórze całe się zatrzęsło. Koń zarżał i wyrwał włócznię i spadł z ruchomego wzgórza na wznak w proch, ogień zgaśł, a trwoga wstała. Wzgórze to nie wzgórze było, to był smok, to był Aryman, co zniszczywszy dzieła Ormuzdowe spoczął na wyżynie Iranu. Zionął czarną nocą, błysnął

oczyna piekiel, zgrzytnął zębami, wstrząsł łuską, rozwarł niezmierne skrzydła nietoperze i chciał z młodym królem ulecieć do otchłani. Ale Husztasp miał mężne serce i wyciągnął z pochwy długi, krzywy, ojcowski miecz i zaczął rąbać i zaczął siec, aż z bólu wrzasnął szatan i spadł na ziemię; i tu Aryman, mocny, czarny bóg zaczął sam na sam walkę z królem Iranu i walczył dziesięć dni i dziesięć nocy, zmieniając postać co chwila. Wreszcie z pomocą archaniołów co przy nim stali niewidomie, zwyciężył bohater, a szatan z wrzaskiem uszedł nazad do swoich do otchłani. Król mógł naród napowrót do Iranu zawołać, odbudować ołtarze, krowy święte puścić na paszę strzeżone przez czujne psy i orać łona rodzajnej ziemi; mógł to czynić i patrzeć na naród z weselem, aż Aryman stworzył poczwagę, którą wysłał na nową ludu kłeskę.

Poczwarą zgubną był ptak czarny—niezmierny Kameh. Wyleciał z otchłani ciężkim lotem i wzniósł się nad ziemią. Niemiał szponów drapieżnych, niemiał żarłocznego dzioba, a jednak niósł z sobą zgubę: bo skrzydła jego były tak wielkie, że słońce zaskoniły i noc czarną uczyniły na Iran cały. Zaćmienie było i noc była nieustanna a kruk Kameh krakał wśród ciemności, a żniwa ginęły pod cieniem skrzydeł jego. Bielaty, schły drzewa, marły dzieci słońca pożądając, a mróz ścinał ziemię. Przeleknione gromady tuliły się po światło i ciepło dokoła czerwonych ognisk zapalonych na ołtarzach. Wtedy to Husztasp wezwał w modlitwie pomocy Ormuzda i powołał rycerzy, powołał mężów wszystkich Iranu, by łuki napięli, by zgotowali strzały. Stanęli do boju w wielkim szyku, a niewiasty z boku patrzyły, bacząc czy Ormuzd da zbawienie. Na znak dany syknęły tysiączne, krociove strzały i leciały pędem do góry, aż utkwily wszystkie w czarnym kuku Kameh. Zakrakał raz jeszcze, uderzył złowrogo skrzydłami i padł nieżywy na ziemię. Ale upadek jego to kłeska była nowa i nowe zniszczenia. Jakby góra jaka z nieba spadła na Iran. Skrzydłami, dziobem, piersią, łapami zwałił ptak grody, obalił o ziemię wieże, przycisnął śmiertelnym ciężarem narody. Byłać uczta dla śmierci a Aryman roześmiał się w głos wśród otchłani, i wyszedł na pustą wyspę wśród oceanu, aby sobie w radości sprawić krotochwilę. Chodził w postaci, którą sobie upodobał, do człowieka podobny, chromając na końskie lewe kopyto, rozwarłszy nietoperze skrzydła, machając krowim ogonem, ruszając uszyna oślemi po dwu stronach capich rogów i śmiejąc się nad brodą capią jako szkaradna poczwara czarna. I patrzył się z radością na wszystko co brzydkie było i co wypełzło z morza. Patrzył i zacierał ręce.

Wtém oto z wód wyszły dwie istoty co go ucieszyły: jaszczurka długa, krokodyl żarłoczny o głupim oku, rozwartej paszczy i łuskach szkaradnych i zwierząt ciężki sowizdrzał, do baryłki olbrzymiej podobny hipopotam, którego nogi cztery grube słupy, w którego paszczy wielkiej jak brama kły niedorzeczne, którego oko w ogromnej głowie niknie małe a kpiące. Rześmiał się pan ciemności widząc to co ujrzał i postanowił wykrzywić się miłości, którą dał Ormuzd i wzbudził czułe kochanie w sercu krokodyla dla hipopotamicy. Wzdychały, gruchały

do siebie zwierzęta najbrzydsze, które wyszły kiedy z toni podziwiając swe wzajemne wdzięki, a Aryman po piasku nad morzem tarzał się od śmiechu—wreszcie na złość małżeństwu Ormuzdowym pobłogosławił czułej poczwary parze, i korzystając z bogów przywileju, wcielił się jako obu potomek, jako dziwny stwór Rochsze; był to koń o ludzkiej szkaradnej głowie, skrzydłach żuka i szesnastu nogach pająka. Ten koń wyleciał cwałując i śmiejąc się na Iran, by nieść Husztaspowi zgubę, i stanął przed królewskim pałacem i wezwał ludzkim głosem króla, by popróbował z nim szczęścia. Jeśli nie jest tchórzem niech jego dosiędzie. Poznał Husztasp prawdomówny że ten koń, że ten Rochsze to Ariman sam; poznał że jego zamiarem, porwać go wraz z sobą daleko z Iranu i zanieść do otchłani. Ale nie lękał się Arymana bohater i choć żony jego drżące błagały by tego nieczynił, dosiadł poczwary ufnym w pomoc archaniołów. Parsknął Rochsze i uleciał wraz z bohaterem w otchłanie; lud Iranu widząc jak król ukochany zniknął wśród obłoków, załamał w rozpachy dłonie, ale Husztasp nie tracił odwagi; znikły obłoki, znikła ziemia z oczu w szalonej powietrznej jeździe, znikło jasne słońce i Husztasp jechał na Arymanie wśród ciemności—ale ciemność rozświecał tarczą dziadowską jakby słońcem drugim i bez trwogi był, bo ufał w pierścień swój, i ufał w miecz co w dziada rękę tyle Dziwów zgroził.

Nareszcie Aryman zawitał do swojej stolicy do piekieł, i Diwy przywitały go okrzykami radości jako króla i pana. Ujrzał Husztasp na żywe oczy druhów czarnych, arcy czartów, sześciu braci Arymanowych, wielkich aniołów ciemności, na których i spojrzeć strach było; okropny naród otoczył go śmiejąc się. Wszystkie duchy nieczyste przybrały ciała ludzkie, ale głowy ryb, gadów, żab i owadów nieczystych, a najohydniej wyglądali wśród mroku piekielnego arcy czarty, których głowy rekinowe, wielorybie, krokodyle jaśniały zielonem światłem próchna. Mogło się wydać, że król Husztasp już na wieki między takie zawitał goście; mogło się wydać, ale tak nie było naprawdę. Darmo chciał go Aryman rzucić narodowi swemu na pastwę. Husztasp spinał poczwary Rochsze ostrogami, nie chciał z niej zsiąść, nie puścił jej na wolność i siedząc na grzbiecie pana piekieł, siekał sam dobrym mieczem lud jego obrzydły. I wnet otoczyły go aniołów zastępy. Diwy, Druhi, wszelkie czarty oddały w trwodze zwycięzcy gród piekielny, a sam Aryman wrócił na ziemię jeńcem, by służyć królowi za rumaka w bojach ze złymi synami Turanu. I jeżdżąc na Arymanie bił Husztasp długo jego sługi, aż wreszcie raz Aryman w nocy wśród burzy, zdławił konia Rochsze w którym był jeńcem, i uciekł z wichrem z królewskiej stajni, zostawiając w rękę bohatera same tylko ściervo poczwary. A teraz lecąc ponad zamki szacha zgrzytał arcy czart zębami i zacinał pięście, poprzysiegając pomstę za długą poniewolną służbę. Wpadł nareszcie sycząc, do węża podobny, między kłęby dymu, które biją wciąż z ogromnej czarnej jamy na szczycie góry Demawend. I tu zwrócił lot, i wśród dymu i woni siarki wpadł jamą do wnętrza ziemi, gdzie wie-

dział, że przed laty schroniły się przed Kajumaratem przez Diwów i niewiasty spłodzone olbrzymi.

Wielkoludy siedzieli cicho na bryłach siarki, przy sadzawce z żarzącej lawy, oświetleni odblaskiem roztopionego kamienia. Kłęby dymu otaczały ich, a napoły niebieski, napoły żółty cuchnący płomyk jawił się to tu to tam wśród szafirowego tumanu; i nudno było olbrzymom; pozakładali ciężkie nogi i znudzone głowy oparli o ogromne ręce, gdy się zjawił nad środkowym kraterem pośrodku nich, niby jakiś ogromny cień arcy czarł Aryman, i przywitał swoje twory głosem podobnym do grzmotu, głosem co się rozległ po pod ziemią daleko w głąb Iranu; chętnie usłuchały duże olbrzymi namowy, by na Iranie wykonali zemstę Arymanową, zemstę własną za wygnanie do krateru czarnego. Zaczęli tedy z wielkim łomotem chwytając za kamienie, i zaczęli je podrzucać do góry, że wlatywały wysoko po nad górę, i spadały na Iran o mil kilka. Leciały niosąc za sobą zniszczenie, czerwone głowy, a Aryman zwiśł nad górą w postaci czarnego obłoku we dnie, a w nocy podobny do ognistego słupa, z którego biją pioruny; nad głową tylko trzymał wciąż koronę z obłoków, kapelusze czarne o wielkich brzegach którym straszyl Iran.

Ujrzał to Husztasp. Ujrzał jako Aryman na złość Ormuzdowi zapala swoje złe ognie, i wołał lud, i śladem dziada ciągnął w bój na Demawend, by gromić krnąbrne olbrzymi; i jechał z wielkim animuszem i zbliżał się już do góry, gdy kamień wielki ugodził w niego kołując, i poraził go w pierś i zwałił na wznak. Obskoczyła go drużyna z krzykiem, ziemia się zatrzęsła, Aryman znikł z obłoku; zgrzytnął raz jeszcze zgrzytem podziemnym i znikł zwycięzcą w otchłani. Ale Ormuzd posłał aniołów promiennych by bronili dziecko, wnuka Husztaspowego, płowego Dżyamszyda, dziecko o niewidzianym wdzięku, słoneczne stworzenie. I Iran żył szczęśliwy, a król Iranu wzrastał, i wszystkich serca śmiały się do dziecka. Niedługo a zasiadł na złotój stolicy w Balch król najszczęśliwszy.

Błogo było w Iranie, i promiennie, i złocisto. Kwiaty woniały, słowiki śpiewały pieśni miłosne, a król Dżyamszyd siedział w pałacu złocistym. Trzy razy na dzień zlatywały na ziemię pstre lamparty, co ciągną rydwan Chorosza i dobrze było, i ludno, i ciepło, i wonno, i spokojnie jak uigdy wpierw w Iranie. Aż ludzi, i bydła, i koni rżących namnożyło się nadto wiele i aż stanął Dżyamszyd zadumany i o miecz sparty myśląc, gdzieby pomieścić te tłumy, na które niebyło już miejsca na ziemi Ormuzdowej. I oto jasność wielką nieskalaną ujrzał przed sobą pan Iranu i poznał, że mu się zjawił sam Ormuzd. Uderzył szach czołem przed pierwszym archaniołem jasności i usłyszał głos podobny do wielkiego śpiewu co mu rzekł: „Włóż miecz twój, miecz ojców twych do ziemi, a rozszerzy się cała i dla wszystkich będzie miejsce.” Jasność znikła, Dżyamszyd uczynił jako mu nakazano, i włożył miecz swój w łono rodzajnej ziemi, i oto rozszerzyła się i wiele miejsca w niej nastało dla zwierząt i ludzi, i błogo było znowu na ziemi. Aniołowie

z ognistemi mieczami strzegli bramy piekielnej i nie puszczali szatanów na ziemię, a wino wyrastało z blizny, którą uczynił w ziemi miecz szacha, rozkładało liście swoje, pełzło po ziemi, słało kobierzec rozkoszny, niosło lśniące pełne jagody, dawce szału. I wycisnął jagody Dżyamszyd i ubił je nogami, i dał sokowi stać aż zakipiał, i aż wyszły na płyn lśniące banieczki szału, i dał się napić płynu żonie, królowej Feramak. Wzięła Feramak puchar czarodziejski co z jednego był szafiru i przyłożyła puchar do ust swych, i piła trunek, co się lśnił w pucharze. A marzenia lekkostope szły jój do głowy, i zamykały się oczy, opadała jój głowa, porywał ją szal, aż wreszcie śmiejąc się i płacząc rozkosznie usnęła Feramak; usnęła i śniła na wonnym łożu dziewięć miesięcy, a król Dżyamszyd kazał grajkom z gęśłami stać przy niej i grać i śpiewać pieśni łagodne jak sen, i sam przychodził całować złotowłosą królowę. Aż oto po dziewięciu miesiącach zbudziła się Feramak, i oto w ręku swém miała dziecko białe, rozkoszne, i zawołała ojca i synka podała szachowi; szach wziął syna w ręce i przybliżył go do ust swych i ucałował, i nazwał królewicza Ferydunem i kazał go chować w rycerskiem rzemiośle ¹⁾).

Na koniu białym jechał Dżyamszyd w złotogłowiach, nogi włożwszy do złotych strzemion, z czaplą kitą na kołpaku w brylantowej szpince, i uśmiechał się, słucał pieśni słowików i podkręcał wasa; wtém ujrzał, jak przed laty, jasność Ormuzdową, wielki blask na niebie. Wstrzymał konia zsiadł i ugiął kolana, a głos archanioła zawołał na niego: „Dżyamszydzie! oto tobie nakazano; idź naokoło ziemi rzuciwszy pałace jako człowiek ubogi i nauczaj ludy słowa żywego, nauki mojej, nauczaj ich prawdy, sparty o kij i niepomny panowania.“ Dżyamszyd słyszał głos archanielski i pieśń wielką prawdę, ale żal mu się zrobiło pałaców, i niewolnic ukochanych, i sadzawek ze złotemi rybkami; odrzekł tedy: „O! Panie światłości i prawdy, nie, nie jestem ci stworzon na to by być pielgrzymem i nauczać narody. Do panowania jestem stworzony. Miecz wezmę do dłoni, berło podniosę i uczynię wedle mój woli.“ Tak rzekł Dżyamszyd, i nie posłuchał Ormuzda. A wtedy Ormuzd odwołał od bramy piekielnej archanioły, wypuścił na ziemię Arymana i drużynę jego. Wyszli by szkodzić, i wróciły na Iran czasy próby.

Wylecieli z otchłani na ziemię Drukowie i Diwy w różnej postaci, ale zawsze zimni jak stal zamarznięta na mrozie. Weju czart potężny w wicher się zmienił i gonił po płaszczynach i wkradał się w gór kotliny mroząc wszystko, świszcząc, łamiąc drzewa, trzęsąc skały ścianami. Arcyczart drugi Andra rogaty zaciągnął niebo szarym płaszczem, i sypał śniegiem na ziemię jakby pierzem, a śnieg leciał z wichrem, i wszystkim ludziom i zwierzętom zasypywał oczy. Asmodeusz wreszcie figlarz okręcał się śniegu tumanem i płażał wkoło wirując po Iranie. Mniejsze biesy mroziły stawki i rzeczki, jeziora i samo morze niezliczo-

¹⁾ Porównaj co do tych podań Zendawestę, epopeję perską Szach-Name, D'Herbetot'a biblioteque orientale i von Kuenen „Goddienst von Iran.“

ną ręką, wysysały soki z drzew, dusiły ptaki w powietrzu że spadały na śnieg i lód nieżywe, albo zwieszały się jako przejryste białe lodowce z dachów mieszkań ludzkich i stajen bydłęcych. Zimno było w Iranie, mroźno, nielitośnie.

Ale Dżyamszyd nie uczynił pokuty. Nie dbał o to, że narody kostniały po górach i w stepie; swoją drużynę powołał do Balchu do grodu i wystawił dla niej i dla zwierząt po parze trzy zamki wśród grodu, i pił wino, i grzał się przy piecach ogromnych. Doczekał się tak, aż czasów kolejną po dziesięciu długich miesiącach, zima znikła i wróciło lato, susząc po Iranie roztopy. I wtedy nie dbał Dżyamszyd ni o Ormuzda ni o Arymana i nazwał siebie sam Bogiem i postawił sobie przed bramą stolicy, dobrego grodu Balchu posąg ogromny, co miał sześćdziesiąt łokci wysokości i był ze szczerego złota.

I kazał trąbić trębaczom po kraju całym, by wszyscy przyszli pokłonić się posagowi króla, jedynego archanioła Iranu, jedynego zwycięzcy zimy ¹⁾. Usłyszali narody, i drżąc przed wolą pana zbiegły się przed bramę Balchu, i biły czołem przed posagiem i kłaniały mu się. Trzech mężów sprawiedliwych nie chcieli bić pokłonów: Fraszustr, Dżamasp i Purasp odmówili bałwochwalczęj czci królowi; wtedy gniewny Dżyamszyd kazał ich rzucić w wielki ogień, ale duch Samiana, co wstąpił między anioły, nie dał, by im ogień czynił krzywdy. I przeszli wszyscy trzej przez ogień czerwony, niedoznawszy żadnej krzywdy, i lud poznał dzieło anielskie, ale Dżyamszyd nie odmienił serca i trwał w dumie wśród grodu w Balchu, i trwał w bałwochwalstwie. Wtedyto Ormuzd rzekł Arymanowi, że do czasu nie będzie bronił Iranu występnego i że mu oddaje kraj na pastwę.

Aryman poszedł tedy do Arabii i zastał tam króla Zohaka w kraju Adytów, i przybrawszy postać rycerza w czarnej zbroi, przystał do niego w służbę. Podchlebiał mu, kłaniał mu się i radził mu, by szedł podbijać Iran, gdzie król niewojenny i w rozkoszy zniewieściały. Podobają się Zohakowi rady Arymanowe, a gdy się dowiedział, że rycerz w czarnej zbroi, to sam arcy czar, nie przeląkł się tego, a ucieszył bardzo i wzrósł w dumę, że miał pana ciemności dobrowolnym sługą i uczynił rycerza w czarnym zawoju pierwszym swoim doradcą i wielkim wizyrem. Zwołał tedy wojska konne Arabistanu i jadąc sam na czele, na dwu rżących ogierach, wraz z Arymanem, wpadł na równiny Iranu. I nie zastał oporu. Diwy wprawiły już lęk błądy w serce Dżyamszydowe i król Iranu uciekł z hańbą, rzucając zamki, w krainę zachodu ku morzu Śródziemnemu, a królowa Feramak ledwo się schroniła z synkiem Ferydunem we wschodnie góry Afganistanu.

Zohak zasiadł tedy na stolicy jako zwycięzca i pan ziemi i chciał Iranem rządzić sprawiedliwie. Przy jego lewicy (bo lewica w Iranie miejscem szaczone) stał w Balchu na grodzie, przy tronie Aryman księżę cieniów w postaci pięknego młodziana w czarnej zbroi. Dokoła,

¹⁾ To podanie odnowione w księdze Daniel.

na ziemi siedziało rycerstwo Arabii i Iranu. Aryman zwrócił się do Zohaka i przemówił doń podchlebiającemi słowy: do niebieskiego porównał go słońca, do jasnych gwiazd hetmana i pana ziemi; i rzekł że hołd mu oddaje, który odmówił niegdyś pierwszemu człowiekowi, i prosi o łaskę jedną tylko, o to, by mu wolno było króla swego i pana ucałować w oba ramiona. Podchlebstwo podobało się Zohakowi i dał się ucałować. Czart sam wobec możnych tej ziemi, w obec dywanu w Balchu składał hołd śmiertelnemu królowi. Usta jego płonące dotknęły się jednego i drugiego ramienia, gdy król słudze swemu k'woli obnażył ciało po pas w obliczu dywanu w tronowej sali. Na białém ciele spoczyły dwa czarta całusy, i oto, gdzie się usta ramion dotknęły, tam coś drgnęło, zasyczało. Z ciała, z ramion wyrosły dwu węzów kręte, ślizkie szyje i głowy jadowite, i zwróciły się wnet ku piersi królewskiej, i zaczęły sycząc pożerać królewskie ciało. A Aryman zmieniał się z rycerza w czarnego archaniola i skrzydłami cieniu zakrywał komnatę całą; ze strachu marli na poduszkach widzowie, a król z bólu rycząc tarzał się na ziemi. Wtedy to cień wielki, skrzydlaty i ciemny wśród rady podniósł głos i rzekł: „będą ciebie Zohaku gryzły węże, co się z moich całusów wyległy, byś pamiętał o Arymanowej służbie; tylko wtedy gdy się będą paść ludzkim świeżym mózgiem dadzą pokój twemu ciału.” Rzekł to i znikł cień wielki z komnaty, a widziano potem tylko obłok czarny co żeglował przez błękit ku morzu i znikł wreszcie w otchłani. Teraz dopiero Aryman zatruł naprawdę Iran, dzieło Ormuzdowe.

Na łożu swoim wił się z bólu król, a dwa węże połyskiwały mu na ramionach i piersi, a wierni jemu Arabowie wlekli do przedpokoi królewskich ludzi i zabijali ich. Najpierw, zrazu niesiono węzom na pastwę mózgi zbrodniarzy wydobytych z więzień; ale węże były wiecznie głodne i zbrodniarzy niestało niebawem; chwytano tedy co żywo, kto winien, niewinien padał ofiarą. Narzeczoną postradał narzeczony, męza wydarto z ramion żony, a matki płacząc, darmo broniły dzieci przed królewskimi siepaczami. Krew lała się strumieniami dokoła pałacu Zohakowego, lud przeklinał króla ze łzami, a król ponury siedział wśród komnat w rozpacz, z węzami na szyi nienuasyconemi; i tak trwało w Iranie długo... lat kilka.

Aż przyszli raz siepacze po dzieci kowala, o tęgiem ramieniu, Gaosa. Gaos stanął pośrodku kuźni, niewiele myśląc i dobrym razem topora ubił królewskich siepaczy. A potem zdjął fartuch swój skórzany, nałożył na drąg czyniąc z niego chorągiew i idąc po ulicach stolicy, wołał lud do broni. Widząc męza tak śmiałego, powstał lud cały. Niemiał już odtąd król mózgow świeżych, a Arabowie musieli się ku własnej obronie zatarasować w zamku. Zaczęła się walka miasta z załogą i nie wiedzieć było kto zwycięży.

Wtedyto zmiłował się Ormuzd nad narodem swoim. Wtedyto dobiegł kres Dzyamszyda pokuty. Obszedł był świat dokoła w żalu król bałwochwalca i zaszedł był na wysoką górę, u której szczytu było źródło żywota, po której bokach legły same czarne głazy. Wśród

pustkowie i kamieni drapał się Dżyamszyd na szczyt w pokucie, a skoro głaz jaki minął, głaz ten odzywał się ludzką mową i wołał go by się obrócił; ale Dżyamszyd nie obejrzał się ni razu, bo wiedział, że skoro się obróci, sam się w głaz czarny zamieni. I szedł i szedł, patrząc wprost przed siebie, aż doszedł do szczytu i pochylił się do źródła i napił się wody żywota. A wtedy promienie otoczyły jego głowę i stał się nieśmiertelnym; a wracając niósł z sobą wodę żywota w dzbanie swoim cudownym, w dzbanie z jednego szafiru, w którym niegdyś podał wino królowej Feranak, nim mu zrodziła syna. Na każdy kamień czarny uronił z dzbanu kroplę wody życiodajnej i skoro kropla na głaz padła, zmartwychwstał rycerz, co się niegdy na górę tę drapał i co się obejrzał nieostrożny. I takto z promieniami na głowie, wiodąc zmartwychwstańców, wojsko niezliczone, wracał do Iranu od wschodniej strony Dżyamszyd nawrócony i odtąd już nie Dżyamszydem, lecz jasnym, potężnym archaniołem Mitrą nazwany. Wrócił do żony Feranak i synka Feryduna w góry Afganistanu i dał im wojsko niezliczone. z którym podążyli na Balch Gaosowi na odsiecz; a sam Dżyamszyd-Mitra uleciał w niebiosa Ormuzdowe.

Wtedyto zwyciężył królewicz Ferydun i Zohaka na wieki zamknął w kraterze góry Demawend i przywrócił szczęście do Iranu, a z kowalskiego fartucha Gaosa uczynił chorągiew królewską. I to było istotnie w Iranie półbogów pokolenie. Czas było, by objawiono ludowi słowo prawdy, czas było narodowi rozpocząć naprawę ludzką służbę Ormuzdową. Odtąd mieli się słabsi rodzic ludzie, więc trzeba było, aby i kłeski słabszemu się stały, a na to trzeba było świętej nauki. Póki świat światem, miał Aryman wydawać to samo zło: pochlebstwo i podłość i pychę i kłamstwo i choroby i mrozy i skwary, co jak węże Zohakowe mózg suszą i zwierzęta złe, i zwierzęta szkaradne po wiek wieków miały nękać Iran, ale słabszych ludzi obroną miał być zakon Zoroastrowy, silniejszy stokroć od dawnych bohaterów ramienia.

Anioł pokazał się Paraspie rolnikowi, jednemu z tych, co przez ogień przeszli, niechcąc bić czołem przed posągami królewskimi i rzekł mu, że cień Ormuzda z niego się zrodzi i z jego żony. A gdy się dziecko narodziło i dano mu imię Zoroaster, krzyk wielkiej rozpaczycy dał się słyszeć w otchłani: Aryman zerwał się ze swój stolicy i załamał ręce wołając: „Biada nam duchom ciemności! biada! stokroć biada! bo oto zrodzon na ziemi nasz pogromca!” A Zoroaster od narodzenia miał na piersi wielkie koło, co jaśniało w nocy jakby księżyc.

I oto na tém kończą się Iranu dzieje bajeczne. O samym Zoroastrze tę chyba powtórzyć możemy legendę, że nieraz rozmawiał z Ormuzdem; a jeśli obok królów prawdziwych podanie późniejsze postawiło bajecznego rycerza Rustema i jeżeli wszystkich scytejskich najeźdźców przeważało wspólnem imieniem Afrazyaba, niemniej przeto odtąd panowali znani nam z kądinąd królowie Medyi i Persyi z rodu Dejocydów i Achemenidów. Miejsce fantastycznych baśni zajmie teraz opowiadanie prawdziwe i trzeźwe, o tém co cnotą być mienią owe na-

rody, które święcie wierzyły w dopięroco skończone baśnie, a opowiedziałem je dlatego, że są mało znane; a że kto ich nie zna, irańskiej cnoty nie zrozumie, podobnie jakby nie zrozumiał cnoty chrześcijańskiej ten, co by nie znał pisma: nim się jaką cnotę opisze, trzeba wiedzieć na jakiej staęła podstawie ¹⁾.

Otóż był w Iranie stan ludzi dziedziczny, stan magów, którym Zoroaster przekazał obronę kraju przed złemi duchami. Mieli żyć tak, by Aryman i zastępy jego do nich niemieli przystępu, mieli być cali Ormuzdowi i jako tacy mieli przez modlitwę i obrzęd, własną swoją czystość na cały naród przelać i tém samém naród cały obronić od zakaży i szatańskiej mocy. Strój ich tedy miał być zupełnie biały i mieli być tym strojem zewsząd przyobleczeni i to tak, by nawet na twarzy spoczęła zasłona, a to na to, by żaden twór Arymanowy, żaden owad, żaden zapach niedobry, nie dotknął się ich ciała niepokalanego. Tak przyobleczeni, winni byli większą część dnia spędzać przy ogniach jaśniejących, w których przebywała istota Ormuzda i śpiewać pieśni Ormuzdowe, objawione niegdyś Zoroastrowi, słowa prawdziwe, święte, czyste, dźwięczne w mowie, w VI wieku przed Chrystusem, już oddawna umarłej. Jeść im nie było wolno ani mięsa, ani ryb; a to przeto, że mięso wszelkie albo pochodzi od zwierząt nieczystych Arymanowych, któreby kalały ich usta, albo od zwierząt świętych Ormuzdowych, których im się zabijać nie godziło; pokarmem ich było czyste, białe mleko, krowy wraz z nabiątem wszelkim, były jarzyny, co się z korzenia odradzają i były przedewszystkiém napoje ogniste: wino i piwo: kto je pił, ten pił ogień i światłość i świętość; kto się niemi upił, ten posiadał prawdę i dobrą myśl. Więc codzien prawie pijanymi byli magowie.

Zresztą jeść mieli dosyć i żyć wygodnie, bo ból i głód były to złe rzeczy Arymanowe; a gdy zobaczyli owad albo gada, mieli go laską ubić; wraz z rycerstwem winni byli iść na łowy na zwierzęta drapieżne, na dzieła szatańskie; od nich trzeba było uwolnić ziemię strzałami, by się nie wróciły bajeczne kłęski, a od złych duchów broniono się częstą modlitwą i obecnością krowy, psa i koguta, których Ormuzd dał na obronę od zwierząt złych. A pies zwłaszcza był święty i przeto psów bez końca złotych i brzydkich, roіło się po ulicach Wschodu.

Człowiek żywy, człowiek czysty był rzeczą dobrą, najlepszą, o którą najwięcej stał Ormuzd; przecież cała służba magów na to tylko była, by żywych ludzi bronić; trzeba było się przeto żenić zawczasu, by się dzieci namnożyło mnogo; a na to by się nie zakradła zła krew turańska do synów Iranu, do magów czystych, najbezpieczniej było kapłanom, najbezpieczniej całemu nawet ludowi żenić się z krewnymi bliźniemi, choćby z siostrą rodzoną, choćby z własną nawet córką. Takto zachowywała się w czystości krew irańską, krew narodu co wyszedł niegdyś z kwiatu i był synem snu, poczętym bez grzechu. A jako na-

¹⁾ Rawlinson: *The five empires*. Duncker, *Geschichte des Alterthums*.

śladowano sny pierwszego człowieka, upoiwszy się winem lub haszyszem, o tém nie mówić przystojniejsza.

Ale człowiek umrzeć musiał, by mózdz pójść na górę Elburz do rajy. Gdy umarł, dusza tak maga jak i wszelkiego męża szła prowadzona przez archanioła Bahmana nad krater góry Demawend i ponad krater przejść musiała, poprzez ogień, mostem wielkim i długim, ale podobnym do brzytwy, po której ostrzu szły dusze. Kto był czystym, ten przeszedł przez ogień po brzytwie i dostał się na Elburz do rajy i przebywał wśród wonnych ogrodów i czarownego kwiecica; kto czystym nie był, ten wpadał za ostrza brzytwy do jamy ognistej Demawendu i leciał do otchłani bez końca, aż wpadł na tamtą stronę świata, do mroku wiecznego, do piekieł Arymanowych. Ale ciało nieżywe zostawało zawsze na ziemi, jako rzecz nieczysta, jako własność szatana. I cóż z tém ciałem czynić wypadało? Zakopać pod ziemię się nie godziło, bo ziemia to rzecz święta, żyjąca sługa światłości, do której niewolno wprowadzać zakały i sługi Arymanowej, nie chcąc wzmódz czarta potęgi. Toć samo woda żyje i służy Ormuzdowi; toć samo powietrze, a ogień to archaniołów odblask najczystszy. Nigdzie ukryć niemożna było ciała. I cóż czynić wypadało? Otóż tego najlepiej nauczyła natura. Padło każde żywych bywa strawą i w krew ich wchodzi i ciało i żywém nanowo się staje. Taki sam winien być los umarłego człowieka. Ciało umarłego maga bywało czasem ugotowane, przymieszane do wina i przez magów spożyte; ale ten obyczaj najpierwotniejszy znikł rychto i ostał się chyba w dzikich górskich dolinach. Najczęściej postępowano z magiem tak samo, jak z każdym Persem i Medem. Opodal od miasta dźwigano wieże umarłych, u których szczytu kładziono ciała opodal od ziemi i tam czekano aż ptastwo się zleci i ciała te poźre. I ten zwyczaj utrzymuje się i dziś u wyznawców Zoroastra. Wyjątek stanowiono tylko dla ciała królów i możnych. I tych wystawiano w osobnych, otwartych pomnikach, ale skoro zwierz tylko raz te ciała ukąsił, starczyło to obrzędowi i teraz oblewano ciało woskiem i przechowywano je tak, rzekomo odłączone od ziemi i wody, od ognia i powietrza.

Obrzęd pogrzebowy wspólny był magom i innym Irańczykom. Podobnie wspólnym był święty obowiązek prawdomówności i słowności nakazanej dla tego, że wszelkie kłamstwo było rzeczą Arymanową. Wreszcie, wedle teoryi, niepowinien Pers i Med kupować i sprzedawać, gdyż kupno i sprzedaż prowadzi do kłamstwa. Ale oczywiście to prawo zostało martwą literą i miało chyba ten tylko skutek, że wyznawcy Zoroastra uważali handel za rzemiosło hańbiące, i trudnili się tylko wojną, rządem, rolnictwem i przemysłem. A jużci i co do kłamstwa bywało u nich rozmaicie, i w polityce, i w ogóle wtedy gdy miało do czynienia z narodami obcymi, znenawidzonymi od Ormuzda, kłamano nielitośnie. Między sobą tylko i to w potoczném życiu uważano dotrzymanie wiary za święty obowiązek.

Pospolitych Persów zajęciem i zadaniem było mnożenie życia Ormuzowego. Magowie naród bronili od złych duchów, a naród winien był przysparzać miejsca dla dobrych stworzeń. Wiódł tedy naród życie z obowiązku nawskroś świeckie i wesołe, zostawiając obrzędy magom, z których błogosławieństwo na wszystkich spływało. Jak niegdys Dżyamszyd, każdy Pers i Med winien był ludziom i bydłu przysporzyć ziemi, studnie kopać w pustyni, hodować kwiaty piękne, zasiewać pola, zasadzać ogrody, hodować trzody co dawały i mięso, i mleko, i wełnę, pojąc żonę, mnogie mieć dzieci, ziemię stroić, prawdę mówić, żyć w prostocie, szanować magów, słuchać króla: oto był zakon Zoroastrowy, i tego trzymano się wiernie i w prostocie. Syn rolnika i pastucha, rolnikiem i pastuchem był dalej, a rzucał pług i trzody, wtedy chyba, gdy szachów szach, gdy wielki król powoływał naród pod chorągiew z fartucha kowala Gaosa. Wtedy każdy co żył ciągnął uzbrojony jak mógł walczyć ze sługą Arymana, z obcym albo z buntownikiem.

To też cieniem archanioła Szachwarego był król z rodu Achemenidów; przy nim i przy jego pokoleniu była władza, była straż o zakon i dobro Iranu, o chwałę Ormuzową. On naprawdę był arcykapłanem, on czynił czyny na wzór bohaterów dawnych. Wolno mu było kłamać, gdy trzeba było dla jego potęgi; wolno było zabijać i dręczyć, wolno było pojąć obce żony, wolno było czynić wedle woli; i potęgę swoją przelewał król królów na sługi swoje i na swych poddanych gdy im powierzał urzędy. Biada była mężowi choćby magiem był, gdy nie wykonał królów rozkazu. Spadał na niego za życia gniew królewski srogi, a po śmierci gniew Boży.

Znamy ich, znamy dobrze królów Iranu, znamy ich sługi. Każdy z nich mieszka w zamku na ustroniu, niedostępny dla tłumów, wśród dworzan co padają przed królem na oblicze, zanim doń przemówią. Jé król przysmaki, jakie kto wymyślić może, każe się po kraju obnosić w lektyce, ma pałac o tysiącnych kolumnach, ma w haremie niewolnice najpiękniejsze z całej ziemi, panuje wielu narodom i nudzi się śmiertelnie. Kserkses jeden z nich dawał królestwo jedno całe temu, coby jaką nową wymyślił zabawę, a najczęściej szach wielki zabijał czas, strugając patyczki, gdy nie był na łowach albo na wojnie.

Na wojnę ciągnął z obowiązku, by karać ludzi kłamliwych i spędzał na wojnę wszystkie poddane sobie narody. Gdy kto nie stanął, śmierć go czekała. Raz ojciec stary przyszedł do Kserksesa błagając, by mu zostawiono doma syna jedynaka, jedyną podporę starości. Kserkses przyrzekł, że uczyni zadość jego prośbie i kazał przywołać syna. A skoro młodzian stanął przy sędziwym ojcu, wziął król sam łuk i spisał łuk a syna zastrzelił ojcu sędziwemu, i kazał ciało przy ojcu zostawić. Król żądał posłuszeństwa wszystkich i wszystkiego słuchać go winne i ziemia i morze, twory Ormuzowe, a gdy Helespont zniszczył Kserksesowi most ze statków, kazał król Helespont wysnagać;

i nie działał szalenie jeno mądrze, boć morze przecie miało rozum i źle czyniło, gdy pomagało Arymanowi; jak Kserkses, tak byłby uczynił Husztasp bajeczny.

Król Kserkses strzegł prawdomówności i sprawiedliwości chciał. Dowiedział się raz o jednym z namiestników swoich, że był przekupnym sędzią. Rozgniewał się tedy wielce namiestnik Ormuzowy, odebrał mu rząd i kazał zdjąć z niego skórę umiejętnie, i skórą pobić krzesło, poczem synowi jego powierzył urząd ojcowski, i nakazał, by siedząc na krześle obitém ojcowską skórą, pomniał o królewskim gniewie. A naród przyklasnęła w podziwie królowi i Kserkses był ukochany i wierne miał sługi.

Wiadomo wam jako przeciw Kserksesowi przemogły moce Arymanowe, jak go pobili bezbożni Grekowie, pod Salaminą, topiąc statki i przypominając Iranowi kłęski które sprawiał Zohak. Niewiadomo czy w tém nie było coś i królewskiej winy, ale nie o to winni się pytać poddani. Kochać powinni króla pobitego i za niego dać życie. Toć téż podanie mówi, że gdy Kserkses uchodził z Hellady, znalazł się na łodzi z satrapami kilkoma wśród burzy na otwartém morzu, i strach mu było. Spytał się tedy w lęku sternika greczyzny, czy niema niebezpieczeństwa o jego święte życie? „Jest, odrzekł sternik; za nic nie ręczę, jeśli niezbędę się ciężaru na łodzi.” Wtedy to król zwrócił się do satrapów swoich i do nich przemówił w te słowa: „Teraz chwila, mężowie Iranu, w której dowieść możecie, czy króla kochacie waszego! Kto króla miłuje, niech do morza skoczy i zapewni mój przejazd bezpieczny.” Tak rzekł król, a satrapowie mężowie cnotliwi i chwilę się nie wahali i na głowę skoczyli do morza, i utonęli, za co pewno bezpiecznie przeszli przez most na Demawendzie. Król wtedy dziękując archaniołom, dopłynął bezpiecznie do lądu, i tu postanowił wydać wyrok sprawiedliwy. Ów sternik Grek wyratował był życie króla i przeto zasłużył na wielką nagrodę; a był powodem śmierci satrapów kilku i ztądto należała mu się kara sroga. By tedy i temu i owemu zadość uczynić, kazał król sternika ściąć a na nieżywą głowę położyć złotą koronę, i uczynił sprawiedliwie.

Później wiodli z sobą wojnę o tron dwaj bracia: król Artakserkses i Cyrus królewicz. Cyrus w bitwie pod Kunaksą zginął, ale Grecy jego najemnicy zwycięzko odparli natarcie Persów. A trzeba ich było przecie złowić, trzeba ich było wygubić za to, że śmieli nieświętą stopą kalać Iran. Posłano do nich tedy poselstwo, obiecano im bezpieczny odwrót; poprzysiężono zgodę i przysłano kosze z figami i innym jadem dla wodzów. Figi były zatrute i wodzowie poginęli i choć Ksenofon Ateńczyk i teraz przebił się z dziesięcioma tysiącami nazad do Grecji, król dzielny Artakserkses wyłapał wielu z tych, którym poprzysiągł przymierze, i czyniąc sobie z tego krotoczwilę, kaleczył ich najohydniej, oślepiając jednych, odcinając drugim ręce i nogi, trzecim wyrывая języki, i dał im niewolnice, by się z niemi poženili.

Irańczycy błogosławili takiemu królowi, godnemu następcy Kajumarata, prawemu słudze Ormudza, i błagali Boga by takich mężów było najwięcej aż do chwili, kiedy wieczność nastanie. Bo przyjdzie czas, że Zerwan nazad do siebie wciągnie Ormudza i archaniołów; i przyjdzie chwila, w której zło zgaśnie i walka ustanie. A wtedy wszelkie ciało zmartwychwstanie w czystości, i trwać będą wszystkie rzeczy bez zmiany przez wieczność w szczęściu. Wtedy z Zerwana wystąpią na nowo i Aryman i Ormudz, ale obaj jaśniejący i Mitra będzie ustanowiony na króla wszechrzeczy.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

STOSUNEK
WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY
DO HUSYTÓW CZESKICH *).

NAPISZAŁ

Julian Sutowicz.

Ogniskiem husytyzmu zawsze jeszcze była Praga tak, iż kto w stolicy rej wodził, mógł poniekąd i całym krajem kierować. W Pradze tedy najzawzięciej z sobą walczyły oba stronnictwa husyckie. Jedno i drugie ubiegało się o wyłączne panowanie; utrakwistom zaś chodziło przytém o tryumf jak najrychlejszy, aby nie opóźniać rządów Witolda, który nie chciał paktować z żywiołem demokratycznym, w tabornach uosobionym, a mógłby i z tamtymi zerwać, gdyby się okazali słabszymi od swoich przeciwników. Filarem taborzan praskich był znany już nam ksiądz Jan, gorący zwolennik gminowładztwa. Przedewszystkiém więc tego człowieka postanowili utrakwiści bądźco bądź się pozbyć. Udało im się rzucić z urzędu burmistrza i kilku radców, przychylnych Janowi; a ustanowiwszy nowy rząd miejski, zwabili na ratusz nieszczęśliwego księdza, oraz niektórych jego wpływowych przyjaciół, pod pozorem jakiejś narady. Tu z szyderstwem słuchali jego mowy, dopóki nie weszli zbrojni pachołcy, którzy go wnet pochwycili wraz z jego przyjaciołmi. Wtedy oświadczone mu, że musi umrzeć.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

Tak się też stało, ścięto go jeszcze tego samego dnia 9 marca; umarł bez trwogi, dając przykład mężnej rezygnacyi towarzyszom swojego losu. Skutkiem tego zamachu, stronnictwo umiarkowane odzyskało w Pradze przewagę, której jak się pokazało, nie zachwiał ani rozruch ludowy, wywołany straceniem księdza Jana, ani nawet wybór znowu innej, z demokratów złożonej rady miejskiej¹⁾. Tymczasem Witold, naradziwszy się z Antonim Zeno, legatem papieżkim, zesłanym dla pośrednictwa w sporach między Krzyżakami a Polską i Litwą, wyprawił do papieża kanonika gnieźnieńskiego Marcina z listownem doniesieniem, że dla tego jedynie ujął się za Czechami, aby bez krwi rozlewu przywieść ich do pojednania z Kościołem. Prosił więc papieża o zdjęcie klątwy z narodu czeskiego i o łaskawe udzielenie glejtu posłom, którzyby wysłani zostali do Stolicy apostolskiej; w końcu dodawał, że i synowca swego Zygmunta Korybuta zamierza do Czech wyprawić, jedynie aby w kraju tym przywrócić spokój i porządek. Mógł Witold o tyle w dobrej wierze pisać ten list, że trzymał z utrakwistami, którzy zawsze skłonni byli do zgody z Rzymem pod warunkiem zagwarantowania im czterech artykułów praskich. Jednakże słowa wielkiego księcia nie trafiły do przekonania Marcina V, który dowodził Witoldowi w liście z 20 czerwca tegoż roku, że do tronu czeskiego zamkną mu drogę księżęta niemieccy; upominał go tedy, by zerwał z husytami, jeżeli nie chce, aby i przeciw niemu ogłoszoną była krucjata²⁾. Ale Witold nie czekał na odpowiedź papieżką, tylko wydał odezwę, w której wszystkich życzących iść z Korybutem do Czech, zapraszał na oznaczony termin do Krakowa. Natychmiast Polacy i Rusini z okolic Lwowa zaczęli się gromadzić pod chorągwie Korybuta i w krótkim czasie zebrało się około 5000 ludzi. Tytuł podówczas było przyjaciół husytyzmu w Polsce, że Jagiełło zezwolił na te zaciągi, chociaż duchowieństwo radziło mu inaczej; jeżeli zaś mamy wierzyć doniesieniu niejakiego Zygryda, lekarza cesarskiego, twierdził nawet, że sam papież rozkazał Korybutowi udać się do Czech dla pogodzenia z Kościołem obłąkanego narodu³⁾.

W kwietniu, po świętach wielkanocnych, ruszył Korybut w drogę⁴⁾. W Morawach oparło mu się miasto Uniczów; zdobył je szturmem, a doniósłszy ztąd narodowi, że przybywa jako namiestnik przyszłego króla Aleksandra Witolda, aby w jego imieniu dzierżyć i zastępować królestwo od nieprzyjaciół domowych i zagranicznych, wezwał stany na sejm do Czesław. Sejm czesławski, wobec którego Korybut przyrzekł zachować cztery artykuły praskie, jednomyślnie uznał go namiestnikiem. Dnia 16 maja, książę odprawił uroczysty wjazd do stolicy, gdzie go nie-

1) Palacky.

2) Rajnald: *Annales ecclesiastici* tom X, Lucae 1753.

3) Długosz XI, 451; Grünhagen 19.

4) W lutym, mówi Palacky; ale to się nie zgadza z Długoszem, ani z relacją rzeczzonego Zygryda.

tylko panowie ze stronnictwa utrakwistów, ale i cały lud z wielką powitał radością. Okazali mu wprawdzie niechęć owi radcy miejscy, którzy po zamordowaniu księdza Jana, dostali się byli do władzy; ale Korybut już trzeciego dnia po przybyciu do Pragi złożył ich z urzędu, a natomiast nowych powołał, co nastąpiło bez najmniejszego oporu. Pierwsze kroki księcia nacechowane były umiarkowaniem i roztropnością; nie odbierając władzy prawodawczej, tak zwaną wielką gminie pragskiej, utworzył z jej grona wydział, którego uchwały uchodziły za postanowienia całej gminy; przymtem potrafił sobie zjednać Żyżkę. Ostatnia ta okoliczność szczególnie się przyczyniła do utwierdzenia powagi i popularności Korybuta. Świadectwa historyczne z owego czasu przemawiają na jego korzyść. Długosz i Eneasz Sylwiusz, którzy tu z jednego źródła czerpali mówią, że Korybut w krótkim czasie zaprowadził w stolicy porządek; przyjacielski i łaskawy dla szlachty i dla wszystkich, którzy spokojnie żyć chcieli, ostro karał wicherzycieli i złoczyńców. Ale po tak świetnych początkach rychło zaszły wypadki, które zachwiały stanowiskiem Korybuta. Wybrał się on z Prażanami i wojskiem, które z ojczyzny przyprowadził, na zdobycie Karlsztejna, aby odebrać z przechowywane w tym zamku insygnia królewskie, nie wiedząc, że już były ztamtąd wywiezione. Podczas jego nieobecności panowie Bogusław z Krasikowa i Hwezda, alias Bzdinka z Wicencilic, przywódcy taborzan, wpadli do Pragi sądząc, że potrafią na swoją stronę lud przeciągnąć. Omylili się, mieszkańcy Starego Miasta odparli ich i wielu taborzan pojмали. Zawiadomiony o rozruchu, wrócił Korybut do Pragi i zarządził śledztwo. Spólnikom taborzan skonfiskowano dobra, a gdy wkrótce niektórzy z nich wyłamali drzwi więzienia, gdzie ujęci taborzanie siedzieli, chciał Korybut wszystkich tej nowej swawoli winnych pokarać śmiercią. Już ścięto pięciu, tylko na głos pana Wilhelma Kostki wstrzymał się książę od dalszych egzekucyi. Niewczesna ta srogość w połączeniu z niefortunnym oblężeniem Karlsztejna, które książę w listopadzie zakończyć musiał całorocznym zawieszeniem broni, odstręczyła od niego bardzo wielu. W czasie tych wypadków nie słychać o Żyżce: snadź na stronie się trzymał, a choć nic nie przedsiębrał przeciw Korybutowi, to mu jednak nie pomagał. Egzekucye pragskie nie mogły się Żyżce podobać, jako głowie taborzan; kroniki czeskie wprost mówią, że ztąd się wywiązała wojna między stolicą a taborzanami. Położenie Korybuta stało się tak nieznośnym, że już w wigilią Bożego Narodzenia opuścił ze swoim wojskiem Pragę ¹⁾. Wreszcie należy pamiętać, że jego misya tylko dopóty mogła mieć powodzenie, dopóki podporządkowana była przez Witolda, a od Jagiełły przynajmniej tolerowaną; upadała zaś całkowicie w razie porozumienia jego stryjów z cesarzem.

Z woli Witolda i na jego wyłączną korzyść przedsięwzięta została wyprawa czeska, ale w Niemczech temu nie wierzono. I nie dziw: drużyna Korybuta składała się z poddanych Jagiełły, gromadziła się

¹⁾ Palacky.

w Krakowie, a król na wszystko pozwalał; za jego więc dzieło musiano uważać całe to przedsięwzięcie, do którego, jak mniemano, i Witolda wciągnął. Taki obrót sprawy husyckiej zaniepokoił cesarza, tém bardziej że krucjata, w lecie tego roku uchwalona w Niemczech za staraniem kardynała Brandy, nie wyszła poza stadyum uchwały; nie odniosło też skutku wezwanie papieżkie, aby Jagiełło odwołał z Czech synowca. Rachował jeszcze Zygmunt na to, że odwieczne między Polską a Krzyżakami spory do nowej wówczas nastrojały się wojny. W rzeczy samej wybuchła wojna, a gdy król stanął obozem pod Gołubem w ziemi Chełmińskiej, przyjechał do niego poseł cesarski i żądał odwołania Korybuta. Jagiełło odpowiedział wyliczeniem krzywd, które cesarz, opiekując się Krzyżakami, powyządał Polsce, a nie tłómacząc się wcale z czynności Korybuta, odesłał posła po informacye do Witolda. Wielki książę poczęstował posła hardem oświadczeniem, że ze swego ramienia i własnym kosztem wyprawił synowca do Czech, któremu, jeżeli trzeba będzie, dopomoże jeszcze orężem ¹⁾. Ku większemu strapieniu Zygmunta nie dopisało szczęście Krzyżakom: traktat pokojowy, zawarty 27 września nad Melnem, włożył na nich obowiązek zwrócenia Polakom ziemi Nieszawskiej, Litwinom, Żmudzi i Sudawii. Zaczął tedy Zygmunt starać się o zgodę z Jagiełłą. Ostatniego dnia listopada odbyła się w Lewoczy na Spiżu konferencya dostojników polskich z węgierskimi, zakończona uchwaleniem zjazdu obu monarchów na przyszły rok w wielkim poście. Krzyżacy, którym nie chciało się dotrzymywać warunków melneńskich, najusilniejsze czynili zabiegi, by rokowania te zwichnąć. Jakoż potrafili skusić do przymierza z sobą zawsze Polsce nieprzychylnego cesarza, oraz wynarodowionych Piastów szlązkich; celem ligi zawiązaną podobno w początkach roku 1423, było rozebranie Polski między sprzymierzeńców. Ale zuchwały projekt wnet upadł: węgierscy poddani Zygmunta nie mieli ochoty wojować z Polską dla miłości bezczelnego Zakonu, więc i Zygmunt nie zrywał rozpoczętych z królem polskim układów ²⁾. Chodziło mu o wyjednanie u króla pomocy przeciw husytom; a to żądanie jego poparł i kler polski na złożonym podówczas synodzie w Łęczycy. Proszone od Jagiełły o zasiłek pieniędzy, duchowieństwo uchwaliło dlań ze swoich dóbr tak zwane *subsidiū charitatīvum*, lecz w zamian domagało się odwołania Korybuta i przystąpienia do krucjaty przeciw Czechom, około której ponownie krzątano się zagranicą. Jagiełło gotów był spełnić życzenia synodu, gdyż spodziewał się, że cesarz zaniecha nareszcie swoich konszachtów z Krzyżakami. Następował tedy w polityce polskiej zwrot wyraźnie antyhusycki, wobec którego musiało również zmienić się stanowisko Witolda względem Czechów. Łatwo było Wielkiemu księciu opiekować się nimi za zgodą swojego zwierzchnika; ale trwać w téj roli wbrew odmiennemu postępowaniu dworu polskiego byłoby i niewygodnie i nie

¹⁾ Długosz, t. XI, str. 459.

²⁾ Grünhagen, str. 37.

bardzo bezpiecznie. Przytém i w Czechach już nie słyły rzeczy po jego myśli: taborzanie, przeciwni rządowi monarchicznemu, rośli w potęgę; Korybut nie mógł się utrzymać w Pradze. Należy wreszcie pamiętać, że i Witoldowi nie mało na tém zależało, aby cesarz Zygmunt przestał protegować Krzyżaków. Zważywszy to wszystko, nie dziw, że przystąpił do układów cesarza z królem, a nawet ze swojej strony oświadczył się z chęcią zadośćuczynienia żądaniom synodu łęczyckiego ¹⁾. Skoro się o tém dowiedziano w Pradze, przywódzcy utrakwistów wezwali Witolda, aby stosownie do przyrzeczeń, danych w jego imieniu przez Korybuta, przybył do Czech. Witold wykreślił się zarzutem, że naród czeski ciągle obstaje przy herezyi, a co do obietnic Korybuta, to ten za takowe sam winien odpowiadać. Tymczasem w miesiącu marcu 1423 r. odbył się pod Szramowicami, na granicy polsko-węgierskiej, zjazd cesarza z Jagiełłą i Witoldem. Zygmunt odstąpił Krzyżaków, którzy dla tego musieli wykonać warunki melneńskie; zaś król polski i Witold zobowiązali się przyprowadzić na św. Jan posiłki przeciw husytom ²⁾. Niebawem Jagiełło odwołał z Czech Korybuta, a w maju wydał okólnik, zwołujący ochotników na wyprawę krzyżową. Ale nikt się nie stawiał; daremnie król żalił się i prosił, aby w oczach świata nie narażano jego honoru, daremnie przypominał odpusty, jako nagrodę za bogobojny czyn tępienia heretyków: nie chciano w Polsce słyszeć o wojnie z husytami ³⁾.

Korybut, choć z niesmakiem, usłuchał rozkazu królewskiego, wrócił do kraju, a jak Pelzel pisze, dał nawet słowo Jagielle, że do spraw czeskich nie będzie się więcej mieszał. Gdy mu jednak odmówiono ziemi Dobrzyńskiej, o którą prosił w zamian za utraczone wielkorządztwo w Czechach, wdał się w jakieś knowania, zdaje się, że werbował ochotników ku pomocy husytom ⁴⁾. To mu snadniej szło, niż królowi nawoływanie do krucjaty, do której, mówiąc nawiasem, i w Niemczech się nie zabierano, bądź z obawy oręża czeskiego, bądź skutkiem chaotycznego stanu Rzeszy, który paraliżował wszelkie wspólne działania jej członków. Więc i Zygmunt już nie liczy na sejmy niemieckie, ale sprzymierza się ze swoim zięciem Albrechtem Habsburgiem, któremu za obiecane przeciw husytom posiłki puszcza Morawy, oznakami grzeczności ujmuje sobie Jagiełłę. W miesiącu lutym 1424 przyjechał do Krakowa na koronację jego czwartą małżonki, królowej Zofii. Monarcha polski, rad z takiego uświetnienia obchodu, po raz drugi zobowiązał się dostarczyć Zygmunutowi sił zbrojnych na wojnę czeską. Jak szczerze pragnął mu dopomóc, świadczy rozporządzenie

¹⁾ List papieżki do Wojciecha Jastrzębca, arcybiskupa gnieźnieńskiego, u Rajnalda.

²⁾ Grünhagen, str. 37.

³⁾ *Monumenta mediæ ævi historica*, wyd. przez Akad. Umiejęt. w Krakowie, t. II, r. 1876, str. 56—57.

⁴⁾ Długosz, t. XI, str. 472.

królewskie z dnia 9 kwietnia, którym zakazane zostały wszelkie stosunki poddanych polskich z Czechami, pod karą utraty majątku i prawa spadkobierstwa; komuby zaś dowiedziono herezyi, ten podpadał także karom, na kacerzy ustanowionym. Za tym groźnym edyktem wnet poszło wypowiedzenie wojny Czechom w imieniu Jagiełły i Witolda. Ale wszystko popsuł niebawem Korybut. Po jego odjeździe z Pragi, utrakwiści, pozbawieni reprezentanta władzy monarchicznej, oraz nadziei poparcia z Polski i Litwy, wdali się w układy z taborzanami, a gdy takowe na nichem spełży, weszli w stosunki z partją cesarską. Chociaż i te rokowania nie odniosły skutku, bo utrakwiści przedewszystkiem obstawali za wolnością swego wyznania, jednakże taborzanie oburzyli się na nich z tego powodu bardziej, niż kiedykolwiek, i zawrzała między obydwoima stronnictawami wojna domowa, w której szczególnie ślepy Żyzka dał uczuć krajowi ciężar swojego gniewu ¹⁾. Znaczenie, które jeszcze przed paru laty Praga miała, przeszło teraz do taborzan. Przyciśnieni od swoich, zagrożeni przymierzem króla polskiego z cesarzem, postanowili utrakwiści, jak się zdaje, przynajmniej ten alians zerwać. W święto Zwiastowania Matki Boskiej, wysłańcy ich przybyli do Wiślicy, gdzie stanąwszy przed królem, prosili, aby pozwolił Korybutowi wrócić do Czech. Rozumię się, że Jagiełło wręcz odmówił i jeszcze kazał, stosownie do upomnień Oleśnickiego, wyrzucić z miasta jakiegoś kaznodzieję husyckiego ²⁾.

Trudno przypuścić, żeby Czesi lepszego spodziewali się przyjęcia; niezawodnie chcieli tylko tęp swoim poselstwem podać Zygmunta w podejrzenie szczerą królewską i tym sposobem pokłócić monarchów. Nic nie wskórawszy jawną prośbą, tajemnie wezwali Korybuta, aby objął rządy w Pradze. Książę usłuchał wezwania. W tym samym czasie, gdy Jagiełło zbierał posiłki dla Zygmunta, on wybrał się z Polski na czele 1500 ludzi i 29 czerwca przybył do Pragi ³⁾. Król oburzony położył areszt na dobra jego towarzyszy, oraz czémprędzej rozpisął do papieża, cesarza i różnych książąt niemieckich listy, w których się zastrzegał przeciw posądzeniu o jakiekolwiek współnictwo z synowcem ⁴⁾. Słowa swoje poparł czynami. Wyprawił przeciw Czechom wojsko pod dowództwem Piotra Niedźwiedzkiego; nie sprzeciwił się kłatwie, rzuconej na Korybuta przez kardynała Brandę; a gdy papież, potwierdziwszy ekskomunikę, zażądał jeszcze od króla, aby i synowca i wszystkich jego współników ogłosił nieprzyjaciołmi wiary, stało się zadość woli papieżkiej ⁵⁾. Pomimo to sprzymierzeńcy Jagiełły już nie mieli doń zaufania. Przytrafiło się też na jego nieszczęście, że niektórzy podkomendni Niedźwiedzkiego zbiegli do husytów; widząc to

¹⁾ Palacky.

²⁾ Długosz, t. XI, str. 478.

³⁾ Tenże, t. XI, str. 482.

⁴⁾ Monumenta, t. II, str. 63—64.

⁵⁾ Rajnald.

zięć cesarski Albrecht, z obawy, aby i całe wojsko polskie nie poszło za tym przykładem, zatrzymał je pod Ołomuńcem, tak iż nie nie zdziaławszy, wróciło niebawem do ojczyzny ¹⁾). Wypadek ten dowiódł, że naród polski żadnym sposobem nie dałby się nakłonić do czynnego wystąpienia przeciw bratniemu plemieniu. Jagiełło, jak gdyby chcąc nagrodzić cesarzowi choć nie ze swojej winy uczyniony zawód, starał się w innych sprawach być mu użytecznym; np. w roku 1426 posłał mu pod Braiów 5000 wojska posiłkowego przeciw Turkom ²⁾). Pomimo to niewdzięczny Luksemburczyk znów zaczął Polsce szkodzić.

Powtórne rządy Korybuta trwały blisko trzy lata i wielce się różniły od pierwszych. Dawniej, jako namiestnik spodziewanego monarchy, piastował władzę, która przynajmniej z tytułu prawa na cały kraj się rozciągała; obecnie marzyło mu się o koronie, chciał, aby go nazywano królem elektem; ale tej pretensyi musiał w krótkce zaniechać. Trudno określić jego ówczesny charakter urzędowy; Palacki mówi, że po prostu figurował, jako członek książęcego domu, lubiony w Pradze od pewnego stronnictwa. Więc też i władzę jego uznawano tylko w Pradze i w miastach, które ze stolicą trzymały; ale jaki był jej zakres, nie wiemy. W ogóle nader skąpe i niedokładne są wiadomości o tym drugim pobycie Korybuta w Czechach. W chwili, gdy przyjechał do Pragi, Żyżka był w otwartej wojnie z utrakwistami; nareszcie powziął zamiar zburzenia stolicy, która jego zdaniem była gniazdem bezbożności, i we wrześniu ruszył pod Pragę. Książę wysłał doń deputacją pod przewodnictwem wymownego księdza Rokiczanę. Czy słowa tego kaznodziei, czy wzgląd na Korybuta, czy też najprawdopodobniej trudność wykonania barbarzyńskiego zamysłu, dość że Żyżka, jakkolwiek niechętnie, zawarł z Prażanami pokój, o którym jednak przepowiedział, że nie długo potrwa. Wnet potem z połączeniemi siłami Prażan i swoich, w towarzystwie Korybuta pociągnął na Morawy przeciw Albrechtowi austriackiemu. Tu 11 października zaskoczyła go śmierć pod zamkiem Przybysławiem; z żalu po zmarłym wodzu żołnierze jego przewalali się sierotkami. Przepowiednia Żyżki, co do owej zgody pragskiej, prędko się ziściła, zwłaszcza że taborzanom zaczął hetmanić książdz Prokop Łysy, później dla swoich zwycięstw Wielkim nazwany, zacięty wróg obłudników, jak się wyrażał w ostatnich latach Żyżka o wszystkich umiarkowanych. Pierwsza połowa roku 1425 przeszła na ubijatyce skrajnych sekciarzy z utrakwistami w różnych częściach kraju; przytém już nie same względy religijne, choć te zawsze, jako przyczynę, podawano, lecz nadto socyalne, mianowicie właśnie między szlachcią a ludem, były powodem walki. W końcu marca znowu groziło Pradze niebezpieczeństwo od sierotek i innych taborzan, ale szczęśliwie uchylonóm zostało. W lecie ucihła wojna domowa, w jejieni znowu wybuchła. W miesiącu październiku udało się Korybu-

¹⁾ Palacky.

²⁾ Długosz, t. XI, str. 494.

towi zawrzeć z radykalistami pokój i postanowiono zwołać do Pragi sejm, który istotnie odbył się w początkach roku 1426 przy współdziałaniu wszystkich stronnictw husyckich, a nawet niektórych katolików; Korybut kierował obradami, ale co na tym sejmie uchwalono, nie wiemy. Z późniejszej nieco odezwy taborzan można wnosić, że była tam mowa o porozumieniu się sekt z pomocą dysputy—środek, przez wszystkie stronnictwa religijne praktykowany, a zawsze bezskuteczny. Natomiast zgodnie i energicznie wystąpili husyci przeciw sprzymierzeńcom cesarskim, Albrechtowi austriackiemu i Fryderykowi miśnieńskiemu. Dnia 16 czerwca zaszła pod Ujściem nad Elbą krwawa bitwa, w której Korybut dowodził Prażanami, a Prokop taborzanami, pobito Niemców na głowę. Prokop chciał korzystać ze zwycięstwa, ścigać Niemców w ich własnym kraju; ale oparli się temu Prażanie z Korybutem, oblegli Gniewin (Brüx) i nic nie wskórawszy, ze znacznymi stratami cofnęli się do domu. W kilka miesięcy potem Albrecht, zgromadziwszy około 40,000 wojska, obległ Lundenburg; lecz Prokop, któremu szczęście wojenne wierniej służyło, niż samemu Żyżce, zmusił go do ustąpienia. Mamy wiadomość, że podczas tego oblężenia Prażanie rokowali przez postów z Zygmuntem. Jaki w tym miał udział Korybut, nie wiadomo; zdaje się jednak, że nie był przeciwny układom. Opuszczony od stryjów, popierany jedynie przez szlachtę utrakwistyczną, słabą wobec taborzan, którymi dowodził genialny Prokop, nie obiecywał on już sobie panowania w Czechach, chciał więc zasłużyć przynajmniej na chwałę pojednawcy husytów z Kościołem. Za jego współudziałem, jak mniema Palacki, wyrzuciło się w Pradze niewielkie stronnictwo, które gotowe było wrócić do posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej, byle ta pozwoliła używać Komunii pod dwiema postaciami. Z propozycjami w tym duchu wysłał Korybut tajemne poselstwo do Rzymu. Papież nie odpychał Czechów, żądał wszakże, aby się poddali wyrokowi Kościoła, a powoływał Jagiełłę i Witolda na pośredników w tej sprawie, ponieważ do nich, jak się wyrażał, mieli Czesi więcej zaufania, niż do cesarza Zygmunta. Omylił się Korybut, rachując na jakie takie siły stronnictwa ugodowego: skromna uległość Rzymowi nie zgadzała się z widokami większości utrakwistów. O zamiarach księcia zaczęły krążyć pogłoski, nareszcie przejęto jego listy, które Rokiczana odczytał ludowi z ambony na kazaniu 17 kwietnia 1427; stał się rozruch, Korybuta uwięziono, najprzód w Pradze, a potem w największej tajemnicy odesłano na zamek Waldstein. Tak nędznie skończył się drugi okres jego działalności w Czechach. Słusznie można poczytać Korybutowi za winę, że zbyt lekkomyślnie rzucił się w wir wypadków, nad którymi zapanować nie było w jego mocy. Bez należytej powagi, wobec narodu, którego większość traktowała go obojętnie lub nieżyczliwie, znalazł się prawie odrazu w pozycji fałszywej, z której może wyjścia szukając, chciał wszystkie stronnictwa godzić, między wszystkimi chciał być rozjemcą i pośrednikiem; rola nader niewdzięczna, gdyż stronnictwa husyckie tylko chwilowo łączyły się z sobą dla odwrócenia niebezpie-

czeństwa zewnątrz grożącego, dla Korybuta zaś tém trudniejsza, że sam był głową, jeżeli raczej nie narzędziem, tylko jednej i to dość słabej partyi.

O dalszych jego losach niżej wspomnę; tu nadmienię tylko, że więzienie jego nie długo trwało. Przychylni mu panowie, nie spodziewając się, żeby gorliwi husyci wypuścili księcia, weszli w porozumienie z katolikami, z którymi ułożyli plan wspólnego opanowania Pragi, pod warunkiem przywrócenia wolności Korybutowi. Zamiar nie powiódł się, ponieważ jeden ze spiskowych, Wilhelm Kostka, ostrzegł Prażan; inni sprzyśnięci, nie wiedząc o zdradzie, wpadli do miasta i zostali odparci. Ale husyci, chcąc na przyszłość udaremnić podobne zamachy ze strony przyjaciół Korybuta, uwolnili go dobrowolnie 9 września i pod strażą odprowadzili do granicy ¹⁾.

Kłeska pod Ujściem przeraziła Niemców, lecz zarazem obudziła w nich gwałtowne pragnienie odwetu. Pomimo że cesarz Zygmunt przesiadywał w swoim królestwie Węgierskim, zagrożonem od Turków, a na sprawę czeską mniej pilne miał oko, zajęli się nią książęta Rzeszy, aż nareszcie w lecie 1427 r. przyszła do skutku krucjata, okolo której papież od lat kilku daremnie się krzątał. Była to już czwarta z kolei. Zebrały się liczne wojska; ze czterech stron postanowiono jednocześnie wkroczyć do Czech. Jednakże i tym razem nadzieje, w niemieckim położone oręzu, najzupełniej zawiodły: na sam widok husytów, pierzchli Krzyżowcy zpod miasta Tachau dnia 4 sierpnia, a tysiące ich zginęło w ucieczce od miecza czeskiego. Od téj chwili husyci stanowczo przechodzą do działań zaczepnych; w roku 1428 widzimy ich wojska, zawsze zwyciężkie w Węgrzech, w Austrii, w Bawarii, na Szlązku. Wszędzie srodze dokazywały te zastępy, złożone przeważnie z taborzan, szczególnie zaś dawały się we znaki księżom katolickim i zakonnikom. Dwór polski, zrażony niefortunną Niedźwiedzkiego wyprawą, przez lat cztery biernie się przypatrywał wypadkom czeskim, pomimo nawoływań papieża do wojny z heretykami; nawet duchowieństwo nie było za krucjata: w roku 1425 synod łęczycki odnowił na ten cel pieniądze, pod pozorem, że papież nic ze swego nie chciał dołożyć ²⁾. Ale skoro husyci w straszliwych swoich wycieczkach do obcych krajów, otarli się o bramy Polski, wnet rozkazuje król wszystkim ziemianom, nawet z najodleglejszych prowincyi litewskich i ruskich, jako téż wojewodzie mołdawskiemu, aby gotowi byli do wystąpienia przeciw kacerzom; znosi się również w téj sprawie z cesarzem Zygmuntem ³⁾. Religijna żarliwość monarchy zgadzała się w tym wypadku z interesem kraju. Do wojsk husyckich nacisnęło się już wówczas niemało rozpustnej hałastry, która jedynie dla rabunku i mor-

¹⁾ Palacky.

²⁾ Długosz, t. XI, str. 486.

³⁾ List królewski do księcia Konrada Oleśnickiego, z 1 kwietnia 1428 roku, u Grünhagena, str. 60.

dów ciągnęła na wojnę, nie przepuszczając ani swoim, ani obcym. Ale to jeszcze było złe najmniejsze; daleko większym, bo wywrotem społecznym, groziły praktykowane przez radykalistów czeskich teorie antymonarchiczne i antykościelne, które tém bardziej króla niepokoiły, że i w Polsce znaleźli się ich wyznawcy. Taborzanom to, nie utrakwistom, sekundował w tym czasie Dobiesław Puchała w towarzystwie dwu innych awanturników. Jednym był Fedko, książę ostrogski, który dla jakiejś skrytej winy umknąwszy do Czech, przyswoił sobie tam język i obyczaje krajowe; drugim Korybut, którego pewnie uraza do utrakwistów z powodu uwięzienia, pchnęła w szeregi taborzan.

Wespół z Fedkiem Korybut pustoszył w roku 1428 Morawy, a ztamtąd udał się razem z Puchałą na Szlązk, gdzie się z nimi połączyć mieli ochotnicy z Polski ¹⁾. Było więc dłaczego zbroić się przeciw husytom. Ale przewrotność cesarza Zygmunta sprawiła, że Jagiełło musiał niebawem zaniechać wszelkich przeciw nim kroków. Zamarzyło się podówczas Witoldowi o koronie litewskiej, a cesarz, zawsze gotów szkodzić Polsce, ilekroć sposobność się nadarzyła, gorliwie ten jego zamiar zaczął popierać. Na zjeździe łuckim w styczniu 1429 r. stanęła między nimi ugoda, na którą, dla łatwiejszego dopięcia celu, omal nie wyłudzili zezwolenia samego Jagiełły. Witold miał cesarzowi użyć posiłków przeciw Czechom, a zato otrzymać od niego insygnia królewskie. Za koronacją Witolda wnetby pójść musiało oderwanie się państwa litewsko-ruskiego od Polski. Niedziw tedy, że zamiast o wojnie z husytami, doradcy Jagiełły myśleli raczej o użyciu ich przeciw tym, co tak morderczy cios Polsce zadać chcieli. To było powodem, że gdy w latach 1429 i 1430 Husyci zagarnęli część Szlązka, Jagiełło nie tylko się nie zrażał tak blizkiem sąsiedztwem heretyków, ale nawet nie powściągał bratających się z nimi swoich poddanych. Więc Korybut bezkarnie zajął Gliwice, jakiś Piotr Polak opanował Niemczę, Kuczbork w pobliżu polskiej granicy jeszcze wcześniej podobno dostał się w ręce Puchały. Nawet gorsze sprawy płazem uchodziły.

Podczas świąt Wielkanocnych 1430 r., oddział zbrojny, złożony z Polaków, Czechów i Szlązaków, pod dowództwem Fedka Ostrogskiego, Jakóba Nadobnego z Rogowa herbu Działosza i Jana Kuropatwy z Łańcuchowa Śreniawity, najechał Paulinów w Częstochowie, poniszczył sprzęty kościelne i posiekał cudowny obraz Matki Boskiej; następnego zaś roku Kartuzi w Lechnicy, na pograniczu węgierskiem, doświadczyli podobnego napadu od Korybuta, Zawiszy z Wrzasowic i Wierzbicy z Przyszowy ²⁾. Bulle z 1 października i 13 listopada 1430 r., które mi papież wzywał Jagiełłę i Witolda do krucjaty przeciw kacerzom, król ignorował; owszem, pozwalał husytom zakupywać w Polsce broń, konie i inne rekwiizyta wojenne, o czém Witold z ubolewaniem pisał do mistrza Krzyżackiego ³⁾.

¹⁾ *Monumenta*, t. II, str. 67.

²⁾ *Długosz*, t. XI, str. 453.

³⁾ *Daniłowicz*, t. II, str. 107.

W chwili wydania bulli listopadowej, Wielki książę litewski już nie żył; umarł 27 października w Trokach. A chociaż na krótko przed śmiercią pojednał się z królem, nie zabrał wszakże z sobą do grobu swojej polityki separatystycznej. Znalazł się jój kontynuator, daleko mniej zdolny, lecz o wiele gwałtowniejszy, w osobie Świdrygiełły, rodzzonego brata królewskiego, którego Jagiełło wyniósł na wielkie księstwo bez wiedzy panów koronnych, bądźto powodowany przywiązaniem braterskim, bądź przez wzgląd na Rusinów, którzy stanowili większość w państwie Litewskim, a Świdrygiełłę bardzo lubili ¹⁾). Ten związał się natychmiast z cesarzem i Krzyżakami; z królem zaś, który wtedy na Litwie przebywał, tak się obszedł, iż po ościennych krajach rozbiegła się wieść, że go uwięził. Istotnie groził mu więzieniem, a nawet śmiercią. Skoro więc Jagiełło wrócił do Polski z początkiem roku 1431, wnet okazał Czechom pewną łaskawość: przyjął bowiem do swojej rady Korybuta i wraz z Puchałą postawił go na czele zbrojnych oddziałów dla pilnowania granicy od Krzyżaków ²⁾). Za pośrednictwem téż synowca, zezwolił na dysputę religijną husytów z katolikami w Krakowie w miesiącu marcu. Wprawdzie papież nie myślał o żadnych ustępstwach dla heretyków, lecz widząc niepodobieństwo zwalczania ich siłą oręża, nie sprzeciwiał się użyciu środków łagodnych, zawsze jednak z zastrzeżeniem, że odszczepieńcy bezwarunkowo powrócić muszą do nauki Kościoła. Husyci, chociaż zwycięzcy, nie odrzucali pojednania z Kościołem, ale na podstawie całkiem odmiennej. Między nimi a katolikami mogła, ich zdaniem, tylko biblia rozstrzygać, nie kościół rzymski, który w toczącej się sprawie był jedną ze stron; na tej zasadzie żądali dysput i zgadzali się na wyrok soboru, właśnie zwołanego do Bazylei. Rozumie się, że skoro obie strony wychodziły ze sprzecznych punktów zapatrywania, trudno było o zgodę. Dowiodła tego rozmowa religijna, odbyta 1429 r. w Preszburgu, w obecności cesarza Zygmunta. Nie lepiej i rozmowa krakowska wrożyła, otwarta 19 marca, zakończona pierwszych dni kwietnia. Biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki obłożył miasto interdyktem na cały czas pobytu husytów, tak, iż za nadejściem świąt wielkanocnych, ażeby w stolicy mogło się odprawić uroczyste nabożeństwo, musiał Jagiełło osadzić delegowanych czeskich na Kazimierzu. Przywodził im sam Prokop Wielki, przeciw któremu występowali: Stanisław ze Skarbimirza, Jakób z Paradyża i inni co bieglejsi doktorowie i profesorowie wszechnicy Krakowskiéj. Zabierał głos nawet Jagiełło, przypominając Czechom, jak niegdyś kwitło ich królestwo, a jak niezgoda pochyliła je do upadku. Ostateczny wynik dysputy był ten, iż Czesi oświadczyli, że udadzą się do Bazylei, jeżeli sobór przyrzecze, że za podstawę dyskusyi w sprawie husyckiej przyjmie Pismo Święte i doktorów Kościoła na niem się opierających; zaś teologowie krakowscy zażądali od Czechów

¹⁾ Długosz, t. XI, str. 559.

²⁾ Tenże, t. XI, str. 578.

bezwarunkowego poddania się wyrokowi soboru. O przebiegu dysputy zawiadomił król obu naczelników świata katolickiego, papieża i cesarza. Ten drugi odpisał listem, datowanym z Chebu, prawdopodobnie w miesiącu maju, a świadczącym jak naprężony był stosunek cesarza do monarchy polskiego. Píše najprzód Zygmunt, że posłowie czeszy inaczej mu rzecz opowiedzieli, niż król w swoim liście; następnie skarży się, że Polacy wspólnie z Husytami trzymają zamki szląskie; król zaś pozwala Husytom sprzedawać w Krakowie łupy wojenne i zaopatrywać się w potrzeby ¹⁾.

Niedziw, że Jagiełło pobłażał Husytom; zważywszy, ilu Polska miała nieprzyjaciół, dziwić się raczej należy z katolickich uczuć wypływającej skrupulatności monarchy, że już wówczas nie zawarł z husytami przymierza. Świdrygiełło wszczął wojnę, a kiedy się ta na Wołyniu srożyła, sprzymierzeńcy jego Krzyżacy, wpadli niespodzianie do Korony pustosząc Kujawy i Wielkopolskę; wchodził nadto w związki z hospodarem wołoskim, z chanem tatarskim, układał się z cesarzem o koronę litewską, którą chytry Luksemburczyk łudził Wielkiego księcia, ażeby ten na szkodę Polski trwał w sojuszu z Zakonem ²⁾. Król zgrzybiały, przytém z widocznym wstrętem dobywający oręza na rodzonego brata, nie przedsiębrał kroków dość energicznych tak, iż narzeczona rada koronna musiała uknuć spisek w celu zrzucenia buntownika z wielkiego księstwa. Porozumiano się tym końcem z Zygmuntem Kiejstutowiczem, bratem Witolda, panem na Starodubiu, który niezwłocznie zebrałszy swoich stronników, tak nagle napadł Świdrygiełłę w Osmianie ostatniego dnia sierpnia 1432 r., iż ten ledwie zdołał uciec do Połocka. Wkrótce potem Zygmunt Kiejstutowicz uroczyste został osadzony na wielkorządztwie litewskim. Ale Świdrygiełło nie opuścił swęj sprawy: nanowo zapalił wojnę domową, która ogarnęła wszystkie kraje litewsko-ruskie, a której końca sędziwy król już nie dożył. I znowu Krzyżacy i cesarz i Tatarzy i Wołosza, bądź jawnie, bądź tajemnie wspierali niebezpiecznego wichrzyciela. Gdy tak Polska ze wszystkich stron była otoczona wrogami, a jednak jęj monarcha nie podawał jeszcze ręki Czechom, choć każdej chwili gotowym do usług, cesarz, który bezustanku oskarżał Jagiełłę o sprzyjanie kacerzom, sam już od lat kilku z nimi się układał. Wprawdzie nie porzucił także, szczególnie za wpływem papieżkim, zamiaru poskromienia ich orężem; jakoż przysłała do skutku jeszcze jedna, piąta i ostatnia krucjata w roku 1431. Ale gdy i ta wyprawa, jak wszystkie poprzednie, skończyła się srogim pobiciem Niemców pod Domażlicami, wtedy skłonniejszym do zgody i Kościół się okazał i wystosował do Czechów zaproszenie na sobór bazylejski. Rokowania, które się ztąd wywiązały, co do wysłania deputacyi husyckiej na sobór, ciągnęły się przez cały rok, gdyż

¹⁾ Palacky.

²⁾ Długosz, t. XI, str. 592; Daniłowicz, t. II, nr. 1556, 1562, 1594, 1617.

Czesi nie chcieli przystać na powszechne zawieszenie broni ze swymi nieprzyjaciołmi, czego właśnie domagało się zgromadzenie bazylejskie. Nie ustawały zatem ich wyprawy do Węgier, do Brandeburgii, na Szlązk ¹⁾. Podczas wyprawy szlązkiej w lecie 1432 r. świetne poselstwo husyckie znowu ofiarowało Jagielle tron czeski. Tym razem i duchowieństwo polskie nie sprzeciwiało się przyjacielskim stosunkom króla z heretykami, miało bowiem przed oczyma świeży przykład tolerancji ze strony soboru bazylejskiego. Wyjątek stanowił tylko Zbigniew Oleśnicki, który za przybyciem posłów czeskich do Krakowa, wnet rzucił na miasto interdykt. Kler krakowski, jakkolwiek niechętnie, zastosował się do rozporządzenia swojego biskupa; ale król tak się rozgniewał na Oleśnickiego, iż ten lękał się podobno o swoje życie ²⁾.

Ofiarowanego sobie tronu Jagiełło nie przyjął. Natomiast stanęło przymierze między Polską a Czechami w miesiącu lipcu, o czém niejaki Maltitz, agent krzyżacki, jeszcze w czerwcu ostrzegał wielkiego mistrza, twierdząc, że przymierze to nasamprzód będzie zwrócone przeciw Zakonowi ³⁾. Nawiasem godzi się wspomnieć, że posłowie czescy zanosili jakieś prośby za Korybutem, który po owój dyspacji krakowskiej katolików z husytami, może nie kontent z jój wyniku, opuścić był Polskę ze śmieszłą pogroźką, wystosowaną do ś. Stanisława i tём zapewne ściągnął na siebie niełaskę królewską ⁴⁾. Udał się do Czech, bił się pod Domażlicami; ale gdzie się potem obracał, niewiadomo: miał podobno przesiadywać w Dobrzyniu. Ostatni raz widzimy go, jako stronnika Świdrygiełły, w bitwie pod Wiłkomierzem, którą ten stoczył 1 września 1435 r. z Zygmuntem Kiejstutowiczem. Porażony Świdrygiełło uciekł, Korybut zaś dostał się do niewoli i umarł z ran odniesionych ⁵⁾.

Przyjaźń z Czechami zachował Jagiełło aż do śmierci. W roku 1433, jak świadczy spółczesny Windek, biograf cesarza Zygmunta, była mowa o wyniesieniu na tron czeski starszego syna królewskiego. Naturalnie ściągało to na króla ze strony cesarza, jako tóż Zakonu krzyżackiego, zwykłe krzyki o sprzyjanie heretykom, w skutek czego sobór bazylejski, przed który oskarżenia te wytaczało, słał do Jagiełły poselstwa ⁶⁾. Skargi Zygmunta wpływały głównie z obawy, żeby Czechy nie połączyły się z Polską pod jednóm berłem. Ale Jagiełło o tём nie myślał; poprzestał na użyciu posiłków czeskich podczas krwawych zaburzeń, które wywołał Świdrygiełło po swoim strąceniu z wielkiego księstwa. Już wkrótce po zawarciu przymierza z królem polskim, panowie czescy Jan Czapek i Otik wypowiedzieli w imieniu

¹⁾ Palacky.

²⁾ Długosz, t. XI, str. 606; *Monumenta*, t. II, str. 75—76.

³⁾ Grünhagen, str. 109.

⁴⁾ Długosz, t. XI, str. 579.

⁵⁾ Stadnicki: *Bracia Władysława Jagiełły*, Lwów 1867.

⁶⁾ Długosz, t. XI, str. 623.

wszystkich husytów wojnę Krzyżakom, jako spółnikom i sprzymierzeńcom cesarza Zygmunta. Jak wszakże nieskorym był Jagiełło do korzystania z téj okoliczności, dowodzi fakt, że kazał zasiekami poprzecinać husytom drogi do Węgier, ażeby napadami swojemi nie trafilili narodu, wprawdzie z Polską zaprzyjaźnionego, lecz którego monarcha był jój wrogiem. A i pomoc husycką przeciw Krzyżakom przyjął dopiero w roku 1433, gdy ci po raz drugi jawnie ze Świdrygiełłą się związali.

Pierwszych dni czerwca Czapek wkroczył na czele 8,000 ludzi do Nowej Marchii i tu się połączył z Sędziwojem Ostrorogiem, kasztelanem poznańskim. Zdobyli dwanaście miast, a całą okolicę obrócili w perzynę. Postępując dalej, opanowali Pelpin; w sierpniu wzięli Tczew, gdzie Czapek spalić kazał wszystkich pojmanych zaciężników krzyżackich czeskiej narodowości, za to, że się sprzedali w służbę Niemcom do walki przeciw bratniemu plemienu polskiemu.

W początkach września sprzymierzone wojska stały pod Gdańskiem i spaliły klasztor Oliwski. Widok morza sprawił wielką radość żołnierzom: brodzili w jego nurtach, a niejedyn Czech nacerpał wody mody morskiej, aby tę pamiątkę szczęśliwej wyprawy do domu zanieść ¹⁾. Przyciśnieni Krzyżacy, błagali o pokój. Ale trwała z nimi ugoda stanąć nie mogła; więc tylko rozejm trzymiesięczny zawarto, który następnie w Brześciu Kujawskim przedłużono do lat dwunastu ²⁾.

W skreślonym dopiero zarysie stosunków dworu polskiego z husytami czeskimi, nie bez przyczyny ograniczyłem się do czasów Władysława Jagiełły. Za panowania tego króla husytyzm począł się, dobiegł pełni swój mocy i pochylił się do upadku, bo właśnie w przeddzień śmierci Jagiełły Czesi stoczyli z sobą bratobójczą walkę pod Lipanem, w której taborzanie na głowę zostali pobici, a ich sławny wódz Prokop Wielki poległ razem ze swym towarzyszem Prokopem Małym. Śmiertelna klęska tego stronnictwa ułatwiła jego nieprzyjaciołom, utrakwistom, pojednanie z katolikami. Oczyszczony z radykalizmu, ujęty w karby warunków ugodowych, które Kościół rzymski usankcjonował w tak zwanych kompaktatach bazylejskich, husytyzm istnieje odtąd, jako odmiana katolicyzmu, ani Kościołowi, ani porządkowi społecznemu nieszkodliwa, chyba tylko Niemcom niedogodna, jako wyraz opozycyi żywiołu słowiańskiego przeciw germanizmowi, oraz nieustające przypomnienie tylu bitew przegranych. Cicho, spokojnie wiedzie husytyzm swój żywot przez lat trzydzieści aż do chwili, w której zbytnia żarliwość papieży zrobiła z niego po raz drugi kwestyą religijną, i znowu społeczność czeska rozdzieliła się na prawowiernych i kacerzy, znowu walka zawrzała. Obraz tych ponownych zapasów husytyzmu z katolicyzmem, w których i Polska ważną odegrała rolę, podałem gdzieindziej ³⁾.

¹⁾ Długosz t. XI, str. 624—636; Voigt: *Geschichte Preussens*, t. VII.

²⁾ Dogiel, t. IV.

³⁾ *Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o koronę czeską*. Kraków 1877 r.

Wracam do Władysława Jagiełły, ażeby w krótkości ocenić jego politykę w sprawie husyckiej. Czesi z natarczywością garnęli się pod rządy króla polskiego, a za spełnieniem ich życzeń nie tylko przemawiało żywe dla nich spótczucie Polaków, ale i wspólna obu narodom walka z Niemcami. Król zaś tak mało sobie ważył te względy, że raz nawet wbrew im postąpił, prawda, że niefortunnie, bo nie zdołał w podanych swoich pokonać wstępu do wojny z pobratymcami; tyle wszakże dokazał, że wyjąwszy garstkę ochotników, cała Polska beczynnienie się przyglądała krwawym wysileniom swych spótczeczupców. Mniejsza o wrogich nam krzykaczy, którzy niezawodnie zużytkują tę okoliczność, aby jeszcze raz równie fałszywie, jak bezrozumnie obwołać nas zdrajcami Słowiańszczyzny. Tym ludziom niepodobna byłoby wytłómaczyć, że monarcha katolickiego narodu, przytém sam dobry katolik, nie mógł wziąć w opiekę zbuntowanych synów swojego Kościoła; wedle ich osobliwszego mniemania, katolicyzm a Słowiańszczyzna, to dwie rzeczy, nie dające się obok siebie pomyśleć. Ale między nami znajdą się może, co powiedzą, że Jagiełło, skrupułami religijnymi zaślepiony, przeoczył pierwszorzędnny interes własnego narodu. Powiedzą, że gdyby był przyjął ofiarowaną sobie koronę św. Wacława, pozyskałby w Czechach dzielnych pomocników do wyparcia z Prus zakonu krzyżackiego i przywrócenia tych ziem Polsce, a tak oszczędziłby krajowi zgubnych następstw, jakie wypłynęły z dalszego istnienia tego zawziętego wroga imienia polskiego. Powiedzą, że połączenie Czech z Polską pod jedným berłem byłoby na zawsze położyło tamę zaborczej dążności Niemców ku wschodowi. Otóż pamiętając o warunku, pod jakim Czesi tego połączenia pragnęli, mianowicie, aby król polski wziął w obronę ich odszczepieństwo, zastanówmy się, jakie właściwie owoce zebrałaby Polska ze związku, takim warunkiem opisanego. Odszczepieństwo czeskie dwojakie było, umiarkowane i radykalne, a przepaść między obojgiem tak wielka, że kto się za jedným oświadczał, tém samým stawał się wrogiem drugiego. Rozumie się, że Jagiełło żadnym sposobem nie mógłby popierać stronnictwa radykalnego, tak ze względów religijnych jak politycznych, chybaby otwarcie musiał zerwać z Kościołem, albo własnymi rękami podkopać i tak już w Polsce nieco zachwianą monarchiczną spótczeństwa budowę. Ale chociażby się był ujął za samymi utrakwistami, przyjmując z ich rąk panowanie w Czechach, to pomijając już niechybną wojnę o koronę tego kraju z cesarzem Zygmuntem i całą Rzeszą Niemiecką, nie uniknąłby gniewu papieża, za czemby poszło, że krucjaty, które na Czechy spadały, nie ominęłyby i Polski; w domu popadłby w niebezpieczny zatarg z duchowieństwem i wszystkimi gorliwymi katolikami, a w Czechach miałby jeszcze do walczenia z taborzanami. Tyle więc trudności pokonać należało, nimby przybrany przez Jagiełłę tytuł króla czeskiego, rzeczywiście zaczął oznaczać zjednoczenie dwu bratnich narodów. Mogłoby ktokolwiek zrobić uwagę, że skoro Czesi bez niczyjjej pomocy pobili i Zygmunta i Krzyżowców, tém łatwiej w spótcie z nimi dokazałby tego samego Jagiełło, a używa-

jąc zrećnie spółczucia swojego narodu dla Czechów, potrafiły i opór polskich katolików złamać. Być może, przypuśćmy, że stłumiłyby nawet skrajne sekciarstwo husyckie, tak iż dzięki interwencji polskiej, świat katolicki miałby do czynienia tylko z husytyzmem umiarkowanym, łagodnym, wolnym od wszelkich dziwactw i potworności. Ale czy wojna religijna byłaby dla tego mniej zacięta? Czy łatwiej i prędzej przyszłoby do pokoju? Sądziłbym, że nie; bo i umiarkowani husyci, stawszy się skutkiem tejże interwencji panami Czech, przytém moralnie pokrzepiani nadzieją zhusycenia Polski, do której wstępi ich nauce ułatwiałaby unia obojga narodów, nie bardzoby się troszczyli o ugodę z katolikami. Jak przykre ztąd wywiązałyby się między Polską a Rzymem stosunki, jakie w kraju zamieszanie, ile sumień zaniepokojonych, każdy to pojmie. Ale i po zawarciu pokoju religijnego nie miałaby Polska miru w świecie katolickim, gdyż słusznieby jęj zarzucano, że przyczyniła się do zwycięstwa herezyi.

Nie na tęp wszakże koniec. Wspomniałem, że istotną podwaliną ówczesnej wielkości Polski było szerzenie w krajach litewsko-ruskich cywilizacji, oczywiście tęp, którą Polska sama żyła, cywilizacji katolickiej. Do tęp misyi przyznawali się także Krzyżacy, i rzeczywiście byli do nięj powołani; lecz ponieważ nigdy jęj nie pełnili, tylko używali jako narzędzia swojej bezednej polityki, więc została im odebrana przez Polskę, która tęp moralnym zwycięztwem daleko skuteczniej, niż pod Grunwaldem, pobiła Zakon, a przez to i parciu Niemczyzny ku Wschodowi na długie czasy postawiła zaporę. Gdyby się zaś podjęła bronienia sprawy, potępionej przez Kościół, nietylko by sobie utrudniła ową misyę, źródło swojej potęgi, ale co gorsza, wlałaby nowe życie w butwiejący organizm swego odwiecznego nieprzyjaciela. Wszakże i wtedy, gdy nieużyteczność Zakonu już dla nikogo nie była tajemnicą, Stolica Apostolska nieraz mu udzielała poparcia w jego zatargach z Polską. Cóż dopiero, gdyby choć pozornie odzyskał racyę bytu? zamiast widzieć w Krzyżakach szkodliwych, do szczętu zdemoralizowanych pasorzytów, cały świat katolicki znowuby w nich ujrzał obrońców wiary, apostołów cywilizacji; znowu przyszłyby dla nich czasy świetności i siły, a groźnych niebezpieczeństw dla Polski. Mądrze więc uczynił Jagiełło, że próby Czechów odrzucił. Uchronił on tym sposobem swój naród od nieobliczonych klęsk, a nawet i Czechom pod pewnym względem oddał usługę. Jeżeli bowiem husytyzm zasłaniał ich kraj przed niemiecką przemocą, to dla Polski opiekowanie się husytyzmem, wręcz przeciwny miałoby skutek; wzmocnienie zaś u jęj granic żywiołu niemieckiego, przy połączeniu obu państw pod rządami jednego monarchy, nie omieszkałoby i na Czechach szkodliwie się odbić.

WARSZAWA,

JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800 — 1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Ćwiczenia naukowe.—Teodozy Sierociński.—Tymon Zaborowski.—Zoryan Dołęga Chodakowski.—Część literacka.—Rozprawa T. Sierocińskiego.—O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej Z. D. Chodakowskiego.—Poemat T. Zaborowskiego.—Józef Korzeniowski.—Gazeta Literacka.—Dziewica Orleańska Szyllera, przekład A. Brodzińskiego.—Natan Glücksberg.—Sybilla Nadwiślańska.—Franciszek Grzymała.—Mrówka Poznańska.—Fr. Królikowski.—Pączółka Krakowska.—Jerzy Samuel Bandtkie.—Towarzystwa Naukowe w Lublinie i Płocku.—Program do opisu Województwa Płockiego.—Jan z Tenczyna J. U. Niemcewicza.—Honorarium.—Cierpienia młodego Wertera, Goetego.—Pan Wojciech z Prokocimia.—Franciszek Grzymała.—Klasycyzm i Romantyczność.—Statystyka szkół w Królestwie Polskiem 1821.—Cenzura.—Jan Kalasanta Szaniawski.—Pisma Kazimierza Brodzińskiego.—Żal za polskim językiem.—Klementyna Tańska.—Jan Paweł Woronicz.—Assarmot Hymn do Boga.—*Pani Jeziora* Walter Skotta, przekład Karola z Kalinówki.—Zbiór Pamiętników o dawnéj Polsce J. U. Niemcewicza.—Wybór poezyi Aleks. Popa z angielskiego, przekład Ludwika Kamińskiego.—Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki, księcia Lubomirskiego.—Wojciech Bogusławski i jego dzieła dramatyczne.

Równocześnie z *Pamiętnikiem Warszawskim*, pod redakcją F. Bentkowskiego i *Tygodnikiem Polskim i Zagranicznym* Brunona hr. Kicińskiego w r. 1818, pojawiły się *Ćwiczenia Naukowe*, na które prospekt ogłoszony został d. 29 listopada 1817 r.

Redakcja złożona głównie z młodych uczniów którzy ukończyli Liceum Krzemienieckie, dawała tém pismem dowody najwymowniej-sze, jakie niezapomnianej pamięci Tadeusz Czacki, tym Zakładem naukowym, oddawał usługi, wykształciwszy potężny zastęp, zdol-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

nój młodzieży gotowej do pracy społecznej i poparcia literatury ojczyźstėj.

Głównymi współpracownikami Cwiczeń Naukowych byli Teodozy Sierociński prozaiik, Tymon Zaborowski w całym tego słowa znaczeniu poeta, i Adam Czarnocki pod pseudouymem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego; następnie podpierali to pismo: Kazimierz Brodziński, J. U. Niemcewicz, Józef Korzeniowski, Joachim Lelewel i wielu innych.

Pismo to podzielono na dwa działy: 1. *Matematyczno-fizyczny*, 2. *Literatury*. W pierwszym oddziale zapowiedziano drukowanie prac własnych, oryginalnych, a zarazem tłómaczeń i wyciągów z dzienników zagranicznych ze sfery nauk ścisłych, dodając do działu matematyczno fizycznego nauki przyrodzone, oraz wiadomości literackie a właściwie bibliograficzne o najnowszych dziełach godnych uwagi.

O części *literackiej* tak prospekt pomieniony mówi:

„Oddział literatury wziętej w najogólniejszym swém znaczeniu, oprócz ćwiczeń, w przedmiotach gustu i wyobraźni, obejmie jeszcze prace różne w literackim, historycznym i moralnym względzie. Staraniem będzie wydawców, ażeby w tym oddziale dla jak największej liczby czytelników, zajmującemi i rozumiałemi się stali: aby mogli niezrażając surową uczonością, zawsze oświeconą przynosić zabawę, a zastanawiając się szczególnie nad postępm narodowego oświecenia lub wystawiając dzieła i cnoty naddziadów, przyjmując i pożytecznie zawsze zajmować polaka. Będą to zatem więcej własne niż tłómaczone, więcej w przedmiotach tyjących się swego niż obcych narodów układane pisma, mniej obszerne, filozoficzne traktaty, jak raczej krótkie lecz zajmujące rozprawy, zbierane na ziemi rodzinnój opisy, lub z drogiemi przypomnieniami połączone nauki. Narodowość będzie istotną tego oddziału cechą. Ojczyście dzieje i dzieła, narodowe obyczaje, i widowiska krajowe, widoki i obrazy, są to tyleż nieprzebranych dla piszących źródeł, z których czerpać przedmioty swoje i łatwo i miło. Polska ma swoje piękności, polacy właściwe sobie cnoty, polskiej wymowie i poezyi należy i przystoi tak jedne jak drugie malować i wystawiać, opiewać i wielbić, a pracujący w tym duchu, jeżeli na trudną pisarza albo poety chwałę nie zasłużą, przynajmniej dobrym okaże się polakiem.”

Koniec ogłoszonego prospektu brzmi w tych słowach:

„Jeżeli wydawcy pożądanego skutku usiłowań swoich, nie bez jakiegokolwiek nadziei oczekują, mniej w tém polegają na swoich, jeżeli jakie mogą mieć zdolnościach, jak raczej na zapale, który ich ożywia i pracy do której ich tenże pobudza, a chociaż raczej zasługi niż zysku nietyle pożądamy składających im summy pieniężne prenumeratorów, ile pragną mieć dla dziennika swego zwawców czytelników, surowo lecz bezstronnie prace ich sądzących, umiejących cenić usiłowania, i nie gardzących onych przydatnością, jeśli te jaką dla nich mieć będą.”

Zeszytów *Ćwiczeń naukowych* wychodziło dwa na kwartał, czyli jeden na półtora miesiąca. Z początku redakcyja zamierzała w jednym zeszycie łączyć obadwa oddziały *Matematyczno-fizyczny* i *literatury*, z oddzielną paginacyą; ale spostrzegszy niepraktyczność takiej publikacyi, w oddzielnych zeszytach drukowała oba te oddziały.

Weźmiemy na uwagę część literacką, jaka oddziaływała głównie na naszą społeczność. Rozprawa Teodozego Sierocińskiego na czele pierwszego zeszytu pomieszczona p. n. *Jak się potworzyły dzieła oryginalne, jakie są właściwie ich cechy, i jakie granice zdrowy rozsądek naznacza w szukaniu oryginalności!* tak wyborną była napisana polszczyzną, że Stanisław Potocki niedowierzając, ażeby to mógł napisać młody uczeń szkół Krzemienieckich, był pewnym, że pod pseudonymem Teodozego Sierocińskiego ukrywa się jakaś znakomitość wyszła z pod ręki Śniadeckich lub też że jeden z nich a głównie Jan Śniadecki tę rozprawę napisał.

Dwa utwory inne dały do razu wielki rozgłos *Ćwiczeniom naukowym*: poemat Tymona Zabrowskiego: „Bolesława Chrobrego wyprawa do Kijowa,” z którego kilka pieśni w nich wydrukował: i rozprawa Adama Czarnockiego pod pseudonymem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, p. n. *O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem*. Mała to co do rozmiarów, stała się ogromną, wpływem potężnym na młode umysły. Porwała ona je równie silnie jak poezye Mickiewicza, które z szybkością błyskawicy przebiegły kraj cały, od miast zajrzały w najcichsze ustronia wiejskie, wstrząsając sercami i duszą całej naszej społeczności.

Chodakowski zbierając podania i pieśni ludowe, śledząc zwyczaje i obyczaje pod strzechą słowiańską, malował obrazy owęj Słowiańszczyzny pogańskiej, która zginęła przed potęgą krzyża Zbawiciela. Z gorącym uczuciem każdy szczegół pochwycony w podaniu o obrzędach, w zwyczaju i obchodach, rozwija z taką prawdą i urokiem, że czytelnika unosi z sobą w te zapadłe wieki. Młodzież czytała tę szacowną pracę, wynik długich podróży i bystrego postrzegawczego badania, nie jako rozprawę, ale jako porywający poemat, i z pomiędzy nięj to wyszedł zastęp pracowników, którzy wzięwszy kij w rękę, a łómczek na plecy, poszli w rozmaite okolice kraju, dla zbadania ludu wiejskiego, zebrania jego pieśni, podań, powieści, a zarazem zbadania jego obchodów i obrzędów, w których jeszcze nie jeden rys się przechował Słowiańszczyzny przechrześcijańskiej. W zapale, z jakim czytano tę rozprawę Zoryana, niedopatrywano się jęj stron ujemnych; dopiero późniejsza gruntowna krytyka Wawrzyńca Surowieckiego, wykazała słabe strony i usterki wynikłe z gorącego pochwylenia ulubionego przedmiotu. Jakkolwiekby, wpływ tej pracy Chodakowskiego był przeważny równie jak *Historya literatury* F. Bentkowskiego, jak *Opis starożytnęj Polski*, Tomasza Święckiego.

W poemacie Tymona Zaborowskiego *O Bolesławie Chrobrym*, młode pokolenie powitało z serdeczném uniesieniem, nowego poetę

z prawdziwem natchnieniem, który nie idąc śladem ubitym przez naszych klasyków zfrancuziałych, wstąpił na nietkniętą dotąd drogę, i brał przedmiot do swego poematu z pierwszych wieków życia państwowego Polski.

Pomimo świeżości pomysłu i wykonania go w części w ogłoszonych pieśniach w Ćwiczeniach naukowych, w których porywał czytelników językiem ślicznym i wierszem cudnie potoczystym, prostotą i naturalnością niezwykłą: samodzielność poety przygniatały jeszcze formy klasycznego kodeksu. Czuć w tym utworze młodego orła zamkniętego w żelaznej klatce, który w każdym porywie na górne szlaki, rozbija się o kraty swego więzienia, i łamie pióra skrzydeł własnych co go miały wznieść w niebiosa.

Wspomnieć tu jeszcze należy o małej rozprawie tegoż poety p. n. *O zewnętrznej budowie wiersza polskiego*. W owym okresie zaczęto podnosić głosy za wierszem białym miarowym. Tymon Zaborowski ujął się za rymem, jako przyrodzonym naszej mowie. Józef Korzeniowski był wielkim zwolennikiem wiersza miarowego, pisząc nim swoje dramata, które później wydał: jak próby dramatyczne, i Mnicha. Nie występował on publicznie przeciw wierszom rymowanym, ale gorąco przeciw nim powstawał, w rozmowach, a nieraz i z katedry będąc profesorem literatury w Liceum Krzemienieckim. Zaborowski nie dzieląc tego przekonania, jakkolwiek ulubionego profesora i pisarza z wyższym talentem, wystąpił teraz przeciw tej zasadzie, uważając rymy za konieczność naszego wiersza. Godnym zastanowienia, że nikt z należących do sporów w tej sprawie nie zwrócił uwagi, na najpierwsze wzory poezji polskiej w *pieśniach ludowych*, które są wszystkie z rymem układane i w tej formie tylko istnieją. Rok tylko 1818 zachowywały *Ćwiczenia naukowe* swój tytuł pierwotny, w roku następnym jako dalszy ich ciąg, ukazał się *Pamiętnik naukowy* we dwóch oddziałach: *Matematyczno-fizycznym* i *Literatury*.

Lata 1821 i 1822 stanowią świetny początek rozwoju ruchu umysłowego w Warszawie i nowego zwrotu literatury. Od 2 stycznia 1821 r. pojawił się organ poważny, naukowy: *Gazeta literacka*, która objęła kontrolę nad tym ruchem rozpoczynając w pierwszym zaraz numerze obszerny rozbiór tragedji Szyllera *Dziewicy Orleańskiej*, w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza poległego w wyprawie do Moskwy 1812 r.; tłumaczenie to wyszło właśnie z druku staraniem tegoż Kazimierza, który pragnął drogą pamięć brata i opiekuna swego wspomnienie przechować; utwór ten na wskroś romantyczny pojawił się już na scenie Teatru narodowego, przedstawiony z niesłychaną starannością i przepychem, wzbudzał powszechny zapal¹⁾.

¹⁾ Przekład ten wyszedł p. n.: „*Dziewica Orleańska*, tragedia romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona przez Andrzeja Brodzińskiego. Wystawiona pierwszy raz na Teatrze narodowym w miesiącu grudniu 1820 r.,

Główną rolę grała Ledóchowska, pierwsza artystka w tragediach klasycznych. Pomimo wrodzonego talentu, nie potrafiła w zupełności odpowiedzieć wzniosłemu zadaniu, bo w tej roli trzeba było więcej siły i namietności wykazać, gdyż scen spokojno-francuzko-klasycznych zbyt mało było.

Krytyk w *Gazecie Literackiej* porównując przekład A. Brodzińskiego z oryginałem Szyllera, wykazuje jego zalety i wady.

Gazeta Literacka nie tylko pilnie śledziła wszelkie objawy literatury krajowej w pojedynczych dziełach, ale podawała staranne przeglądy z literatur zagranicznych, utrzymując stały związek duchowy z Zachodem. Przeglądy te dziś się jeszcze czytają z przyjemnością, odznaczone głęboką znajomością przedmiotu i gruntownym poglądem. Grono współpracowników składała cała inteligencja krajowa, profeso-

z dodaniem różnych poezji tłómacza." Warszawa. Nakładem i drukiem Zawadzkiego i Węckiego, uprzywilejowanych drukarzy i księgarzy dworu króla polskiego. 1821. (W 12-ce, str. 178). L. Osiński przedstawiając tę tragedję na teatrze, poczynił odmiany bardzo trafne, nie tylko przez wyrzucenie wielu scen, ale i osób wprowadzonych w oryginalne, ażeby zrobić ją przystępniejszą dla widzów polskich i nie trudzić zbyteczną rozwlekłością. Rzecz sama na tém zaprawdę zyskała. Tłómacz przekład swój pozostawił gotowy, wychodząc na wyprawę 1812 r., z której nie wrócił, albowiem poległ w bitwie pod Berezyną, licząc rok 26 życia. Brat młodszy Kazimierz, przywiązany doń serdecznie, gdyż był mu wzorem pracy, zamilowania do poezji i czułym opiekunem w pacholecych latach, zajął się téj pracy, jako drogiej pamiątki po poległym, wydrukowaniem. Gdy tragedia ta wywołała ogromny zapal w Teatrze narodowym, a grana kilkakrotnie, ściągala zawsze tłumy widzów, znaleźli się i chętni wydawcy w księgarzach Zawadzkim i Węckim, témbardziej, że żadnego za rękopism nie zapłacili honorarium. Tłómacz w przednowie przyznaje otwarcie, że raczej naśladował niż tłómaczył ten utwór Szyllera, a: „co się tyczy prawideł sztuki dramatycznej względem jedności osób, czasu i miejsca, których autor bynajmniej nie zachowuje, tych w naśladowaniu mojem i ja zachować nie mogłem” (!!).

To nam maluje, jakie było posłuszeństwo dla starego *kodeksu klasycznego*; pod jego artykuły podciągano Szyllera i ujemne strony dopatrywano poety niemieckiego, że je miał odwagę przekraczać. Widzimy to i z przedmowy znacznego Andrzeja Brodzińskiego. Przy końcu tego dramatu pomieścił Kazimierz kilka poezji oryginalnych Andrzeja; utwory to zwyczajne, nieodznaczające się wyższym talentem, trzymane w tonie wówczas panującym. W tragedyi samęj miejsca więcej liryczne zniknęły w tłómaczeniu A. Brodzińskiego w przeciągłym 13-sto zgłoskowym wierszu. W naszym już okresie przełożył po mistrzowsku, tę samę tragedję A. E. Odyniec. Dość nam tu przywieść po ostatnią scenę w porównaniu obu tłómaczy, dla pokazania wyższości A. E. Odyńca. Scena to, gdy Dziewica okuta w kajdany, dowiadyuje się że król francuzki wzięty do niewoli i wojska jego rozbite. A. Brodziński tak tę scenę tłómaczy: Joanna okuta pada na kolana, gwałtownym modli się głosem:

rowie świeżo założonego uniwersytetu. Członkowie Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, całe nawet Towarzystwo *Iksów* (XX), które z krytyk teatralnych pozyskało sobie szeroki rozgłos, połączyło się z redakcją *Gazety Literackiej*.

Wydawcą jej i nakładcą był przedsiębiorczy księgarz Natan Glücksberg, otrzymując rękopisma wszystkie bezpłatnie. Każdy numer składał się z jednego arkusza w 4-ce, wychodziła co tydzień.

Pomimo wysokich a rzeczywistych zalet, niedługo się to pismo utrzymać mogło. Dlatego też przy końcu roku w nr. 52 ogłosił: „Że o dalszém wydawnictwie w roku przyszłym (1822), pod nową redakcją i podług odmiennego planu, szacowna publiczność osobnym prospektem uwiadomioną będzie.”

Przyszła ostatnia chwila, ostatnia potrzeba!
Boże! gorące modły zasylał do nieba!
Ty w maszt okrętu zmieniasz przedziwo pajęczę,
W nic pajęczą żelazne przemieniasz obręczę;
Chciéj, a ta dłoń potarga ciężary téj stali,
Chciéj, a prysną te mury, ta wieża się zwali.
Gdy Samson nieszczęśliwy, ślepy, skrępowany,
Ufnie wyrzekł do Ciebie, wnet skruszył kajdany,
Objął mury więzienia silnemi ramiony,
Gmach się zatrząsł, pochylił i runął zwalony!

Zobaczymy jak A. E. Odyniec tę scenę przełożył.

Joanna w najgwałtowniejszém wzruszeniu rzuca się na kolana i wznosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i nagłym głosem:

Słuchaj mnie, Boże! bo wzywam Ciebie,
Ojczyzno na niebie!
Duszą wierzącą,
Wiarą gorącą.

Aoh! nie dla siebie wzywam Cię Panie!
Nad ludem moim miej zlitowanie!
Ty sieć pajęczą w stalne obręczę,
Ty więzy zmienisz w sieci pajęczę.
Boś Ty Wszemmocny! bo to się stanie,
Co ty chcesz, Panie!

Samson wydany na urąganie,
W więzach u wrogów, jak ja w téj chwili,
Wołał do Ciebie: oni szydzieli,
A on Ci ufał stary i ślepy,
I daleś siłę, że twarde sklepy
Zrzucił na wrogów, boś Pan nad Pany!

Watrząsa oburącz kajdany, rozrywa łańcuchy. W téjże chwili rzuca się na stojącego żołnierza, wrywa mu z rąk miecz i wybiega wołając:

Francya żyje! bo ze mną jest Bóg!

Nie wiemy jakie powody wywołały potrzebę zmiany redakcyi i planu pisma, które przez rok cały, sumiennie wykonywało przyjęty program i od miłośników ojczyściej literatury wysoko cenione było. Redakcyja złożona z mężów prawdziwej nauki, z uczuciem radości obywatelskiej przyjmowała każdy nowy objaw na niwie literackiej. Z miłością braterską podnosiła znaczne usiłowania. Na dowód tego przywiódł jeden przykład.

W r. 1821 ukazała się: *Sybilla nadwiślańska*: dziennik narodowy, polityce, historii, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony. Wydawany przez Franciszka Grzymałę w Warszawie 1821 r. Zaledwie ukazał się pierwszy zeszyt, czytamy w *Gazecie Literackiej* (18, 4):

„W rzędzie licznych pism, które z początkiem roku bieżącego wychodzić poczęły, *Sybilla* niepospolite zajmuje miejsce. Pierwszy numer pisma tego, wyszedł już na widok publiczny. Co do polityki, mieści w sobie: *Rzut oka na południową Europę; Wiadomości o postępach wolności osobistej w Polsce i innych krajach; Myśli obywatela kraju konstytucyjnego; Listy z Warszawy pisane na prowincyę w rzeczach publicznych i rysy z życia Tadeusza Kościuszki.*

„Co do literatury obejmuje rozprawę Ludwika Osińskiego: *O pierwiastkowych pisarzach dramatycznych w Polsce.* Wiersz filozoficzny Szyllera, przekładania Brunona hr. Kicińskiego i wiersz oryginalny o *narodowości* Kantorbergo Tymowskiego.

„Oceniając dobre chęci wydawcy nie można nie przyznać, że *Sybilla* w kolébce samej, nosi na sobie pewną cechę dojrzałości; szczególniej że się wszędzie dobrym duchem i czystą polszczyzną zaleca. A gdy diezaprzeczoną jest rzeczą, że upowszechnienie pism peryodycznych, stanowi o stopniu oświaty w narodzie; życzyłyby sobie należało, ażeby mieszkańcy tej ziemi, wspierali dobre zamiary rodaka, który zapewne gorliwości swojej nie szczędząc, powziętemu o sobie mniemaniu godnie odpowie.”

Polecenie to *Sybilli* nie przeszło bez wpływu, naraz przybyło 64 prenumeratorów, cyfra na owe czasy wielce poważna.

Z równem uczuciem podnosiła *Gazeta Literacka* usiłowania literackie w objawach poza granicami Królestwa. Tak ogłasza prospekt na *Pamiętnik Galicyjski*, po upadku *Pszczoty polskiej*: „której owoc był tak słodki, a przestała zbierać miód noszący w sobie pożywienie.” Ferdynand Chotomski i Eugeniusz Brodzki, postanowili wydawać *Pamiętnik Galicyjski*, łącząc naukę z zabawą (*Utile dulci*). „Jako sprzyjający naukom, powodowali się tą myślą w swoim przedsięwzięciu, że oświeceni mieszkańcy Galicyi, przyczyniając się do trwałego istnienia tego pisma, nietylko mu upaść nie dozwolą, ale owszem jego postępowi wszelkimi środkami dopomagać raczą” ¹⁾. Niestety! nie sprawdziły się ich nadzieje.

¹⁾ Ferdynand Dienheim Chotomski dał się już poprzednio w *Tygodniku polskim i zagranicznym*, pod redakcyą Brunona hr. Kicińskiego chlubić

Równocześnie w Poznaniu ukazała się *Mrówka Poznańska*, pismo ku użytecznej zabawie rozumu i serca poświęcone, pod redakcją J. F. Królikowskiego ¹⁾ (Poznań 1821 r.), nakładem księgarza J. A. Munka. *Gazeta Literacka* obszerny rozbiór trzem wydanym zeszytom tego pisma poświęca. *Mrówka Poznańska* wydrukowała krytykę na dzieło Wacława Aleksandra Maciejewskiego, wydane: *De Vita et Constitutionibus Trajani Decii*. W Getyndze 1818 r.

Młody wówczas autor do żywa dotknięty pomienioną krytyką na rozprawę, której wartość przyznały czasopisma naukowe niemieckie, ostro i żywo zarzuty odpiera.

Redakcja *Gazety Literackiej* chętnie przyjmowała tego rodzaju rozprawy, w których bez osobistości zyskiwała coś nauka i wiedza. Trzymając się tej zasady, drukuje artykuł nadesłany jako odpowiedź *Pszczółce Krakowskiej*, która z powodu dzieła Ignacego Samuela Bandtkiego: *Historja biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego* (Kraków, nakładem Ambrożego Grabowskiego, 1821 r.), wydrukowała *myśli* o tém dziele jakiegoś Towarzystwa.

„Myśli te (czytamy) nie zasługują pod żadnym względem na imię krytyki, jak sami ich twórcy przyznają na końcu swęj ramoty; lecz właściwie można je nazwać *paszkwilem*, zawierającym po większej części zółcią i nienawiścią napełnione i zdaleka naciągane obelgi i przycinki, po części zaś fałsze i brednie politowania godne. Zjedną ją one niezawodnie poważniejszy tytuł *osy* lub *trądu* dla *Pszczółki*, jak właściwą chwałę u czytelników rozsądnych dla bezimiennych autorów, narzucających nieraz dziecinne żarty i jałowe rubaszne wyrazy za dowiec i miłość ojczyzny.”

Konstanty Majeranowski redaktor *Pszczółki Krakowskiej* nieogłędnie przyjął do swego pisma, raczej paszkwil, niż poważny pogląd na dzieło i jego autora. Jerzy Samuel Bandtkie dla swęj nauki, przywiązania do kraju, wzbogacania literatury ojczystej cennymi pracami pozyskał już sobie szeroki, zaszczytny, a zasłużony rozgłos; ale jak każda wyższość umysłowa, musiał znaleźć pokątną zawiść, która plotką, oszczerstwem i nikczemnym kłamstwem, zapragnęła opluć Bandt-

poznać z talentu wierszopisarskiego, jakeśmy to wyżej wspomnieli. Eugeniusz Brodzki mało znany pisarz, przypomniał się później w *Haliczanie*, wydanym we Lwowie 1830 roku, piśmie zbiorowém, pod redakcją dawnego redaktora *Gazety Literackiej* Chłędowskiego, którego wyszło dwa tomy.

¹⁾ J. Franciszek Królikowski, profesor języka polskiego i literatury w Poznaniu, chlubne zajmuje wspomnienie z dzieła: *O prozodyi języka polskiego*. Pracę tę wysoko cenil A. Mickiewicz i trzymając się zasad w niem wyrażonych, napisał sławną pieśń Wajdeloty wierszem miarowym:

„Zkądto wracali Litwini?

Z noonęj wracali wyprawy.”

Jestto dostojny ojciec najznakomitszego naszego artysty dramatycznego Jana Królikowskiego.

kiego. Mąż uczony, boleśnie odczuł tę zniewagę, ale milczeniem ją pokrył, ufając że czas całą prawdę odkryje i odda mu ją. W czym się też nie zawiódł.

Z nietajoną radością wita i pozdrawia *Gazeta Literacka* objawy szerzącego się światła w kraju, przez liczne szkoły, powstające pisma peryodyczne, oraz powstające towarzystwa naukowe. Obok Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, jakby jego filia, powstało drugie w Lublinie pod przewodnictwem Owidzkiego, prezesa rady obywatelskiej województwa Lubelskiego i po niem zawiązało się trzecie Towarzystwo naukowe w Płocku, które zaraz w początkach swego istnienia założyło sobie zebrać wiadomości, ażeby ułożyć dokładny opis województwa Płockiego i nakreśliło szczegółowy program do wykonania téj obszernéj pracy. Podamy go w treści dla wykazania, że już wówczas, przed pół wiekiem z górą, należycie rozumiano wszystkie kierunki tego rodzaju badań, które obecnie tak pomyślnie i sumiennie Akademia Umiejętności w Krakowie rozwija. Owóz czytamy w tym programie:

1. Zebrać wszelkie postrzeżenia, dotyczące się dobra województwa, z miejscowego przekonania lub ile możność dozwoli z urzędowych dowodów.

2. Opisać ziemię województwa Płockiego w geograficznym i statystycznym względzie.

3. Dochodzić potrzebnych wiadomości w widoku ekonomicznym albo rolniczym, pod względem uprawy roli, zarządu lasami, opisania wód i rzek przerywnających tę część ziemi naszej, opisanie różnych zakładów i narzędzi gospodarskich.

4. Wyśledzać wiadomości tyczące się zoologii, botaniki i mineralogii.

5. Uważać wszystkie zjawiska natury i czynić spostrzeżenia z narzędziami meteorologicznymi.

6. Ułożyć dokładny opis ludzi w ich życiu towarzyskiem i domowém, co do czynności publicznych i prywatnych; a w téj mierze wyszczególnić: nadania i przywileje różnym korporacyom i osobom szczególnym udzielone, stan nauk i zakładów szkolnych, tudzież dobroczynne ustanowienia i szpitale wymienić, oraz podać środki dla dostatecznego ich utrzymania. Opisać panujące obyczaje, szczególne mniemania i miejscowe zwyczaje, właściwe wyrazy i sposoby mówienia mieszkańców okolic płockich, ze względu na dawny dyalekt i późniejsze w nim zmiany. Zwrócić uwagę na stan zdrowia mieszkańców i środki ratowania się w chorobach, wreszcie zastanowić się nad skłonnościami ludu do sztuk nadobnych i pięknych nauk, jakoto do poezyi, śpiewów, muzyki, malarstwa i t. d.

7. Zbierać wiadomości tyczące się historii i biografii, a w tym względzie opisać dawny i terażniejszy skład rządu w województwie Płockiem; opisać dzieje religii, duchowieństwa, kościołów i klasztorów we wszelkich wyznaniach, dawniejszy stan nauk i kunsztów, oraz pa-

miętnie w tój prowincyi zdarzenia, o których dzieje narodowe niemałą liczbę w ziemi Płockiej wspominają.

Nakoniec uskutecznić opisy sławnych i zasłużonych w kraju męzów, którzy bądźto zrodzeni są w województwie, bądź téż ważne dla niego przysługi uczynili.

Towarzystwo plockie, którego prezesem był senator, biskup uczony Prażmowski, odbywało publiczne swe posiedzenia dnia 19 marca w dzień ś. Józefa, czcząc pamięć i wspomnienie księcia Józefa Poniatowskiego.

Gazeta Literacka, w rozbiorach i krytykach dzieł wychodzących była wielce przyzwoitą, lubo na błędy i usterki nieubłaganą, wedle zasady, którą sobie za godło przyjęła. „Krytyka, pisze pustelnik z zamku królowej Bony w nr. 16, niech będzie surową ale pomiarkowaną i niewinną i niech zachowa taki ton, jaki między przyjaciółmi przystoi. Oddana sprawiedliwość prawdziwemu talentowi wzbudza w nim i ożywia ten zapał, który niesprawiedliwa i zjadliwa krytyka oziębiła. Jak ostrożnym trzeba być w krytykowaniu, tak skromnym i oszczędnym w szafunku pochwał. Najlepszą dobrych autorów pochwałą są ich własne dzieła: dawane nie w miarę, przybiorą postać pochlebstwa, a przesadzone w niesmak się obrócą.”

Miarę i ton krytyki surowej w *Gazecie Literackiej* możemy najlepiej ocenić z rozbioru *Dziewicy z Abidos*, poematu Lorda Byrona, przekładania Władysława hr. Ostrowskiego (Warszawa 1821 r.).

Recenzent znawca literatury angielskiej i wysoko ceniący Byrona, robi tłómaczowi główny zarzut że odstępuje od oryginału, a usterki te wykazuje podając przekład swój wierny prozą, a Ostrowskiego tłómaczenie wierszem. Z tego przytoczenia (pisze sam recenzent) kilka wyjątków, sami czytelnicy o wierności przekładu łatwo sądzić mogą. Gdyby był p. Ostrowski pracę swoją nazwał naśladowaniem, byłby się od tego zarzutu ochronił. Wiedział bowiem o tém dostatecznie że kiedy kto zapowiadał w tytule, iż przekładał, stał się tém samém dłużnikiem autora, i niewolnikiem jego myśli; uczciwość literacka wymaga, ażeby osłabianiem i znizowaniem dzieła, nie zadawać krzywdy autorowi, i nieprzymuszać czytelnika nieświadomego oryginału do upakarzającego wyznania, iż nie może znaleźć w tłómaczeniu, lub poznać się na tych pięknościach, które poecie za granicą wielkie imię zjednały.”

W latach 1821 i 1822 życie literackie rozwijało się potężnie w Warszawie, i ruch księgarski coraz większe przybierał rozmiary. Oddać należy co komu należy: najwięcej w tój sprawie położył zasług Natan Glücksberg rodem z wielkiego księstwa Poznańskiego, który utworzywszy księgarnią i drukarnią w Warszawie, wydawał mnóstwo książek swoim nakładem, i pierwszy u nas rzec można zaczął autorem płacić honoraria. Pamiętamy dobrze, jaki to wielki miał rozgłos w naszym mieście i całym kraju wypadek, że N. Glücksberg, położył J. U. Niemcewiczowi na stole, pięćset dukatów, jak wówczas nazywano

obraczkowych czyli ważnych należyście, za jego powieść historyczną Jan z Tęczyna, w 3 tomach. Od roku już obiegała wieść ustna o tej powieści, i niecierpliwość publiczna w gorączce oczekiwała na pojawienie się tego utworu. Zaledwie też dzieło się ukazało, w samej swojej księgarni na Miodowej ulicy w domu Grabowskiego (dawniej Teppera), od godziny pierwszej z południa do piątej w jednym dniu sprzedał 400 egzemplarzy, w cenie po 24 złp. za te trzy tomy. Jakby w procesyi tłum podążał do księgarni Glücksberga, młodzieży, kobiet i sędziwych wiekiem, a każdy wychodząc z paczką tych tomów, spieszył do domu nasycać się pięknoscią powieści tak dawno zapowiadanej. Rzecz godna uwagi, że sąd ogólny z pochwałami poprzednio dawanemi godził się w zupełności, a dostojny autor miał wielką pociechę, że jego praca doznała od razu tak ogólnego uznania, i zająć zdołała powszechną uwagę.

Spis bibliograficzny wydawnictwa Natana Glücksberga, jużby sam stanowił sporą książkę. Ruchliwy, energiczny, mnożył z każdym rokiem swoje nakłady we wszystkich gałęziach literatury krajowej. Zakład jego drukarski stał się pierwszym w Polsce pięknoscią papieru i druku, oraz starannością wydań. Publikacja *Dziewicy z Abydos* pod względem typograficznym, mogła się mierzyć z najozdobniejszemi książkami współczesnych wydań paryzkich i londyńskich.

Po smutnym upadku N. Glücksberga, sztuka typograficzna w kraju a głównie w Warszawie chyliła się także do upadku, dopóki ją nie podniósł, ale już po roku 1830 Stanisław Strąbski.

Oprócz wydań nakładem Glücksberga, autorowie najchętniej w jego zakładzie drukowali swoje prace. Każdy szedł do niego, ktokolwiek pragnął wydawnictwa porządnego i przyjemnie wpadającego pod oczy. Typografia jego zaledwie wystarczyć mogła natarczywym żądaniom. Glücksberg oceniał należyście wartość autorów polskich: dla tego sam robił starania w zjednywaniu ich sobie. Tak w r. 1821 wydrukował swoim nakładem *Pisma Kazimierza Brodzińskiego*, obejmujące zbiór jego poezyi, w chwili właśnie, gdy imie tego poety, już się cieszyło chlubnym po całym kraju rozgłosem, obok tego drukował dzieła Wojciecha Bogusławskiego, który je za pośrednictwem prenumeraty rozpowszechniał.

Glücksberg zbliżył się do Brodzińskiego, pragnąc dobrze mieć przełożony słynny romans Goethego: *Cierpienia młodego Wertera*. Podjął się tej pracy Brodziński za szczupłe wynagrodzenie złp. 300 którą wykonał, a nakładca w zgrabnych dwóch małych tomikach wydrukował 1821 r. w 1500 egzemplarzach. Cały nakład w niespełna trzech miesiącach wykupionym został. *Gazeta Literacka* przekład ten przyjęła ze szczerem uznaniem, a lubo wytyka drobne usterki językowe, streszcza przecież swój sąd w tych słowach:

„Miło czytać to spolszczenie Wertera, i niemożna nieprzyznać tłumaczowi zalety pokonania wielu trudności.” Samą powieść, podając jej treść szczegółowo, wysoko stawia, po nad wszystkie romanse

francuzkie, które: „od pierwszego stanowczego spojrzenia, aż do katastrofy (nie zawsze tryumfem godności kobiecej będącej) jest ciągłym pasmem mitosnych jeremiad, słodkawych oświadczeń, płaskiej galanteryi, i awantur nienaturalnych, a często bardzo nieprzystojnych i gorszących. Dla ludzi dobrego tonu zwykle pisane, i ich przygody po największej części zawierające, mało w sobie użyteczności dla średniej a najważniejszej klasy zamykają, a polykając tylko czas nader drogi i skąpo obliczony, bawią nieczynnością i lenistwo, ale niczego nie uczą.” Kończąc recenzent o tej nowiej książce, wyraża gorące życzenie, ażeby obok Cierpień młodego Wertera, przedsięwzięto tłómaczenie z Goetego *Lata nauki Wilhelma*.

Od roku 1822 *Gazeta Literacka*, w tym samym formacie, druku i na tymże papierze, zachowując program dawny wychodziła, wzbogacając się powiększeniem objętości. Do każdego bowiem numeru dodawał wydawca pół arkusza więcej. Za godło nowa redakcja kładła na czele każdego numeru takie z Boileau wiersze:

„Zasługa bez ostrogi drzymie i mniej słynie:
Lecz gdy ją krytyk ostrym swym bodźcem zakole,
Geniusz wyżej wzlata i świetną gra rolę;
Im go bardziej ćmią, z blaskiem tym większym się wyda:
Cynna winien swój zaszczyt, prześladowcom Cyda.

Wiadomości księgarskie o wychodzeniu pojedynczych dzieł, zastąpiono stałą *Kroniką literatury narodowej*. Była to bibliografia, tylko nieraz podająca i treść samego dzieła. Przybył i humorysta literacki Wojciech z Prokocimia na ciężkie utrapienie L. A. Dmuszewskiego redaktora *Kuryera Warszawskiego*, którego chwycił grube błędy nietylko językowe, ale i w treści samej, wykazując jego nieuctwo i błędy redaktorskie. W lipcu 1822 r. w Nr. 24 *Gazety Literackiej* tak zapowiada on swój występ w szranki literackie:

„Rok temu już mija, jak z pociechą dla rodziców i z przyzwitoym dla kraju pożytkiem szkoły uk ończyłem. Mam bardzo wiele wiadomości gruntownych, styl gładki, wyobraźnią bujną i szczególną zdolność do wszystkiego. Jako godny syn ojczyzny chcę jęj koniecznie być użytecznym. Lecz niestety! dotąd się ona nie matką ale macochą dla mnie pokazuje. Udawałem się do leśnictwa, do administracji, do skarbu, do oświecenia, do górnictwa, krótko mówiąc do wszystkich wydziałów służby publicznej, lecz wszędzie niepoznawano się na mnie. Wystaw sobie W. Pan, kazali mi *praktykować!* i drogi czas trawić na przepisywaniu oschłych rzeczy, którebym sto razy lepiej bystrym rozumem moim był utworzył. Urażony takim przyjęciem w inną się stronę udałem. Obszerne pole umiętności i kunsztów stało mi otworem, postanowiłem: zdolności moje literaturze poświęcić, piórem szerzyć nauki w ojczyźnie i zwolna stać się *luminarzem* narodowej oświaty.

Lecz i tu muszę znowu niestety! zawołać: jakaś ciemna gwiazda nad losem moim panuje.

Zawód mój literacki chciałem wydawaniem dziennika rozpocząć. Miałem przed sobą przykład tylu rówieśników moich, pomyślałem sobie: kiedy oni w niedojrzałe pomysły wplatając słówka: *ojczyzna*, *liberalność*, *oświata*, potrafiliby łaskę dwutnąbnej sławy pozyskać, czegoż ja niedokażę, gdy mię natura takim dowcipem a *Liceum* tylu wiadomościami uposażyło?

Ożywiony nadzieją biorę się czempredzėj do pracy. Hołdując duchowi czasu, szukam tytułu w zoologii, mitologii i dziejach ojczyńskich. Tu mi się snuje *Puchacz nadwiślański*, owdzie *Jokus* i *Komus*, tam znowu *Rzepicha* i *Polelum*. Wszystko wyborne tytuły do dzienników: trudny wybór. Biegę zatem do księgarza na Krakowskie (Zawadzkiego i Węckiego), zwierzam mu się mojego zamysłu, ofiaruję prospekta i tytuły; lecz ten śmie wątpić o prenumeratorach i uchyla się do antreprzyzy. Biegę do drugiego na Miodową ulicę (Natana Glücksberga), pochlebiam mu, chwale, wystawiam jakie korzyści go czekają, gdy mój dowcip z drukiem *Didota* się złączy, ale i tu też sama piosnka. Typograf nie chce przyjąć nakładu, narzeka na ciężkie czasy i kurczy mi się wśród komplementów. Zrażony tą przeciwnością już nie chciałem projektów moich ofiarować weteranom księgarstwa na Świętojańskiej ulicy (Szczepański i Puksza) i wolałem inną obrać ścieżkę do świątyni nieśmiertelności. Otom zaczął pisać okropną tragedję: wtém patrzę, aliści jeden z towarzyszów moich, uprzedza mnie przedmiotem, i też same prawie sentencje i najlepsze antytezy drukiem ogłasza.

Cóż tedy począć? Czas szybko mija, jak Walter-Scott w *Pani Joziora* powiada. Jeżeli się spóźnię z autorstwem, może mnie nie-szczęsnego znowu jakie nieprzewidziane okoliczności od tego zawodu odsuną. Lepiej chyżo wziąć się do pióra. Myślałem więc o przedmiocie. Chciałem napisać dzieło jakie gruntowne, lecz dreszcz mnie przeszedł gdym sobie wspomniał ile na to czasu, pracy i szperania potrzeba. Chciałem zostać poetą, ale tych już pełno; nikt się teraz nie wstawi, chybaży *Bielawscyadę* ¹⁾ napisał. W kłopotcie będąc z własnymi myślami, przypomniałem sobie że krytyka jest łatwą. Chciałem teatr *Łsować*, lecz to nic nie nada, już mnie koledzy ubiegli. Wtém, o błoga chwilo! błyska mi światółko; jest jeszcze niewyczerpane źródło do krytyki: oto są pisma peryodyczne.

Dziwno mi nieraz było, że przy mnóstwie błędów i niedorzeczności, któremi nas niektóre dzienniki i gazety częstują, nikt się do ich wytknięcia nie weźmie; domyślałem się, że każdy boi się żądła

¹⁾ *Bielawscyadę*, od nazwiska Józefa Bielawskiego, autora komedyi, którą otworzono pierwszy teatr stały w Warszawie za Stanisława Augusta. O Bielawskim, przedmiocie szyderstw dowcipnego Węgierskiego, jużesmy wspominali obszerniej.

odwet; lecz w dobrej sprawie niema się czego obawiać: głupstwo, chociażby i najdowcipniej bronione, zawsze uledez musi. Jeżeli WPan to przekonanie dzielisz, pomóż mi, udzielić kącika w *Gazecie*, i pozwól abym niekiedy, peryodyczne wykroczenia, skrapiał wyskokiem dowcipu mego. Niezawsze ja jednak ganić zamyslałam: owszem pochwałę, co chwały godne. Tak np. obszerne wiadomości *Kuryera Warszawskiego*, czystość języka w *Balladach Wileńskich*, dobry smak i szlachetność stylu *Pszczółki Krakowskiej* i t. d., zawsze są godne zalety. *Ex ungue*, czyli jak *Pszczółka* mówi, *Ex unguis cognoscitur leo*, poznaj WPan moje dobre chęci, wysłuchaj próśby mojej i nie obawiaj się, abym niesłusznymi pociskami na niewinnych godził lub też stronnictwem uwiedziony, przez szpary patrzył; nie mogę wprowadzić za skutek ręczyć, to jest za poprawę winnych, sądzę jednak iż dosyć będzie, gdy zdołam postrach rzucić w ich szeregi i ostrożniejszymi ich uczynię. P. S. Gdyby się w *Gazecie Literackiej* jakiś sęczek zjawił, czy wolno go będzie wygładzić? *Wojciech z Prokocimia.*"

Odezwa ta rzeczywiście rzuciła popłoch między redaktorów pism warszawskich, z których wielu miało się za nieomylnych. „Co to za zuchwalec (mówili), co się odważa stawać pomiędzy nasze zwarte szeregi? Śnać tchórz, bo się własnem nazwiskiem nie podpisał, tylko lisią skórą się przywdział. Co to za Wojciech z Prokocimia?” Rozpoczęto ścisłe poszukiwania i śledztwo, ale wszystkie te usiłowania zostały bezskuteczne. Redakcja *Gazety Literackiej* dochowała tajemnicy, a sam p. Wojciech był ostrożny i niczem się nie zdradził, nasłuchując jakie nań gniew tych panów, pociski miotał. Oczekiwano niecierpliwie wystąpienia jego w szranki turniejowe. I ów rycerz z zamkniętą przyłbicą, niedając długo na siebie oczekiwać, dnia 30 lipca 1822 r., w nr. 25 *Gazety Literackiej* rozpoczyna gonitwę na ostre; czytamy bowiem: „Osobliwsze też czasem *Kuryer Warszawski* nominacye rozdaje: tak np. z narodu Agratów czyli też z jej stolicy zrobił arcybiskupa (nr. 182).

„Numer 183 *Kuryera Warszawskiego* był mi powodem do głębokich myśli filozoficznych, nad terazniejszą demoralizacją na tym padole płaczu. O! bogowie, wszakże to w Hiszpanii i zwierzęta za pomocą *Kuryera* popełniają samobójstwa i żeby to osły lub cielęta to fraszki, ale to poważne byki!

„Korrespondent warszawski połączony z *Kuryerem* odniósł d. 12 sierpnia imieniem Greków świetne nad Turkami zwycięstwo. Sprzymierzeni zabrali szesnaście okrętów liniowych. Jak się tylko o powyższem zwyciężtwie dowiódł ten minister, co to w Koryncie sam stoły i stołki robi (*Kuryer* nr. 186), pewnie radaktorom przyśle medal z napisem: „Wdzięczna Grecya.”

Nietylko *Kuryer Warszawski* był celem jego wycieczek, lubo najczęściej na niego uderzał, biorąc z niego obfity materiał pod pióro; ale i innym pismom peryodycznym nie przepuszczał p. Wojciech z Prokocimia; czytamy dalej bowiem:

„Nauki a z niemi i język tak olbrzymim u nas postępuje krokiem, że się wkrótce *Słownik* Lindego bardzo niedokładnym okaże. Podług niego, ma *wietrznica* oznaczać *ospę*, lub *kobiętę lekłomyślną*, zaś podług *Pamiętnika Warszawskiego* (nr. 8) znaczy ona i *trąbę wietrzną*. I bardzo słusznie, bo jeżeli wiatr ma w tych wyrazach grać rolę, niechże ją sobie tam gra, gdzie jest szkodliwszy od *ospy* i od *kobięty*.”

Gniw i oburzenie redaktorów pism dotkniętych nie mógł szkodzić *Gazecie Literackiej*; z innej strony zagroziło jej niebezpieczeństwo. Oto co czytamy w nr. 36 z dnia 14 października 1822 r.

„Redakcyja ma honor zawiadomić prenumeratorów *Gazety Literackiej*, że opóźnienie w wydawaniu pisma tego, nie nastąpiło wcale z winy poczty. Główną przyczyną jest brak zasiłków literackich większy, niż się go redakcyja obawiała na początku roku, przy obiecaniej pomocy tyłu uczonych. Uišci się jednak redakcyja z dŁugu względem publiczności zaciągnionego. Prenumeratorowie odbiorą jeszcze dziesięć numerów pisma tego, a zwłoka kilku tygodni nie wiele zaszkodzi, gdy *Gazeta Literacka* przez brak współpracowników (nie prenumeratorów), z końcem r. b. ustać będzie musiała.”

Tego opóźnienia nie przebaczył Wojciech z Prokocimia. Właśnie podówczas wychodziła *Astrea* zeszytami, jako dalszy ciąg *Sybilli Nudwisłańskiej*. Redaktor Franciszek Grzymała obu tych pism, na które nie brakło prenumeratorów chętnych, którzy cenili zdolności tego publicysty, nadużywał wciąż cierpliwości swoich czytelników, gdyż ciągle opóźniał się z wydawaniem zeszytów. Z tego powodu w teŹe *Gazecie* czytamy Wojciecha z Prokocimia uwagę:

„*Astrea* zapisała testamentem swój pośpiech *Gazecie Literackiej*. Sukcesya dostała się w dobre ręce: bo przynajmniej żaden pieniacz nie będzie teraz śmiał powiedzieć, że u nas *Astrea* opieszala.”

Smutna zapowiedź redakcyi *Gazety Literackiej*, sprawdziła się niestety. Pismo to dla braku współpracowników, z końcem 1822 r. A. T. Chłędowski główny redaktor przerwać musiał.

W ciągu dwuletniego swego istnienia, organ ten oddał rzetelne usługi literaturze i oświacie krajowej, nieprzepominając dzieł ważniejszych w ojczyŹtej mowie, czyto oryginalnych czy tłómaczonych, oznajmiając czytelników swoich z literaturami zagranicznymi, nietylko z francuską w modzie będącą, ale angielską, niemiecką, holenderską, włoską i innymi. Nie pomijał i bliŹszych nam jak z dwu dziesiątków lat. *Gazeta* podała nam zajmujący obraz ruchu literatury czeskiej, niepomijając ważniejszych zjawisk i w literaturze rosyjskiej. Krytyki które podawała odznaczały się sumiennym, poważnym poglądem i wytrawnością pióra. Nie na wszystkie sądy i zdania możemy dziś przystawać, ale godzi się zapisać tę wyższość redakcyi *Gazety*, ponad wszystkimi innymi współczesnymi pismami; żadne bowiem podobnymi recenzjami pochlubić się nie może. Autorowie ich pozostali nieznanymi, bo nigdy się nie podpisywali, rzadko cyfrę jaką położyli: pisząc bezpłatnie, pracę swą poświęcali na cześć nauki i literatury krajowej. *Gazeta* obudzała

ruch umysłowy w poważnym kierunku. Pierwszy raz odezwały się w niej głosy *polek* piszących, jak między innymi, *Obywatelka z województwa augustowskiego* (w nr. 13, d. 27 marca 1821 r.), surowo prostując zdanie Gazety o romansie *Zale Elwiry*. Gdyby organ ten przeciągnął byt swój kilka lat później, stałby się niewątpliwie skarbem wiadomości zajmujących i głębszych poglądów na rozpoczynającą się walkę klasyków z romantykami, która właśnie w tym okresie wybuchła. Znajdujemy tylko w *Gazecie Literackiej* pierwszy odbłysek iskierki, która się w pożar nieugaszony, jak zobaczymy, zmieniła. W r. 1822, J. K. S. (o ile wiemy Józef Kalasanty Szaniawski cenzor) wydrukował broszurę, o dwudziestu stronicach w 8-ce, p. n. *Mowa o duchu klasycyzmu i romantycyzmu we względnie filozoficznym*. Napisaną była w celu pogodzenia romantyków z klasykami. Gruntowne autora uwagi dążą do okazania, że prawdziwa doskonałość tak w umiejętnościach jak sztukach, zależy na ścisłym połączeniu klasycyzmu z romantycyzmem; albowiem ani klasycyzm bez romantycyzmu, ani romantycyzm bez klasycyzmu nie może stanowić dzieła doskonałego. To swoje zdanie popiera dowodnie przykładami dzieł genialnych pisarzy różnych narodów, i kończy ogólnymi filozoficznymi uwagami.

„Nie lękam się ja (pisze autor) znawców prawdziwych, którym uprzedzenie jeszcze nie zawróciło głowy, bo ci jednego zemną są zdania; lecz dobrze o tém jestem przeświadczony, że to w niemałe wprawdzie zadumienie zapalonych stronników klasycyzmu i romantycyzmu, gdy im otwarcie wyznam, że się na żadne z niemi zdanie w téj mierze nie zgadzam.”

I w téj rzeczy miał autor prawdę po sobie, bo obadwa stronnictwa jeszcze jasno i logicznie nie postawiły własnych programów, co rozumieli w ścisłym przez nich znaczeniu i co pojmują przez klasycyzm a co przez romantyzm.

W rozmaitościach podaje Gazeta zajmujące wiadomości o pomnżaniu się ważnych nabytków do historii i literatury. Wspomnieliśmy już o założonej bibliotece w Kórniku przez Tytusa hr. Działyńskiego, którą z wielkim nakładem pomnżał. Tak dowiadujemy się, że ten miłośnik cennych zabytków, na wagę złota w Paryżu nabył księgę do czterdziestu arkuszy własnoręcznych pism Napoleona I-go: za których autentyczność hrabia Montholon, baron Mounier i książę Bassano ręczą, przyłączonem świadectwem, pisanem i opieczętowanem przez ostatniego. Pisma te zawierają po części bardzo interesujące dokumenta, do dziejów wieku Napoleona I; poczynając od czasu służby, gdy nagle jako generał brygady był od czynnej służby usunięty, aż do początku wojny w Hiszpanii. Wielce ciekawy jest projekt poprawienia artylerii tureckiej pisany własnoręcznie, a wiadomo że przed 18 Vendemaire miał zamiar udać się do Stambułu i ofiarować Porcie swoje usługi jako oficer artylerii. Inne dokumenta dotyczą kampanii włoskich: najgodniejszym zaś uwagi i najważniejszym w tym zbiorze, jest plan pierwszej wyprawy do Hiszpanii, dyktowany przez Napoleona I księciu

Abrantes, opatrzone po brzegach licznemi dodatkami. Plan ten zwraca uwagę szczególną tém, że wyjawia tajne jego zamysły o przyszłych granicach Francyi i Austryi. Cały ten cenny zabytek nie był i nie jest dotąd znany francuzkim pisarzom dziejów tego wojownika, ani redakcyi, która się zajmowała wydaniem korespondencyi Napoleona I już w naszych czasach, z polecenia Napoleona III. Jeżeli pomieniony zabytek, jako drogą pamiątkę, po ubóstwianym cesarzu na wagę złota nabył Tytus hr. Działyński, nie pożałował hojnego grosza na skupowanie drogich pamiątek narodowych. Tak w tymże roku zdobył dwa foliały rękopiśmienne do dziejów ojczystych. Pierwszy pisany na pergaminie 1422 r., zawiera zbiór przywilejów nadanych Krzyżakom (od czasu zjawienia się ich na polskiej ziemi), przez królów polskich i wielkich książąt litewskich; drugi, ręką Długosza na pergaminie także pisany, i przez niego r. 1471 w skarbcu krakowskim złożony, a dla interesów krzyżackich z rozkazu Zygmunta I do Poznania przywieziony, obejmuje zhiór tranzakcyi przez Długosza zebranych, a zdziałanych między Polską i Krzyżakami: są w nim równie i dowody, że ziemie Michałowskie, Pomorskie i Chełmińskie do korony polskiej należą. T. Działyński w tejeż dobie odkrył egzemplarz dotąd nieznanych a drukowanych poezyi Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, które później Józef Muczkowski przedrukiem rozpowszechnił.

Przykład T. Działyńskiego zapalał umysły i potężnie oddziaływał na naszą społeczność. Za jego téż przewodem pomnożyło się gro- no wielbicieli zabytków przeszłości, o które dotąd mniej dbano, i powstały liczne prywatne księgozbiory, wzbogacane niemi, o ile środki ich właścicieli pomagały potemu. Możemy tylko zareczyć, że były liczne przykłady, że złoto hojnie stawiane niedawno na karty, jeszcze ochotniej oddawano za dawne księgi i rękopisma, przez zamożną młodzież arystokracji polskiej. Nie jeden z nich, nabywszy drogocenny zabytek, chlubił się nim ochotnie i z dumą szlachetną opowiadał ile trudów w zdobyciu go poniósł, i wiele garści dukatów wysypał.

Gazeta Literacka podaje nam nadzwyczaj ważną statystykę szkół w Królestwie Polskiem z r. 1821, zaczynając od uniwersytetu a kończąc na pensyonatach prywatnych męzkich i żeńskich.

Uniwersytet Królewsko-Warszawski liczył w r. 1821 profesorów na pięciu wydziałach 46, uczniów zaś 491. Najliczniejszym był wydział prawa i administracyi, mający uczniów 256; najmniej zaś tychże liczący wydział sztuk pięknych, bo tylko siedmnastu uczniów.

Szkół jedenaście wojewódzkich liczyło nauczycieli 169, uczniów zaś 4,117; szkół wydziałowych 104, uczniów 1,906; szkół podwydziałowych siedm, nauczycieli 33, uczniów 508. Instytutu nauczycieli elementarnych dwa: 1) w Łowiczu, 2) w Puławach: liczyły razem nauczycieli 11, uczniów 58. Szkół elementarnych w miastach i po wsiach razem szkółek 11,000, z uczniami 36,198. Biorąc ogólnie ludność ówczesnych ośmiu województw wynoszącą razem 3,585,804, szkoły wszystkie miały uczniów 43,871. Województwo Sandomierskie we wzglę-

dzie edukacyjnym najniżej w tym roku 1821 stało, albowiem na ogólną ludność 344,458 głów, liczono tylko 3,322 uczniów, gdy Podlaskie, często traktowane szyderskimi przydomkami, na ludność 329,796 miało uczniów 2,427.

Co do kontroli druku zaszła w tymże roku 1822 zmiana. Cenzura pism peryodycznych zostawała przy dyrekcyi generalnej policyi; cenzura zaś wszystkich innych dzieł była przy komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Postanowieniem namiestnika królewskiego (pod dniem 7 maja 1822 r.), połączono tę cenzurę razem i ogólną władzę powierzono dyrektorowi generalnemu wychowania publicznego radcy stanu Józefowi Kalasantemu Szaniawskiemu, to jest cenzurę zarówno dzieł, jak pism peryodycznych i wszelkich druków. Cenzura ta obowiązywać zaczęła od dnia 20 maja 1820 r.

Wspomnieliśmy już że lata 1821 i 1822 obfity plon przyniosły dla literatury ojczystej. Wytwarzał się on w części w Warszawie, a głównie skupiał w Warszawie i rozpływał po całym kraju. Utwory poetyczne jak i prozą stanowiłyby obszerny katalog, o ważniejszych przeto tylko tu wspomnimy, które czujniejszą uwagę na siebie ściągnęły naszej inteligencji społecznej. Na czele postawie tu musimy: *Pisma Kazimierza Brodzińskiego* w 2 tomach, obejmujące różne poezye tak oryginalne jak tłumaczone lub naśladowane. Gdy je publiczność, a szczególnie młode pokolenie z zachwyceniem przyjęło, *Gazeta Literacka* poświęciwszy im obszerny rozbiór, ciągnący się przez kilka numerów, zawsze oszczędna w pochwałach, nie poznaawszy się na prawdziwej ich wartości, zajęta wyszukiwaniem drobnych błędów gramatycznych, w końcu wynurza swój żal, że autor lepszego wyboru w pismach swoich nie zrobił.

„Każdy pisarz czytelników swoich, tak kończy recenzent swoje krytykę, równie jak każdy gospodarz, gości przyjaznych tém tylko częstować powinien, co dom ma najlepszego. Zbiór ten ograniczony do jednego tylko tomu, ułatwiłby był autorowi wypracowanie, uwolniłby był i jego czytelników od tak długiego komentarza. Nicby na tém nie straciła sława p. Brodzińskiego, w czytaniu bowiem i pisaniu dzieł nie zależy na tém, jak mówi Seneka: *quam multa, sed quam bona.*”

Skromny, jak zawsze Brodziński, przyjął z pokorą i w milczeniu podaną sobie nauczkę przez surowego sędziego, ale młode pokolenie inny sąd wydało o tym zbiorze o ulubionym poecie. Uderzały w nich, co ocenić młodzież umiała: szczerłość, prawda, uczucia i prostota wyrażenia poety, tak różna od współczesnych wierszopisarzy. Skwapliwie się też uczyła na pamięć wiele poezyi z tego zbioru, a miała w czém wybierać. Starsze pokolenie przyjęło z równem upodobaniem tę publikacyą. Żyłó wówczas po miastach, a więcej po dworach ziemian w zaciszy wiejskiej wielu weteranów wielkiej armii Napoleona I. Z uczuciem głębokiej wdzięczności, ze łzami w oczach dla poety, starzy wojacy, co walczyli w Italii, na San-Domingo, w Hiszpanii, czytali wiersz położony na czele p. n.: *Legionista*, a dwuwiersz z niego:

„Własnąśmy tylko ziemię po ojcach orali,
Na swoich tylko miedzach szablę zatykali.”

stał się niemal przysłowiem narodowém, które w ustach wszystkich brzmiało.

Bez też też bolesnych i głośnego łkania, marsowate te postacie, z ranami z pod Mantui, z San-Domingo, Saragossy, które dopiero w kraju pogoiłi, nie mogli słuchać wiersza Brodzińskiego: *Na wprowadzenie zwłok księcia Józefa Poniatowskiego, z pod Lipska do Warszawy, 1815 r.*

W gronie ich gdy przyszedł ten ustęp:

„O! bracia, już ostatnia wybiła nam pora,
W nieszczęsną Troję zwłoki prowadzą Hektora:
Spocznie Bóg, grot ostatni padł na Polską ziemię:
Już mu braknie pocisków na Sarmackie plemię.”

oblicza słuchaczy bladły, głowy opuszczano na piersi, a łyzy słone zwilżały ich policzki i posiwiące wąsy. Pieśń *Żołnierz nad rzeką Moskwą w r. 1812*, z ławą a pełną tęsknoty melodyą, była śpiewana po wszystkich obywatelskich domach, nietylko w Warszawie, ale w całym kraju po dworach wiejskich. Wiersza: *Przodkowie*, uczyli się chłopczy matę na deklamacyje ku uciechy rodziców swoich, studenci w szkołach występowali z nim na publicznych egzaminach.

Pierwszy Brodziński dał nam prawdziwą sielankę polską: *Wiesław*, w pięciu pieśniach. Słusznie też poetę sprawiedliwa potomność uczciła przydomkiem: *śpiewaka Wiesława*. Wszystkie dawniejsze sielanki, któremi się szczylić okres Stanisława Augusta, stanęły jak blade widma bez życia, obok Wiesława pełnego czerstwości krakowskiej. Prawda, szczerłość i prostota cechuje to wierne malowidło chłopaka krakowskiego, a znał go dobrze Brodziński, gdyż wychował się w Krakowskiej ziemi i matkę mu w niemowlęcych latach zmarłą, chłopki krakowskie zastąpiły; ich też pieczołowitości i staraniu zawdzięczał, że zdrowo się w pacholęcych latach chował.

Dla Warszawy najulubieńszym wierszem Brodzińskiego był ów miły obrazek *Stas i Halina*, w którym opisuje odpust w Czerniakowie, tak rok rocznie przez warszawską ludność obchodzony uroczyście. Tłumy idące w to ustronie wiejskie, powtarzały sobie z przyjemnością początkową strofkę:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa.”

Nie piszemy tu rozbioru pism wydanych przez K. Brodzińskiego, ale zbieramy tylko wspomnienia, jakie wywołały wrażenia w społeczeńści Warszawy i całego jęj kraju. Wszystkie jęj warstwy znalazły w nich upodobane sobie utwory: zarówno matki, żony, dziewice polskie, jak młodzież ucząca się; dojrzałsi wiekiem ziemianie i wojacy nasi, jedni

zostający w czynnej służbie, drudzy osiedli na roli lub w zacisznym zakątku bez skargi na ustach, kończący swoją smutną pielgrzymkę życia.

Wiersz Brodzińskiego: *Żal za językiem polskim*, może niejednego dziś dziwić; wówczas gdy go pisał, był wywołany prawdziwem oburzeniem, na wzgardę ojczystej mowy. Gorzka ta, z głębi serca wyrzucona skarga na tę lekkomyślność całej naszej społeczności miejskiej i wiejskiej, która wychowanie swych dzieci uważała za najwyborniejsze i wykończone, gdy niedorostki lepiej się tłómaczyły po francuzku, niż rodowitym językiem. Panie nasze uważały za grzech śmiertelny odezwanie się syna i córki ojczystą mową, brały to za uchybienie swój godności rodowitej. Działwa od kotyski, innéj jak francuzka nie słyszały mowy. Ztąd Brodziński w téj ślicznej elegii nie daremnie wyrzuca:

„Język, którym ojeowie na obradach wolni,
Serce wywnętrzyć, sławę podbić byli zdolni,
Świadek przodków swobody, ich przekaz wieczysty,
Nieziemny jak duch Lechów, jak ich serce czysty;
Język, którym królowie bóstwo lackie czoili,
Potomki prawie teraz do sług obrócili.
Nie po polsku do swoich ojców mówią dziatki,
Już Polski nie rozrzewnia święte słowo *matki!*
Przestała luba działwa pieścić mowę dziadów,
Przy ucztach, w zamku ojców, niéma Polski śladów.
W obcym języku córka uczucia rozjawia,
W obcym dowcip rozwija i do cnót się wprawia;
Niańkom tylko ojczysty język zostawiony!
Sobie matka nieufna, szle w dalekie strony,
By cudzoziemka obca w cnotach i zwyczaju,
Prawe obywatelki tworzyła dla kraju:
Bo znać, jak mało polską tchniemy jeszcze duszą,
Że nas i cnót domowych obcy uczyć muszą!
Za Polskę znosi rycerz z ziem odległych rany,
Nie po polsku od Polek bronionych witany;
Serdeczny język ojców, wierzajcie zdumieni:
Nie umie już tłómaczyć serdecznych płomieni!”

Że takie nierozważne mniemanie przeważało w społeczności naszej, a głównie w Warszawie, mamy najlepszy dowód w słynnym pod owe czasy romansie: *Adolf i Julia*, który napisał za czasów Księżtwa Warszawskiego Ludwik Kropiński, autor tragedyi *Ludgarda*, powodowany tą prawdziwie obywatelską myślą, ażeby przekonać, głównie Polki, że język narodowy zdolny jest równie jak francuzki oddać wymownie wszystkie uczucia miłości i równie je *delikatnie* cieniować.

Klementyna Tańska, późniejsza Hoffmanowa, niezapomniana autorka, która tak potężny wpływ na płeć swoją w kraju wywarła, na ze-

braniach u siebie przygotowała puszkę, w którą każdy musiał za karę płacić, gdy użył francuzkiego wyrazu lub zwrotu, mogąc go dobrze wypowiedzieć po polsku.

Wszystko to nas dzisiaj dziwić może, a za owych czasów byłoby rzeczą zwyczajną i powszednią, na którą sarkał z goryczą Brodziński i wielu idąc za jego przewodem.

Słusznie téż uważa nasz poeta za szkodę i w literaturze gdy pisze:

„Myśl w sekwańskim ubiorze, pióro w polskim chodzi,
Mało co w plennéj Polsce polskiego się rodzi;
W rozmowach dziwnie język z obcym się kojarzy:
Po francuzku spór wiedziem o polskich pisarzy.”

Bolesna skarga, jaką zakończył swą elegię Brodziński, nie przeszła bez wrażenia. Od téj chwili, możemy zaręczyć, poczęto więcéj szanować ojczystę mowę i mniej *paplać* w połowie po polsku, w połowie francuzku. *Żal za polskim językiem* poruszył odwagę cywilną dotąd uspioną i nie cofano się w towarzyskich zebraniach karcić młodzików, a nawet i panny, gdy mowę rodzinną tym sposobem kaziły.

Wpływ Kazimierza Brodzińskiego, lubo nie rozgłośny, był cichy i spokojny, jak samego poety charakter. Myśli jego, skargi nawet, były to słowa wypowiedziane z taką miłością a tak rzewnie, że pomimo woli lgnęły do serca, do głowy. On, jak pracowity oracz przy piosnce skowronka, uprawiał w pocie czoła plenne niwy ojczyste, aby w nie rzucił ziarna bujnego posiewu, genialny mistrz *Dziadów* i *Grażyny*, aby dorazu wybijały z nich kwiaty i plony. Mickiewicz znalazł rolę gotową, uprawną należycie, a ta zasługa należy zaprawdę śpiewakowi *Wiesława*.

W tych latach po *Sybilli* ukazał się nowy poemat Pawła Woronicza: *Asarmot narodów sarmackich patryarcha* i majestatyczny *Hymn do Boga*. Nic równie wzniosłego niemięła, a rzec można, że i dziś nawet możemy powiedzieć, niéma poezya polska nad te utwory Woronicza. Ale toż samo uczucie, które natchnęło świętym psalmem kapłana-poetę, ogrzewało piersi skromnego Brodzińskiego. Cała różnica zachodzi w dobraniu treści i okryciu artystyczném każdego utworu. Woronicz grał na surmie, pod której odgłosem kruszyły się mury Jerycho; Brodziński na fujarce wierzbowej rozweselał niwy i dąbrowy polskie, ale myśl i ton obu były też same, płynące z jednych uczuć i jakby z jednej głowy.

Prawie współcześnie po pismach Brodzińskiego, ukazała się *Pani Jeziora*, poemat Walter-Skotta, tłómaczony z angielskiego przez Karola z Kalinówki (Karola Sieńkiewicza), w Warszawie 1822 r., dwa tomy. Mistrzowski ten przekład, w pośród tandetnych tłómaczeń, zajaśniał nagle jak świetny meteor. Przekład dopełniony z oryginału, w części wierszem, w części prozą, pozyskał ogólne uznanie, a nakładca N.

Glücksberg dobrze i korzystnie wyszedł, sprzedawszy w ciągu roku całe wydanie, złożone z przeszło 1,000 egzemplarzy.

Był to pierwszy tłumacz, który nas sumiennie zapoznawał z arcydziełem Walter-Skotta, wprost (bez pośrednictwa Francuzów) przełożonem z oryginału. Karol z Kalinówki utrwalił tą jedną pracą imię swoje i pokazał jak się powinny tłumaczyć arcydzieła z literatur obcych. Poszedł też jego śladami A. E. Odyńc i w lat 16 później wzbogacił literaturę nowym przekładem tegoż utworu pod zmienionym tytułem: *Dziewicy Jeziora*, idąc w tém za późniejszym zdaniem samego autora. Pomimo jednakże talentu A. E. Odyńca, z jakim spełnił swoje zadanie, dziś odczytywać można z całą przyjemnością tłumaczenie Karola z Kalinówki i podziwiać urok jego poetycznego słowa. *Gazeta Literacka*, mówiąc o pojawieniu się przekładu Karola z Kalinówki, już zaczęła wydierać kartki z kodeksu klasycznego, dotąd z bałwochwalską czcią szanowanego. „Podług prawideł poetyki, pisze, cudowność jest koniecznym warunkiem poezji rycerskiej. Bez wątpienia była ona konieczną dla Greków, jest ozdobą zajmującą i na naturze umysłu lubiącego rzeczy nadzwyczajne zasadzoną; lecz niesmaczne alegorye *Henryady* przekonywają nas, jak źle jest nadto ulegać prawidłu niewczesnie upowszechnionemu; interes zaś i poemat, wielu poematów Byrona i Walter-Skotta dowodzi, że się ten rodzaj rycerskiej poezji i bez cudowności obejść może. Każda akcja jedna i prosta może być przedmiotem tak jak i w tragedyi, ta tylko zachodzi różnica, że się rzecz odbywa nie przez wystawienie osób działających, ale przez opowiadanie, które upoważnia większą bujność języka, otwiera obszerniejsze szranki dla imaginacyi i daje wstęp wszelkiemu rodzajowi ozdób poetycznych. Na témto obszerném polu wiele jeszcze miejsc do uprawy zostaje; ludzie talentem obdarzeni, tém chętniejby się nimi zająć powinni, gdy każdy jest przekonany, jak trudno w dziejach świata znaleźć przedmioty podobne do oblężenia Troi lub Jerozolimy.”

Ręka, która to pisała, roztworzyła naścięzaj wrota do niwy, uprawionéj przez K. Brodzińskiego, dla genialnego siewcy Bożego ziarna. Tak wszystko zwolna przygotowywało się na przyjęcie uroczyste wielkiego poety, który jedném słowem, jednym wierszykiem *romantyczność*, dał nazwę swéj epoce i nowy świat w pojęciach społeczności polskiej roztworzył.

Obok poetycznych utworów tak oryginalnych, jak i tłumaczonych arcydzieł obcych i w gałęzi historycznej pojawia się niezmiernie ważna publikacya p. n.: *Zbiór pamiętników historycznych o dawnéj Polsce wydanych, oraz z listami oryginalnemi królów i znakomych ludzi w kraju naszym*, przez J. U. Niemcewicza.

Od końca panowania Augusta III i Stanisława Augusta, nie wyszedł żaden u nas zbiór historyczny. Zbiory historyków polskich przez Miclera i Bohomolca wydane, stały się zbyt rzadkiemi, a lubo literatura polska w innych gałęziach swoich bujnie zakwitła, ta gałąź zbiorów historycznych i pamiętników, całkiem zaniedbaną została.

Zasługa w tém nie miała J. U. Niemcewicza, który nietylko w tym kierunku dawał piękny przykład, ożywiał scenę narodową utworami dramatycznymi treści dziejowej, podjął napisanie dziejów *Panowania Zygmunta III*, wydał *Spiewy historyczne*; teraz zabrał się do publikacji zbiorowych pamiętników historycznych i wydobycia z ukrycia nieznanych rękopismów, dla wzbogacenia wiedzy o przeszłości zagastej.

Autor w przemowie swojej, objaśniwszy czytelników o treści swego wydawnictwa i znaczeniu pamiętników, oraz zabytków historycznych, po wylczeniu wydatniejszych pisarzy owych pamiętników, których prace przechowały się szczęśliwie, nie pomijając i obcych o Polsce piszących, dalej wyraża:

„Ileż mimo tylu najazdów i rabunków pozostało nam jeszcze rękopismów własnych rodaków, dyaryuszów sejmów, wypraw wojennych, negocyacji, opisań pogrzebów, wesel, podróży, listów nakoniec oryginalnych królów, hetmanów, komisarzy, wielu innych znakomitych mężów. Co za skarby! jakżeby smutno było zostawiać je dłużej na pastwę molów lub na tylekroć powtarzane już zatracenia najdroższych pamiątek naszych.

„Wszystko to zebrać, ułożyć, przetłómaczyć, obrałem za miłe starości méj zatrudnienie. Ile tomów dzieło to zawierać będzie, temu tylko wiadomo, który dni każdego człowieka policzył. Spodziewać się że trzy przynajmniej tomy *in 8-vo majori*, wychodzić będzie corocznie. Ufam, że miłośnicy świetnej zeszłości narodu naszego, znajdą w tym zbiorze przyjemną dla siebie naukę i zabawę.”

Zamyka swą przemowę J. U. Niemcewicz w tych słowach:

„Wydając na świat, zachowując od zatracenia te rzadkie bardzo dawności naszej zabytki, dopełniam obowiązku troskliwego o sławę ojczyzny naszej obywatela. Gdyby nawet śmierć przerwała pasmo zaczętej roboty, zostaną dla następców przygotowane już do niej materiały.”

Niestety! to przecucie dostojnego autora, nie było daremne. Piąty tom *Pamiętników* wydanym został w Puławach, a VI już po zgonie autora we Lwowie i na nim skończyła się publikacja J. U. Niemcewicza, ale dała początek wydawnictwom licznych zabytków historycznych, które po nim podjął Edward hr. Raczyński: nieocenionej wartości *Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska* i wiele innych nie małej wagi dla rozjaśnienia przeszłości zabytków i pamiątek, które w następnych latach ogłaszając pięknym a zasłużonem wspomnieniem wdzięczności obok J. U. Niemcewicza, imię swoje otoczył i utrwalił w pamięci potomnych!

J. U. Niemcewicz rozpoczynając druk *Pamiętników*, liczył na pomoc z prenumeraty. Zawiedziony w swój nadziei, rozdrażniony, na czele I tomu położył takie ostrzeżenie:

„Lista prenumeratorów (jeżeli będą) położy się w drugim tomie dzieła tego.”

Przymówka nie przeszła bez skutku: w tomie II, 128 prenumeratorów czytamy nazwiska; w tomie III, 154; w tomie IV, 169. J. U. Niemcewicz drukował swoje *Pamiętniki* w zakładzie N. Glücksberga; z początku przeraził się niemałym nakładem, ale po uzyskaniu 451 prenumeratorów, uspokoił się, że jeżeli nic na tej publikacji nie zyska za pracę, przynajmniej z własną nie dołoży kieszeni.

Tom V już w r. 1830 drukowany w Puławach, w drukarni bibliotecznej, zachował format i gatunek druku, jak czterech poprzednich i gdyby nie tytuł, nie łatwo rozróżnić zmianę drukarni. Tomem tym sam J. U. Niemcewicz swoje wydawnictwo zamykał, dając w końcu spis szczegółowy rzeczy w V tomie zawarty. Pod dawnym tytułem Zakład narodowy Imienia Ossolińskich, wydał tom VI *Pamiętników* o dawniej Polsce, zebrany z rękopismów własnych, zachowanych w pomienionym Zakładzie, dlatego i nazwisko J. U. Niemcewicza opuszczonym na tytule zostało. Obejmuje materiały historyczne od roku 1545 do 1625.

Gdyby prowadził dalej wydawnictwo swoich *Pamiętników* J. U. Niemcewicz, mógłby się obejść bez tej pomocy, gdyż i sam zgromadził cenne zabytki i miał otworem zasobne biblioteki w takowe: ordynacyi hr. Zamoyskich, w Willanowie, pułaską i w. i.

W kilka lat sędziwy starzee kraj opuścił i na obcej ziemi żywota dokonał.

Po *Pani Jeziora* Walter-Skotta, należy wspomnieć: *Wybór poezji Aleksandra Popa*, wierszem z angielskiego przełożonych, przez Ludwika Kamińskiego (Warszawa, 1822 r. Nakładem Zawadzkiego i Węckiego). Tłomacz, wykształcony oficer Księstwa Warszawskiego, znający gruntownie języki: angielski i włoski oprócz innych, wolne chwile od zajęcia gospodarczego, w ustroni wiejskiej poświęcił na przekłady ulubionych autorów z Albionu i Italii. Z Anglii wybrał Popego, z włoskich Danta i Tassa. Z *Komedji Boskiej* pierwszego, przetłumaczył *Piektlo*; cały zaś poemat *Jerozolimę Wyzwoloną* Tassa, wydał później drukiem. W tym okresie znamy go tylko, jako tłumacza klasycznego Popego. Przekłady Kamińskiego odznaczają się wiernością, starannym językiem, jak i szczęśliwie zachowanym charakterem oryginału, co do treści i formy.

Niemate wrażenie wywarły oryginalne dumy p. n. *Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki*, autorem ich był książę Lubomirski, założyciel Instytutu Oftalmicznego w Warszawie. Część pierwsza (Warszawa 1821 r.). Szczępłych rozmiarów książka, chwytaną była chciwie, bo przywodziła na pamięć imie bohatera, którego zgon niedawny, cały naród ciężko opłakiwał. Młody autor, który wkrótce umarł w kwiecie wieku, z postrzału w pojedynku, poprzednio wydał dzieło wielce zajmujące: *Wiedeń* w czasie kongresu 1815 r., którego cały nakład po ukazaniu się rozchwytanym został.

Niemate obudził ruchu sędziwy Wojciech Bogusławski, twórca teatru narodowego w Polsce, który złamany pracą wieloletnią, posta-

nowił usunąć się ze sceny, zdając dyrekcyę teatru w ręce zięcia swego Ludwika Osieńskiego tłumacza *Cyda* i wielu dramatów francuzkich. W zaciszy do której się schronił ten mąż godny pomnika, postanowił wydać prace swoje dramatyczne, któremi podtrzymywał scenę narodową, podążając za objawami ważniejszymi w Europie literatury dramatycznej. Obok tego dołączył dzieje Teatru narodowego w trzech częściach, i do każdego tomu przydał życiorysy znakomitszych artystów i aktorek.

Podpierając w samym zawiązku scenę narodową, musiał pisać, tłumaczyć i grać na scenie. Napisał sztuk dramatycznych około stu, z tych 60 wybrał, i w jednym zbiorze wydał, w XII tomach. Są tu tragedye, dramata, melodramy, komedye i opery.

Zaczął swoje dzieła dramatyczne drukować u „N. Glücksberga księgarza i typografa królewskiego uniwersytetu, w r. 1820, nietylko w starannęj, ale w ozdobnëj nawet edycyi; gdyż oprócz litografowanych portretów, dołączył w stalorytach, wydatniejsze sceny tak z tragedyi jak z oper. Druk okazały i wyraźny, pięknie odbity, papier biały, wszystko to wyróżniało tę publikacyę od innych współczesnych. Dzieła te przypisał W. Bogusławski: „Damom, za których staraniem ten zbiór na świat wychodzi, ku wiecznëj pamiętce wspaniałëj ich dla nauk opieki i na dowód dozgonnëj wdzięczności, dzieła moje poświęcam.”

Jakoż damy dopomagały mu rzeczywiciście do zebrania prenumeraty, która hojnie opłaciła koszta wydawnictwa niemałe.

We wstępie autor tłumaczy się, że przymuszony do pisania dla teatru, teraz po czterdziestu latach, wiernëj służby dla sceny narodowëj ośmielił się wydać swoje prace.

„Wolny (pisze dalëj) od wszelakiëj żądzy autorskiëj sławy, prawdziwy literat z biëdy, nie myślałem nigdy o wydaniu pism moich na świat, czego dowodzi ukrycie onych w rękopismach przez lat czterdzieści: oprócz Henryka VI i „Dowodu wdzięczności narodu,” do których wydania, ówczasowe okoliczności były powodem. Znałem ja zawsze, a dziś znam jeszcze mocniëj, jak mało, słabe pióra mojego płody zasługują na widok publiczny. Ale kiedy aż dotąd, obok ze wszech miar, doskonalszych dzieł dramatycznych, wszystkie niemal sztuki moje, po-błażające u publiczności znajdują przyjęcie, a czytaniu onych przyszłemu pokoleniu za wzór wstecznego w widowiskach smaku postużyć może; w tym wzglëdzie, wydanie pism moich, nie sędzę być nieużytecznym. Niemałym takżë do tego powodem stało się dla mnie widzenie tych sztuk po różnyc pomniejszych teatrach, na których albo mylnie przepisane, albo z pamięci tylko zlepione, tyłu niestosownemi dodatkami, odmianami i błędami obarczone znalazłem, że czytanie onych takimi jakimi są wistocie, zostawi je przynajmniëj przy tych tylko błędach, z któremi z pióra mojego wyszły.”

„Było najprzód myślą moją dawniejsze dzieła zostawić, jak pierwsiastkowo napisane były; ale wzrastający codziennie smak lepszego stylu, oczyszczenie mowy z obcych wyrazów, zmiana nareszcie okolicz-

ności i sposobu myślenia, zniewoliły mnie do przeistoczenia wielu miejsc ówczasowe zdarzenia wspominających, wielu słów już zapomnianych, wielu zdań przeciwnych dzisiejszym. Nie mogłem wszelako, chcąc zachować charakterystyki osób upłynionego wieku, niezostawić niektórych sposobów mówienia używanych w czasie, w jakich one wystawiam."

Wstęp swój, kończy temi słowy:

„Miłośnik nad wszystko spokoju, niechcąc pomnażać liczniejszych, już nad same nauki, w kraju naszym literackich wojen, przyznaję się zawczasu do wszystkich pomyłek, niedoskonałości i błędów, jakie surowym krytykom będzie się podobało w dziełach moich dopatrzeć. Niemając najmniejszej myśli wystawiania onych za wzorowe, nie sędzę być wiele szkodliwemi pomniejszych uchybień, których dostrzedz nie umiałem; do przerabiania zaś na nowo dzieł całych nie zostawia dosyć czasu, już spadająca mego życia zasłona.

„Składam w ręce radaków, czterdziesto letnichpracmoich dowody, jako hołd najczulszej wdzięczności za łaski, któremi mnie, w chęciach służenia sobie, nieprzerwanie wspierali: szczęśliwy, jeżeli zostawiając młodzieży pamiątkę widowisk jakie bawiły ich ojców, w sercach ludzi, jednego zemną wieku, potrafię odczytaniem dzieł moich i czasów w których wystawione, i okoliczności do których stosowane były, przyjemne obudzić wspomnienie."

Chociaż z taką skromnością sędziwy autor się tłómaczy, czuł sam dobrze wartość swęj publikacyi, albowiem w nięj dawał młodszemu pokoleniu, najdokładniejszy obraz powstania i rozwoju w Polsce sztuki dramatycznej, która się w pierwszych latach w jego ręku, i w Teatrze narodowym warszawskim skupiała. Starał się ten obraz w szczegółach Bogusławski uzupełniać, pisząc: *Dzieje Teatru Narodowego*, dołączając życiorysy aktorów i aktorek, a nadto przypiski i objaśnienia do każdej sztuki. Słowem, podaje nam całość, jako wyborny wizerunek sceny narodowej, zarazem i publiczności, która powoli nabierała coraz więcej smaku i upodobania do sztuki dramatycznej, mało co znanej u nas, dopóki Stanisław August nie otworzył Teatru narodowego stałego w Warszawie, a Wojciech Bogusławski nie podparł go, utrzymywał przy życiu i rozwinął świetnie. Król założył teatr, ale prawdziwym jego ojcem, twórcą i opiekunem był Bogusławski: bez jego poświęcenia i pracy, staranie królewskie pozostałoby tylko wspomnieniem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PAMIĘTNIK Z LAT MŁODYCH
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę z Zoch. Duchińską.

Znaczna część autobiografii wielkiego poety odkrytą została w tych czasach. P. Wacław Gasztowtt, na doroczném posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, odczytał bardzo ciekawe studjum w tym przedmiocie.

Wspomniony rękopism Słowackiego przechował się w ręku p. Żychonia. Kiedyś zapewne znajdują się i części zagubione. Że pamiętnik stanowił systematyczną całość, świadczą bieżące numera rozdziałów. Wielu z nich wcale niema, inne niekompletne, czego dowodzą pomieszczone w górze nadpisy.

Z początku zaraz brak trzech pierwszych rozdziałów; czwarty pisany w Dreźnie 1831 r., zawiera tylko niedokończony ustęp. Są w nim szczegóły o powrotnych związkach małżeńskich matki. Juliusz miał wtedy lat ośm.

Profesor Wileńskiego uniwersytetu dr. Becu, przybył w sierpniu do Krzemieńca, gdzie ślub odbył się niezwłocznie. Pobudką do tych związków, mówi Juliusz, była troskliwość matki o przyszłe jego losy i chęć wykształcenia go w Wilnie. Na trzy dni dopiero przed ślubem dowiedział się chłopczyk że będzie miał ojczyma. Wiadomość o wyjeździe do Wilna ucieszyła go bardzo; płakał jednak serdecznie podczas ślubu, widząc płaczącą matkę. Opowiada następnie przyjazd do Wilna, pierwsze spotkanie z pasierbicami matki: Olesią i Hersylką, pierwszą sprzeczkę, gdyż jak mówi, zgryźliwą jakąś uwagą obraził jedną z nich, przy zawiązanój ledwie znajomości. Ta zgryźliwość była mu jak widać wrodzoną: ośmioletnie dziecko, wprzód miało do niej skłonność, nim wpływ Byrona zdołał zaprawić goryczą jego serce.

Widzimy go, jak za przybyciem do Wilna odwiedza z radością ogródek, po którym biegał przed trzema laty, nim go matka wywiozła do Krzemieńca. Z całego miasta jedynie ten ogródek pozostał mu w pamięci. Widzimy go potem, jak z matką odwiedza grób ojca na cmentarzu miejscowym, jak klęcząc na kamieniu, odmawia pacierz i płacze, gdyż „o łzy nietrudno u niego!”

Tu przerywa się pamiętnik; napis tylko skreślony nad rozdziałem zapowiada, że była w nim mowa o pierwszych próbach poetycznych, o *Iliadzie* i o bitwach rycerskich w zbroi. *Iliada* mocno zajmowała

ośmioletniego chłopca; na jednej z pozostałych kartek czytamy, jak wypytywał matkę, czy niema innej książki podobnej? Dostał nareszcie *Enejdę* Wergiliusza, lecz ta okropnie go nudziła i przyprowadziła do snu. Lubił, jak mówi, małe książeczki: pochlebiało mu to, gdy mógł jedną na dzień przeczytać. Maksymy la Rochefoucault'a odczytał kilkakrotnie, dzięki małemu formatowi.

Na tych szczegółach kończy się czwarty rozdział, króślony dawniejszą pisownią, bez użycia joty. Następuje potem długa, dziewięcioletnia przerwa. Z pięciu rozdziałów niema ani jednej kartki. Przechodzimy nagle do dziesiątego; tu już widzimy w Juliuszu siedemnastoletniego młodzieńca, ucznia Wileńskiego uniwersytetu, zakochanego w Ludwice Śniadeckiej. Życie dla niego stało się już, jak mówi, smutnym pustkowiem; z Ludwiką widuje się tylko przy ludziach: inaczej było na wsil!... Okropny wypadek silniej jeszcze rozwinął to pesymistyczne usposobienie: młody jego przyjaciel, towarzysz szkolny Ludwik Spitznagel zakończył życie samobójstwem. Jego to obraz skreślił później Juliusz, w ślicznym poemacie: *Godzina myśli*.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecię,
 Włos miało jasny, kolor oczu lazuruowy...
 Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne...
 Pożerał księgi, mówił jak różne narody.
 Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody,
 Trawił się, jego oczy ciemne i błękitne,
 Jak polne dzwonki łożym krysztalem pokryte;
 I godzinami myśli w jednostajność wbite,
 Tonąc w otchłań marzenia, szły prostemi loty,
 Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.

Młodzieniec ten obrócił na Wschód myśli i oczy. Jegoto imieniem tak cudnie przemawia poeta:

Śluchaj, wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
 Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę:
 Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
 Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
 Myśl moja niewstrzymana w te krainy goni,
 Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni:
 Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów.

I podjął młodzieniec kij pielgrzyma, ale serce jego targane podwójnym pędem nie mogło przetrwać walki. Chciwość wiedzy parła go w dalekie przestrzenie, miłość do młodej dziewczeczki zatrzymywała w domu. W chwili pożegnania, młody zapaleniec zakończył życie strzałem.

Bolesny to był rok dla Juliusza, ów rok 1826. Matka zachorowała ciężko; przeraźliwy jój krzyk budził go nieraz w nocy. Lekarze zwątpili o jój życiu, syn jednak nie mógł przypuścić, jak mówi, aby

matka jego umrzeć mogła. Przeczenie nie zawiodło. Wróżona przez wszystkich katastrofa, skończyła się weselem. Wujowie Juliusza Januszewscy, przybyli z Wołynia odwiedzić umierającą siostrę; jeden z nich poślubił Hersylię. Chrzcist obu panien i Juliusza odbył się przy tych godach; dotąd ochrzczeni byli tylko z wody. Tu poeta smutną czyni uwagę: „otrzymałem chrzcist wtedy, gdy zaczynałem tracić wiarę!” Wiara ta miała przecież powrócić: żywy jęj dowód mamy w liście Szczęsnego Felińskiego, dzisiejszego arcybiskupa, o skonie poety prawdziwie chrześcijańskim.

Pod wpływem tylu wrażeń, siednastoletni młodzian nakreślił sonet, uważany, jak mówi, między pannami, za najpiękniejszą poezją. Autor szydzi później z tęj próbki młodocianego pióra, utrzymuje że *pachnie myszką*, że tchnie sentymentalizmem niewieścim. Dlatego zapewne nie pomieścił tego sonetu w swych drukowanych zbiorach. Przytaczamy go tutaj:

Już północ, cień ponury pół świata okrywa,
A jeszcze serce zmysłem spoczynku nie daje;
Myśl za minioném szczęściem gonić nie przestaje:
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrwa!

A choć znużone czoło we śnie odpoczywa,
To myśl snów ulatując w snów i marzeń kraje,
Goni za marą, której szczęściem niedostaje,
A dusza przez sen nawet drugiej duszy wzywa.

Jest kwiat, co się otwiera pośród nocy cienia
I spogląda na księżyc i miłe tchnie wonie,
Aż póki nie obaczy jutrzeńki promienia;
Jest serce, co się kryje w zakrwawioném łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa głębokie cierpienia.

Rodzina cała po chrzcie i weselu wyjechała do Krzemieńca; Juliusz tylko został w Wilnie. Po rocznych egzaminach pośpieszył i on za matką i siostrami. Kiedy przejeżdżał przez Jaszuny, miejsce pobytu Jana Śniadeckiego, kiedy rzucił ztąd okiem na drogę do wsi, gdzie mieszkała Ludwika, serce jego ścisnęło się boleśnie. Wszystko byłby poświęcił, aby skrócić tą drogą. Niestety! nie był sam, jechał pocztą z towarzyszem, któremu pilno było powitać próg domowy. Ale w sercu siednastoletniego poety, fale wrażeń przesuwały się szybko; jedna spędzała drugą, zacierając jęj ślady. Po dwu tygodniach, przebytych z matką w Krzemieńcu, pojechał do Wierzchówki, do rodziny Michalskich. Tam oczarowała go miła Julka, jak się przyznaje w *Pamiętniku*.

Z bratem Julki, Zenonem Michalskim pośpieszył Juliusz do Odessy. Jada, jak mówi, po waryacku, czwórka koni w krakowskięj uprzęży; furman strojny bogato w kierezyą krakowską, za nimi pędzi kozak. Trzeciego dnia stają w Tulczynie. Chorosze zachwyca poetę;

późno w noc przebiega pyszny ogród, przygląda się murom pałacu, tak pustym i milczącym; przy świetle księżycy czyta szumny napis na frontonie. Wrażenie powstało w duszy młodzieńca; w wiele lat później skreślił ten ustęp w poemacie.

Niech cię nie wabi ten na zamku czole
 Napis, co błyska od słońca na pole;
 Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
 Złotem pisane i zdaleka widne.
Choć pałac ten wygląda biało,
 Choć za nim widać lipy starożytne,
 Białe kościołki, jeziora błękitne;
 Chociaż labędzie śpią na tych jeziorach,
 Choć róże strojne w jutrzeńki kolorach;
 Chociaż słowiki mieszkają w topolach
 A dalej błękit i kłosy na polach:
 Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie:
 Ten zamek pełny, w tym zamku są ludzie!
 Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
 Od wygaśnięcia rodziny Atrydów:
 Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
 Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach!

Widok miejsc tych przywodzi na myśl poecie Trembeckiego, który ztąd na tę samą poglądał okolicę. „Przekłgte czasy, woła Juliusz, kiedy pierwszy poeta przebywał w takich miejscach!”

Zapalony zwolennik nowej szkoły, ciekawą napisał tu uwagę. W mniemaniu jego klasyk tylko mógł zgrzeszyć w taki sposób. Romantyczność, utrzymuje on, gasi iskrę twórczą w poecie, gdy zgaśnie w nim uczucie godności osobistej. Życie romantycznego poety powinno być czyste i podnoszące duszę.

W rozdziale jedenastym musiał zapewne autor skreślić wrażenia z pobytu swego w Odessie, lecz rozdziału tego brak całkiem, równie jak dwunastego. Ocalał zato trzynasty, pełen dramatycznych wypadków; dość rzucić okiem na spis rzeczy w nagłówku: *Marzę o tragediach; Żegnam ją nazawsze; Dzień przeklęty; Przymierze z szatanem* i t. p. Jak widać spotkanie z Ludwiką zatarło w sercu Juliusza pamięć jednodniowych uczuć dla Julki. W ciągu zimy następnej odwiedzał znów Jaszuny. Opowiada, jak siedząc w ciemnym pokoju na kanapie, podczas gdy Ludwika czytała stryjowi życie Drydena, marzył o tragediach, jakie w przyszłości pisać będzie; ścigał myślą bohaterów nowogreckich. Te marzenia wyśpiewał później w poemacie: *Do pełnego konika, żeglującego na rzeczulce.*

A kiedy płynął i srebrzystym ryseni
 Znaczył rzeczulki fale zwierciadlane,
 Myśl moja cała z wielkim Kanarysem,
 Płynęła za nim w kraje malowane:

Piękne przyszłością, i widziałem życie,
Z twarzą na słońcu, z oczyma w błękicie.

Konik polny pożeglował niestety w inną stronę; serce Ludwika uderzyło, lecz nie dla Juliusza. W obejściu z nim zmieniała się zupełnie. Dotąd zwała go po imieniu, teraz mieniła go *panem*. Ta zmiana dobodła poetę do żywego. Uczucia Ludwika nie były dla niego tajemnicą; unikał wszelkiego z nią spotkania. Zbliżał się *dzień piekielny*, Ludwika z ojcem wyjeżdżała na wieś; w tymże dniu rozdawano uniwersyteckie nagrody. Dwa pioruny miały ugodzić razem w serce młodego marzyciela. Opowiadał jak z twarzą zimną, podczas gdy pierś wrzała wulkanem, poszedł na pożegnanie; zastał ją w gronie licznych osób... podano lody... oboje z filiżanką w rękę zbliżyli się do okna... milcząc patrzyli na ulicę, wyrzekli wreszcie kilka słów obojgnych. Zajechały powozy... on lekko pocałował ją w rękę... ona wsiadła... powóz ruszył... i znikła mu z przed oczu... ostatnie to było ich spotkanie!

Ale w tym dniu piekielnym czekał go jeszcze drugi pocisk. Głos powszechny wróżył mu uniwersytecką nagrodę; on sam nie powątpiewał o niej. Nagroda chybiła, dostała się innemu; Juliusz otrzymał tylko *accessit*. Na wieść o tém, z pałającą twarzą wybiega pod Antokol; wraca wreszcie, zamyka się w pokoju i gorzkimi zalewa łzami. Drugi pocisk okazał się jednak dobroczynnym; pierwszego jak mówi, byłby może nie przeżył: myśl że śmierć przypisanoby zawiedzionym nadziejom szkolnym, zatrzymała go w porę.

Nie było w Wilnie dobrój matki, aby te łzy otarła; przebywała w Krzemieńcu. Poeta pośpieszył do niej, zapłakał na jej łonie.

Tak się skończył dla Juliusza ostatni rok nauk uniwersyteckich; miał zaledwie rok dziewiętnasty. Wyjeżdżając z Wilna poprzysiągł, że tam już nie powróci; przysięga sprawdzić się miała pomimo jego woli. Rok ten ostatni, jak przyznaje sam, pchnął go stanowczo w świat poezji. Marzył o poemacie wschodnim, nakreślił go nawet, a lubo młodzieńczy ten utwór, całością swoją nie odpowiedział później wysokim pojęciom jego o sztuce, śliczne jednak ustępy z niego pomieścić w swym *Arabie*. „Są to, mówi on, najpiękniejsze stronnice z moich poezji: taką jest strofa o koralu, o muszli morskiej i ostatni ustęp, gdzie Arab opisuje raj wymarzony.” Oto ów ustęp tak wysoko ceniony przez poetę:

Nie, nie chcę raj; lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stępy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrzące promieniami słońca.

A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie, niech źródło wypływa;
Niech mi ten prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.

Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły;

Niech mi się wróć znow młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.

O takim szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Tój samotności przerwać się nie waży!

Niemniej rozpaczliwie zakończy poeta ów rozdział trzynasty pamiętnika, w którym żegna na wieki swoją burzliwą młodość i uroczę marzenia co ją wykołysały. Odtąd życie dla niego, spalonym i głuchym tylko stepem! On skazany żyć bez uczuć, nawet bez sławy: ta zabłyśnie kiedyś, ale w dniu śmierci, nad zimnym jego grobem. Przypomina wreszcie modlitwę, którą sam utworzył i powtarzał w dziecięcych latach: „O, Boże! daj mi sławę, choćby po śmierci, a za to niech będę najniezszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu.” „Co ma być w życiu już się spełnia, dodaje poeta kreśląc pamiętnik, co ma być po śmierci, być musi!” I to zarówno się spełniło.

W rozdziale czternastym opisuje Juliusz sześciomiesięczny pobyt w Krzemieńcu, u boku dobrej i kochającej matki. Był to czas wypoczynku po pracach uniwersyteckich. Młodzian pracował jednak bez ustanku. Czytywał pilnie książki, malował olejne krajobrazy, zajmował się muzyką, brał lekcye języka angielskiego. W tym ostatnim tak szybkie czynił postępy, że w trzy miesiące mógł zrozumieć Byrona.

Wpływ wreszcie Albionu silnie oddziaływał na geniusz poety naszego: sam to przyznaje w pamiętniku. Zamierzał po ukończeniu nauk, puścić się na daleką podróż. Matka wolna od obowiązków rodzinnych, chciała mu towarzyszyć. Nie było to po myśli poecie: „Kochając się w Ludwisi, mówi on, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów Byrona!” Pragnął więc jak drugi Child-Harold przebiegać sam jakąś poetyczną pustynię. Towarzystwo matki odbierało podróży dziki i tajemniczy urok. „Matka wymagała odemnie, ciągnie dalej, otwartości i poufnych zwierzeń; to być nie mogło: wymagała tego wówczas, kiedy się nauczyłem wszystko zamykać w sobie i żyć moje połykać w milczeniu!”

P. Gasztowtt zatrzymuje się obszernie nad tą częścią pamiętnika; sprawiedliwą czyni uwagę, w jak smutném świetle występuje tu ów byronizm, tak niebezpieczny w życiu, przeciw któremu Brodziński najśluszniej powstawał; bo i czémże Byronizm, jeśli nie upoetyzowanym samolubstwem? „Jak okrutnie odpokutować miał poeta tyloletniem rozłączeniem, tę dziecinną chęć wyzwolenia się z łagodnego macierzyńskiego jarzma!” Więcej tu przecież krytyk dopatruje nieuwagi w słowach, niżli braku uczuć dla matki, którą Juliusz kochał gorąco i z którą później tak pragnął się połączyć.

Na tém kończy p. Gasztowtt studjum nad nowo odkrytym pamiętnikiem. Dalsza jego część obejmuje pierwszy rok pobytu w Warszawie. Następują urywki z dziennika, kreślone w Paryżu w r. 1832. Szczegół-

ły zapisane tu, mniej przedstawiają zajęcia, powtarzał je bowiem Juliusz w listach do matki, znanych tak z dzieła Małeckiego, jak z osobnego zbioru. P. Gasztowtt zamierza ogłosić drukiem ów drogocenny pomnik; mamy nadzieję, że rozgłos dany w tej sprawie, przyczyni się do wydobycia na jaw nieznanych dotąd części pamiętnika i zebrania ich w jedną całość.

AKADEMIA MICKIEWICZA

W BOLONII.

Z pism codziennych wiadomo już zapewne czytelnikom naszym, iż za inicjatywą profesora Dominika Santagaty i młodzieży włoskiej, założone zostało w początkach b. r. w Bolonii stowarzyszenie naukowe, mające na celu szerzenie w Italii znajomości historii i literatury polskiej, oraz słowiańskiej.

Stowarzyszenie to, celem uczenia największego naszego poety, oraz jednego jak się wyraził Cavour z czterech największych poetów ludzkości (Homer, Dante, Szekspir i Mickiewicz), przybrało urzędową nazwę: *L'Accademia Adamo Mickiewicz di Storia e Letteratura Polacca e Slava*. Stowarzyszenie to składa się: z jednego prezesa, jednego viceprezesa, dwu sekretarzy i z członków czynnych.

Prezesem jest profesor Dominik Santagata, a władzę z nim dzielą pp. Mario Rinaldini, Antonio Paccetti, Alfonso Ghillini, Luigi Pagani Cesi i Dario Garti.

Z chwilą założenia akademii postarano się o odpowiednią liczbę członków korrespondentów, z grona inteligencji polskiej i włoskiej. Pomiędzy nazwiskami ich spotykamy kilka znakomitości.

Oto lista dotychczasowych członków korrespondentów:

Władysław Mickiewicz (Paryż), Otton Hausner, Korneli Ujejski, Ludwik Wolski, Ludwik Skrzyński (Lwów), hr. Władysław Plater (Zurych), Józef Ignacy Kraszewski (Drezno), Zygmunt Kaczkowski (Paryż), hr. Władysław Kulczycki (Rzym), dr. Artur Wołyński (Florencya), Teofil Lenartowicz (Florencya), Giuliano Mörs de Paradowa (S. Giuliano), Zygmunt Boniaski (S. Giuliano), Vincenzo Arnese (Uści-sków), Franciszek Duchński (Paryż), Bronisław Wołowski (Wiedeń), Antoni Solański (Sambor), syndyk Kasperek (Sambor), Ludwik Zychliński (Cieszanów), Żegota Bogdanowicz, hr. St. de Rochetin (Konstantynopol), hr. Edward Simon, Jan Dobrzański, Teobald Semilski, Januski, Sadowski, Białaczewski (Lwów), komandor Venturi, b. syndyk

(Rzym), hr. Terenzio Mamiani, Armand Levy, Markiz Guerrieri Gonzaga, Sirio Fava, komandor Ruggero Bonghi, komandor Cesare Correnti, komandor Domenico Berti, komandor Benedetto Cairoli, senator Prati (Rzym), Scovazzi (bibliotekarz parlamentu).

Pierwszém działaniem akademii Mickiewicza będzie postaranie się o założenie w Bolonii katedry historyi i literatury polskiej.

Na dzień 8 czerwca r. b. zapowiedziane zostało uroczyste posiedzenie akademii. Celem większego uczczenia tój uroczystości wydaną została w języku włoskim (przez p. Artura Wołyńskiego), broszura p. t. *All' Accademia di Adamo Mickiewicz, fondata in Bologna, dall' illustre professore Domenico Santagata, questo mazzolino di poezie, dell' immortal Vate Polacco, italianamente tradotte il' dottore Arturo Wołyński, nella prima solenne tornata dell' 8 Giugno 1879, per omaggio all' istituzione nascente e al benemerito fondatore offre.*

Broszura ta obejmuje w przekładzie włoskim, trzy poezye nieśmiertelnego twórcy *Pana Tadeusza*, mianowicie: *Odę do młodości*, *Do Matki* i *Redutę*. *Odę* przetłómaczył p. Curzio Antonelli, *Do Matki* p. Andrea Maffei, a *Redutę* p. Ettore Marucci.

Dla porównania, przytaczamy początek *Ody do młodości* (Ode alla Gioventu):

„Di mente e di cor privo un popol veggo,
Un popolo di scheletri. A me, vesti,
Gioventu, l'ali tue. Slanciar mi io voglio,
Da questo spento mondo
In regni di fantasime celesti,
Ove l'entusiasmo
Di portenti fecondo,
I calici dischiuda a novi fiori,
E dell aureo suo prisma
La speranza colori.”

W dniu oznaczonym (to jest dnia 8 czerwca b. r.) o godzinie drugiej po południu, w wielkiej sali *Liceo Musicale Rossini* w Bolonii, zebrały się tłumy publiczności, należącej do najwykwintniejszych sfer miasta.

W sali, dla uczczenia naszego wieszca ustawiono jego popiersie, wykonane przez znanego rzeźbiarza w Rzymie Wiktora Brodzkiego. Posiedzenie zagał prezes, profesor Santagata. Mowa jego przyjęta była huczniemi oklaskami.

Wyjaśnwszy cel i znaczenie świeżo założonej akademii, p. Santagata przeszedł następnie do pobytu Adama Mickiewicza w Bolonii. Wiadomo, iż wielki poeta zajęty organizowaniem legionu, mającego pomagać Włochom, w r. 1848 czas krótki przebywał w tém mieście. Otóż dostojny prezes akademii, wzmiankując o tém, nadmienił, że w domu Gaucha, w którym w tym czasie przemieszkiwał, umieszczony zostanie na tablicy odpowiedni napis. Podobny napis w roku 1877

umieszczony został na jednym z domów Rzymu, który Mickiewicz w tymże czasie zajmował. Tym sposobem miasto Bolonia odda hołd publiczny polskiemu geniuszowi.

Po zejściu z katedry prof. Santagaty ukazał się na niej Teofil Lenartowicz. Oto co o wypowiedzianej przezeń mowie, powiada *Gazzetta d'Italia* (Florencka) nr. 159 z dnia 9 czerwca:

„P. Teofil Lenartowicz wygłosił mowę, pełną głębokich i niepospolitych myśli, a traktującą o pismach politycznych Mickiewicza a przedewszystkiem o jego ojczyźnie i jego narodowości. Mowa ta przyjęta została hucznie oklaskami.

Mieliśmy sposobność czytać tę mowę w oryginale, tenże sam bowiem numer *Gazzetta d'Italia* drukuje ją *in extenso*. Jeżeli zgromadzeni w sali „Liceo Musicale Rossini” nie mieli dokładnego wyobrażenia, kto to był Mickiewicz, to po tej mowie autora Lirenki zapoznali się z tą wielką osobistością. Mówca wziął sobie bowiem za zadanie ukazać słuchaczom Mickiewicza nie jako poetę (na to godzina czasu nie wystarczałaby) ale jako filozofa i męża czynu. Zadanie swoje osiągnął też on w zupełności, odchylił bowiem przed zebranymi zasłonę pokrywającą to wielkie serce, które biło li tylko dla dobra i wolności świata. W końcu, p. Lenartowicz przeszedł do wykazania zasług narodu polskiego dla cywilizacji, i przytoczył szereg imion, zasłużonych krajowi, a tém samem i ludzkości.

Następnie przedstawiano dzieła ofiarowane akademii, rozdano zebranych na posiedzeniu broszurę obejmującą przekład poezji Mickiewicza i odczytano telegramy dziękczynne, nadeszłe w dniu tym od polaków całego świata.

NIR WANA W O B E C M E T A F I Z Y K I,

czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia w związku z systematami filozoficznymi Schopenhauera i Hartmanna *).

PRZEZ

Seweryna Smolikowskiego.

§ 5. Absolut w szkole pesymistów.—Hypostazy.—Apooteza woli.

Przedstawiliśmy jak pojęcie *istnienia* (w najogólniejszym słowa tego znaczeniu) łączy się z pojęciem wieczności (§ 2); przedstawiliśmy dalej, jak na mocy *prawa przyczynowości*, téj wrodzonej osnowy myśli naszéj, dochodzimy do *jedni* przenikającej wszechświat, czyli do zgodności dwu zakresów bytu: zjawisk i myśli (§ 4); jak wreszcie, drogą logicznych uogólnień przychodzimy do pojęcia *wiecznej i jednolitej* (w sobie) *przyczyny* świata, czyli do uznania absolutu jednolitego w zjawiskach i celu to jest—Boga.

Absolut taki uznaje *każda filozofia* ¹⁾, każdy pogląd na świat obejmujący całokształt zjawisk i wiążący go jednią myśli i celu. Inna rzecz, jaką drogą do absolutu tego dochodzimy, jak go pojmujemy, jak wreszcie go nazywamy ²⁾; ale w ogóle od uznania *absolutu* nikt

*) Dalszy ciąg, patrz zeszyt za kwiecień r. b.—*Nirwana wobec metafizyki*; oraz *Najnowsze objawy filozofii pesymistycznej w Niemczech. Filozofia wyzwolenia* w zeszytach Biblioteki Warszawskiej za maj, lipiec i wrzesień z 1879 roku.

¹⁾ Co do *pozytywizmu* porównaj *Filozofia wyzwolenia*, Bib. War. Kwiecień str. 104 przypisek 1, 2; albo str. 90 w osóbném wydaniu niniejszój pracy.

²⁾ Wielu myślicieli stawia sobie za punkt honoru unikanie nazwy *Boga*, nawet wtedy gdy absolut ich filozofii nosi wszystkie cechy Boga teologicznego. Inni sądzą, że z usunięciem nazwy lub z zamianą jéj na inną, zmieniają istotę rzeczy. Ci znowu, którzy unikają nazwy Boga w celu, by nie posądzono ich o pojmowanie absolutu zgodne z tą lub ową teologią, zapominają, że nie tylko już systemata filozoficzne ale i różne religie różnie Boga pojmują i różnie *tę* przedstawiają Go sobie. Nie idzie więc zatém, by filozof, nazwy Boga używający na oznaczenie swego absolutu, szedł w tym względzie za tą lub ową wskazówką teologiczną. Sa wreszcie i tacy, którzy dla uniknięcia antropomorfizmu, do godności Boga podnoszą pewne pojęcia oder-

wyzwolić się nie może, gdyż uznanie to leży na dnie wszelkiej filozofii (§ 2): ono warunkuje wszelkie poznanie nasze (§ 3) i ono jedynie zaspakaja wymagania rozumu. Rozum bowiem z natury rzeczy dąży do najwyższych uogólnień i do ostatecznych wyników, stanowiących zakres *metafizyki* a z myślą naszą związanych węzłem logicznej konieczności.

Sę wprowadzie myśliciele, pragnący ograniczyć zadanie filozofii do wynajdywania praw dla zjawisk bez tłumaczenia ich przyczyny i celu, a ztąd głoszący zerwanie raz na zawsze z pytaniami absolutnemi a raczej z metafizyką (pozytywiści); ale zapominają oni, że samo pojęcie *prawa* jest metafizycznej natury, a jako takie potrąca o cały szereg pojęć bezwzględnych, a dla myśli nieodzownych, jak: *konieczność*, *logiczność*... Pierwsze dotyczy stałości zjawisk zewnętrznych, świata; drugie wewnętrznych, myśli naszej a pośrednio i tych pierwszych, tą myślą napiętnowanych. Oba te pojęcia przenoszą nas mimowoli w krainę bezwzględności, oba wskazują wspólne ich źródło—*absolut*.

Comte, ów prawodawca nowoczesnego pozytywizmu, uważa, że i Newton zboczył z właściwej sobie drogi (*hypotheses non fingo*) gdy ciężkość tłumaczył siłą przyciągania (*attractio*). Tłumacząc ciężar siłą, to jest mówiąc o przyczynie zjawiska powszechnego ciężenia, Newton, zdaniem jego, wkroczył w dziedzinę metafizyki, w krainę hipotez; chcąc bowiem wytrwać w zakresie filozofii pozytywnej, należało wyrazić się: ciężenie (*gravitation*) a nie przyciąganie (*attraction*). Pierwszy wyraz oznacza właśnie ideał pozytywnych rezultatów, to jest nic więcej prócz: *prawa odkrytego w zjawiskach natury*, bez tłumaczenia przyczyny i celu; *prawo powszechnego ciężenia*, oto prawda pozytywna czyli *prawo* w pojęciu szkoły, a prawo—to właśnie *uogólnienie zjawisk (le fait généralisé)*.

wane; ale cóż z tego, kiedy i oni przy rozwijaniu swoich systematów, w ciągu rzeczy do pojęcia tego dołączają jedne po drugich wszystkie niemal cechy Boga osobistego (Hartmann).

Edgar Quinet znajduje inną jeszcze przyczynę usuwania nazwy Boga. Oto co mówi ten natchniony myśliciel w ostatniem dziełku swoim, które on sam nazywa „streszczeniem pracy całego życia” a które możnaby nazwać jego śpiewem łabędzim:

„L'hypocrisie de notre temps a produit une conséquence surprenante. Les philosophes n'osent plus prononcer le nom de Dieu, tant ce nom a servi de masque à la fourberie.

„Que fera le philosophe pour éviter de prononcer le nom de Dieu? Il le changera. Il appellera Dieu l'Inconscient et il en remplira son système. Ainsi, premier point de départ. Le nom de Dieu a été dés honoré de nos jours par les faux dévots; pour le réhabiliter, il faut d'abord le taire.” (*L'Esprit nouveau*. Paris 1875 str. 271).

Zgadza się najzupełniej na tę metodę badania zjawisk, powiemy nawet, że jest to jedyna racjonalna, jedyna metoda, jaka do odkrywania praw w zjawiskach prowadzić może, słowem metoda jedynie naukowa. Ale chociaż nauka i filozofia, to dwa odrębne byty, jednakże są one związane wspólną podstawą, gdyż płyną z jednego źródła, myśli naszej. Czyliż uogólniając zaznaczane zjawiska i szukając jednego na nie wzoru, niemamy w duszy przekonania, że prawo takie znaleźć się musi, że logiczność i konieczność wszędzie przebijają? Dlaczego dążymy do wykrycia tych praw w zjawiskach? Dlaczego nie ograniczamy się na badaniu pojedynczych faktów? Dlaczego wiążemy w jedną całość syntetyczną ¹⁾? Dlaczego wreszcie szukamy jednego wspólnego dla nich wszystkich kanonu?

Tę łączność zjawisk świata stwierdza wprawdzie indukcja, ale jej nie uczy. Zresztą wszakże sam Comte twierdzi, że hipotezy są konieczne w dziejowym rozwoju człowieka, że bez hipotez nawet żadna nauka nie mogłaby początkowo rozwinąć się. Przypuścić więc potrzeba, że obecnie ustrój naszego mózgu inny. Ale w takim razie jaką pewność, że to co *ostatnie*, lepsze ²⁾, bardziej do prawdy zbliżone? Odpowiedzą pozytywiści: pewność ta wynika z wiary w postęp (*le progrès pour base!*) ale skąd ta wiara? Słowem zawsze i wszędzie, gdziekolwiek i w którąkolwiek stronę zwrócimy myśl naszą, potrącamy o metafizykę, o *τὰ μετὰ τὰ φυσικά* ³⁾ czyli o to, co leży *poza fizykę*, *poza pozytywizm*.

Daleko też racjonalniejszym jest Herbert Spencer, który, lubo w pewnym względzie jest także pozytywistą w znaczeniu szkoły Comte'a, ale ogłaszając poznanie nasze za względne, oddziela przytem dwa światy: świat dla nas niedostępny, nie mogący być poznany (*The Unknowable*), i świat zrozumiały, dla myśli naszej dostępny (*The Knowable*). Pytań absolutnych, stanowiących dziedzinę pierwszego z tych światów, to jest świata niedostępnego, nie uważa on za patologiczny stan umysłu naszego, za pierwotne stadium, za dziecięctwo myśli ludzkiej, za stan obecnie już nienormalny, z którego wyleczyć się musimy (*Comte*); ale przeciwnie nawet w zakresie dostępnym dla nas zjawisk, to jest świata mogącego być poznany (*The knowable*), poznanie tego ostatniego zależnym czyni od świata niedostępnego, od owego absolutnego zakresu bytu.

¹⁾ Filozofia pozytywna wedle wyrażenia głównych jej przedstawicieli (*Comte, Littré*) jest właśnie taką *syntezą naukową*.

²⁾ Pomijamy już i ten взгляд, że w nieskończonym łańcuchu ewolucji wyraz *ostatni* wyrugowanym być powinien ze słownika filozoficznego, gdyż wprowadza zawsze w błąd. Tymczasem zaś *pozytywizm* uważany jest właśnie przez całą szkołę za *ostatnie* stadium filozofii.

³⁾ Tak nazwał tę część filozofii *Andronikus rodyjski*, który pierwszy porządkując pisma Arystotelesa, umieścił traktaty o *byciu w sobie*, jego przy-czynie i istocie, po traktatach o *naturze* (*φύσις*)

Kończąc ciekawe i nauczające rozdziały poświęcone rozbirowi pojęć siły i ruchu, między innymi wypowiada Spencer następujące słowa:

„Dowiedliśmy analizą subiektywną, że same już warunki myślenia naszego nie pozwalają nam poznać czegokolwiekbądź poza *istnieniem względnem*, ale że dzięki tymże samym warunkom myśli naszej, z konieczności rzeczy dochodzimy do przeświadczenia, lubo niezbyt wyraźnego, o istocie bezwzględnej. Analiza obiektywna doprowadza nas do podobnegoż rezultatu, gdyż prawdy niezaprzeczone (axiomata), prawdy fizyczne, z konieczności rzeczy wskazują za wspólną podstawę swoją, Istotę bezwzględną” ¹⁾.

Nie inny też absolut stawia na czele swojej filozofii i cała szkoła filozofów-pesymistów niemieckich a nawet twierdzi, iż dochodzi do tego absolutu metodą indukcyjną, opartą na prawach myślenia czyli metodą oświeconą światłem metafizyki.

„Wartość i doniosłość filozofii, powiada Schopenhauer, polega na tém, iż gardzi ona wszelkimi przypuszczeniami, niemogącemi być dowiedzionemi a to tylko przyjmuje, co daje się z całą pewnością sprawdzić zarówno widzialnym dla nas światem zewnętrznym, jak i formami umysłu naszego, warunkującemi możność poznania takowego i wreszcie wrodzoną wszystkim ludziom świadomością ich jestestwa, to jest własną ich osobowości.”

„Materyaliści, mówi tenże myśliciel, nie ustają w dowodzeniu, że wszystkie bez wyjątku zjawiska, nawet duchowe są zjawiskami fizycznymi, i mają w tem zupełną słuszność. Nie widzą oni jednak, dodaje, że zapatrując się z innego punktu widzenia, wszystko co jest fizycznym jest zarazem i metafizycznym.”

Hartmann mianuje filozofią swoją: *wynikami spekulatywnemi, otrzymanemi metodą indukcyjną przy badaniu nauk przyrodniczych* ²⁾; a za dewizę swojej *metafizyki ducha nieswiadomego* ³⁾ kładzie słowa Schellinga: „Przystąpcie do świata fizycznego i poznajcie to, co wieczne” ⁴⁾.

Zarówno więc Hartmann jak i Schopenhauer w zasadzie łączą dwa zakresy badań, dwie metody, filozofią swoją opierają na dwu biegunach jednocześnie. Toż samo czyni i twórca *filozofii wyzwolenia*.

Prawdziwa filozofia, powiada Mainländer, jest zawsze immanentną, to jest ogranicza się na badaniu zjawisk świata i praw, które nie-

1) Herbert Spencer: *First Principles. The Knowable.* § 60.

2) *Speculative Resultate nach inductiv-naturwissenschaftlicher Methode.* Jestto dewiza głównego dzieła Hartmanna: *Die Philosophie des Unbewussten.* Porównaj także tegoż dzieła, t. II, str. 465.

3) *Metaphysik des Unbewussten*, stanowi trzecią część zasadniczego dzieła Hartmanna i wypełnia cały drugi tom jego.

4) *Kommet her zur Physik und erkennet das Ewige.*

mi rządzą ¹⁾; ponieważ zaś świat jest uosobieniem woli istniejącego niegdyś Boga, w zjawiskach tych doczytywać się możemy początku i celu świata oraz szukać istoty Boga.

Oto ich wspólny punkt wyjścia. Pomijamy ten wzgląd, że inna rzecz wskazywać drogę, którą uważa się za jedynie racjonalną a inna rzecz drogą tą samemu postępować ²⁾; lubo więc i pesymiści niemieccy co innego głoszą a co innego sami przedstawiają, zawsze jednakże w badaniach swoich poszukują oni absolutu, dążą do niego przede-wszystkiem.

Dążenie to zostaje w nich i nadal, trwa ciągle, ale kierunek drogi wypada odmiennym (od założonego), to jest od tego kierunku, jaki filozofowie ci za jedynie racjonalny uznali. Pod wpływem bowiem negacyjnego zapatrywania się na życie ludzkie i istnienie w ogóle, pod wpływem upatrywania wszędzie jedynie tylko niedostatków i nędz świata tego, a z drugiej strony unikając antropomorfizmu w pojęciach absolutu, wtłaczają oni całą swoją filozofią w rany naprzód dla niej przystosowane, a tym sposobem z konieczności rzeczy zaprzeczają oni muszą absolutowi swemu, jeden po drugim, wszystkich atrybutów doskonałości przez teologów i dawniejszą szkołę filozofów niemieckich przyznawanych mu. Idąc nadto drogą reakcyi przeciwko filozofii, unoszącej się dotąd w krainie abstrakcyi a ztąd zrywającej z życiem, pchnięci oni zastali w inną jednostronność. A mianowicie przywódcy nowej szkoły zwrócili przeważnie uwagę swoją, z pominięciem innych zakresów bytu na pierwiastek życia, na siłę życiodajną, słowem na element najżywniejszy dla człowieka; element ten usiłowali oni wyrwać z zapomnienia, uratować z obojętności, na jaką skazało go abstrakcyjne rozumowanie, i podnieść następnie ten element, jak można najwyżej, choćby do bóstwa samego. Ztąd datuje apoteoza *woli* w łonie filozofii niemieckiej, *woli* nie w pojęciu aktu duchowego *osoby*, to jest istoty duchem i samowiedzą o duchu tym obdarzonej, ale *woli* w pojęciu *siły*, *potęgi*, jednym słowem *życia* niedającego się nigdzie i niczem przygłuszyć, czyli: woli w pojęciu *rzeczywistości*, *faktu* w przeciwstawieniu do *idei*, *myśli*, *rozumu*.

A takim sposobem lubo i szkoła pesymistów niemieckich dochodzi do pojęcia absolutu (wprawdzie nie tą drogą, jaką przedstawiciele jej uznają za jedynie racjonalną), inaczej go jednak pojmuje i inne znaczą mu zadanie a ztąd i inny widzi cel świata.

¹⁾ Porównaj początek pracy naszej: *Filozofia Wyzwolenia*, w osobnym wydaniu, str. 7.

²⁾ Kwestya ta dotyczy metody badań wogóło a w szczególności metody używanej przez współczesnych nam filozofów niemieckich. Dla tego też po bliższe wiadomości i obszerniejszą charakterystykę metody badań szkoły filozofów-pesymistów odsyłamy do innego studyum naszego, będącego na ukończeniu. Tymczasem zaś wskazujemy na str. 53 — 59, osobnego wydania niniejszej pracy, jako będące w związku z danym pytaniem.

O ile zaś ich pojęcie absolutu zgodnym jest z wymaganiami logiki, o ile odpowiada oczekiwaniom nieuprzedzonej myśli, potrzebującej zawsze oprzeć się o ostateczną i wieczną przyczynę istnienia; wykażemy to zestawiając pojęcia absolutu trzech główniejszych przedstawicieli filozoficznego pesymizmu germańskiego i zwracając uwagę na sprzeczności, do jakich z konieczności rzeczy prowadzić ich musiał błędny punkt wyjścia, błędne założenie całej ich filozofii.

Błędnym tym punktem, tém błędnym założeniem całej szkoły filozofii nicości jest—*hypostazowanie*, uosobianie pojęć, mających uzasadnienie jedynie tylko w połączeniu z pojęciem istoty osoby.

I tak u Schopenhauera absolutem takim jest *wola* (wola jako *noumenon*).

U Hartmanna wola wraz z ideą składają się na absolut: dwa te pierwiastki razem złączone stanowią dopiero jednię, ducha bezwzględnego (*das Unbewusste*).

U Mainländera absolut występuje w dwu fazach: raz jako Bóg w dobie transcendentálnej istnienia (jest to jakby prolog istnienia świata); drugi raz jako *wola* do nicości dążąca. Wola ta, ten drugi absolut, to odbicie dążenia Boga, a lubo Mainländer systemat swój filozoficzny nazywa *ateizmem*, to jednak ów Bóg przedzierzgamący się w świat zostaje zawsze absolutem, jako *wola nicości*.

Słowem śmiało rzec można, że w całej téj trójcy pesymistycznej *wola* jest absolutem ¹⁾, a ztąd i filozofią tych trzech koryfeuszów pesymizmu niemieckiego określić można jako *hypostazowanie* oderwanego od pojęcia osoby, nieodzownego jego pierwiastku—*woli* i wynoszenie tego pierwiastku do godności absolutu, czyli że cała filozofia pesymistyczna niemiecka jest—*apoteozą woli*.

Takie hypostazy, personifikacye pewnych pojęć, spotykają się często w łonie filozofii niemieckiej, a zwłaszcza w panteistycznym jej kierunku; cała téż skarbnica filozofii woli (*wolizm*), opiera się na takim hypostazowaniu atrybutów, na takim uosobianiu pewnych przymiotów i cech od pojęcia osoby nieodłącznych, ale niemających jeszcze przez to samo prawa do bytu odrębnego.

Śledząc dzieje filozofii, zapuszczając się w dal wieków, odnalazłoby się toż samo i w czasach najdawniejszych. Tak jak absolut chcemy zawsze przedstawiać sobie w jakiejś znanéj nam postaci, a najczęściej do nas podobnej ²⁾, lubo spotęgowanej w przymiotach, tak téż jest

¹⁾ Bo i u Hartmanna lubo na absolut składają się dwa elementa (*wola* i *idea*), *wola* decydująco występuje; ona daje *inicyatywę* istnieniu, *impuls* życia, *idea* zaś kreśli tylko plan, ustroj rozumny, oelowy, do urzeczywistnienia zamiaru woli to jest istnienia, wiodący.

²⁾ Każdy, zauważył już Ksenofanes, przedstawia sobie bogów w takiéj postaci, jaką sam posiada. Negrowie, powiada ten filozof, chcą mieć bogów czarnych i ze splaszczonemi nosami, mieszkańcy Tracji: niebieskookich i czerwonowłosych, a gdyby, dodaje on, konie i woły malować mogły, przedstawia-

w duchu ludzkim skłonność do wcielania pewnych pojęć oderwanych w byty istotne ¹⁾, a nawet do nadawania im cech osobowości.

Ostatnia ta dążność w filozofii niemieckiej, najsilniej uwydatniła się od czasów Hegla i Schopenhauera. Dzieje myśli germańskiej mogą też w rocznikach swoich, zaznaczyć rok 1819 ²⁾, jako epokę puszczania w świat dwu myśli zasadniczych, a wręcz sobie przeciwnych, przez dwu najwybitniejszych może w początkach bieżącego stulecia myślicieli.

Było to jednoczesne wyniesienie na tron olimpu filozoficznego dwu atrybutów *osobowości*: *Idei* i *Woli*, rozerwanych i postawionych naprzeciwko siebie, jako dwa odrębne a wrogie sobie absoluty. Odtąd

łyby bogów pod własnymi postaciami. Nieinaczej też, wedle tego filozofa, dzieje się w przypisywaniu bogom innych niedokładności natury ludzkiej, odnoszących się do moralnej strony człowieka (Homer, Hezyod). Clemens Alex. VII. p. 711 B.

Dowcipnie też zauważył Voltaire: *Depuis que Dieu a fait l'homme à son image, l'homme le lui a bien rendu.*

¹⁾ Cały spór *nominalistów* i *realistów* w wiekach średnich, jest wymowną ilustracją tej dążności i stanowi wybitną oraz nauczającą kartę w dziejach myśli ludzkiej. Spór ten nie został jednak rozstrzygnięty i pono nie raz jeszcze na polu tém łamać będą swe kopie myśliciele, kuszący się o zdobycie prawdy bezwzględnej.

²⁾ W tym roku jednocześnie wygłaszali światu doktryny swoje: Hegel i Schopenhauer. Pierwszy już od 22 października 1818 roku począwszy, czytał w uniwersytecie Berlińskim całkowity kurs filozofii, kurs, który najbardziej przyczynił się do ugrupowania *heglizmu* w Niemczech (Porównaj Ueberweg: *Grundriss der Geschichte der Philosophie der Neuzeit*; Berlin 1872 r., str. 266). Drugi w tymże roku 1819, wydał poraz pierwszy zasadnicze dzieło swoje, zawierające w śmiałym rzucie myśli całą jego doktrynę, t. j.: *Die Welt als Wille und Vorstellung*. Leipzig, 1819 r.

Jednakże dwa te systemata filozoficzne nie doznały równych losów. O ile pierwszy od razu uzyskał zupełne uznanie i od razu wyrósł w szkołę, zbierając w okolo siebie całą falangę filozofów; o tyle znowu drugi długo i bardzo długo oczekiwał na laury i dopiero ze śmiercią swego ojca duchowego, zaczął nabierać coraz większego znaczenia w oczach współczesnych nam myślicieli. Ale też zato, lubo spóźnione, hołdy dla mistrza spotęgowały się ponad prawdziwą wartość jego myśli zasadniczych.

Wogóle rzecz można, że niedawno dopiero doktryna Schopenhauera trafiła do przekonania społeczeństwa niemieckiego, które z początku nie chciało w nim widzieć głębszego myśliciela; zrozumiało go zaś i przeceniło nawet razem z uznaniem jednostronności *Heglizmu*, doprowadzonego przez krańcowe odrośle szkoły jego do wyników uzewnętrzniających plastycznie niemal wszystkie słabe strony doktryny, która tak długo wśród Niemców panowała.

cały firmament filozofii niemieckiej krąży głównie około tych dwu osi metafizycznych; na niebie germańskiem błyszczą naprzemian to sła-
bięj, to silniej, dwie gwiazdy polarne: *idea*, wyrażająca rozum, potęgę
ducha i *wola*, znamionująca siłę życiodajną, niepytającą ani o zasady
myśli, ani o cel istnienia, ani o potęgę ideałów.

Takie jednakże rozrywanie, a następnie hypostazowanie oddziel-
nych atrybutów, logicznie nierozdzielnych i z istotą osobowości jaknaj-
ściślej związanych, oraz podnoszenie tych pojęć oderwanych do sub-
stancyi absolutnej, nie może w żaden sposób ostać się wobec wymagań
praw logicznej analogii. Jedno bowiem z dwojga: albo trzeba wyrzec
się pojęć osoby, uniknąć tego, do pewnego stopnia niezbędnego, nieod-
zownego antropomorfizmu i pojęcia pewne robić bogami nieosobiste-
mi ¹⁾, albo też, jeśli mówi się o osobie i jej przymiotach na podobień-

¹⁾ Co, jak dowodzi cała filozofia przedsokratesowa w Grecyi, nie zdoła-
ło jednak zadowolnić głębszych myślicieli, szukających, z konieczności rzeczy,
logicznej, rozumnej to jest celowej przyczyny wszechświata, domagających się
ugruntowania istnienia nie na przypadku i fatalizmie, ale na rozumie i jednoś-
oi, przenikającej świat cały. To też pojęcia owych pierwiastków istnienia czy
to jako fizycznych pierwiastków (woda u Thalesa; nieskończoność materyalna,
przestrzeń wypełniona albo raczej nieobjętość—*ἄπειρον* u Anaksymandra;
ogień u Heraklita; powietrze u Anaksymenesa i Dyogenesa z Apolonii), czy ma-
tematycznych (próżnia i liczba—*αριθμος*, u Leucyppa i Demokryta), czy
tż jako pojęć oderwanych (*νοῦς*), nie odpowiadały wcale owemu pojęciu
absolutu, jakiego myśl nasza z konieczności rzeczy szuka zawsze i wszędzie.
Przeciwnie nawet, systemata filozoficzne uznające jedność we wszechświecie,
ale niedające metafizycznego jej wyjaśnienia, pośrednio same prowadziły do
stwarzania już nie Boga, ale bogów osobistych, całej niemal ich hierarchii,
mieszczącej w swém gronie przedstawicieli najróżnorodniejszych władz ducha
ludzkiego, a nawet ludzkich ułomności i namiętności. Dopiero nad niemi
wszystkimi filozofia starożytna stawiała wymagania rozumu i etyki. *Fatum*,
owe *nemesis* etyczne, unosiło się ponad wszystkimi tymi dygnitarzami olimpij-
skimi; wszyscy bogowie ulegali losowi czyli konieczności. „I bogowie, po-
wiada Plato, nie są wolni od *fatum*.” Słowem, prawdziwy absolut świata kla-
sycznego, to—*fatum*, a lubo wyniesiono je ponad wszystkie częściowe absoluc-
ciki, to jednak i te częściowe bóstwa miały racją bytu, istnienie ich było psy-
chologicznie uzasadnionem, gdyż ów jeden główny absolut nie odzwierciedlał
Grekom wszystkich istotnych pojęć i przymiotów osobowości.

Oto dowód, jak dalece pojęcie absolutu łączy w sobie pojęcie
osobowości i jak trudno myśli naszej przedstawić sobie Boga nieosobis-
tego, a z drugiej strony jak niemożliwem jest mówiąc o absolutcie, za-
przeczać mu mądrości, skoro mądrość przenika świat cały, skoro ta jej
powszechność jest głównym warunkiem, umożliwiającym poznanie świata
a ztąd i usprawiedliwiającym dążenie do wykrycia przyczyny przy-
czyn, owęj *lex legum*. Istota téj przyczyny metafizycznej unosi się

stwo ludzkiej osoby, to już być konsekwentnym i nie rozbić zasadniczych cech tego pojęcia na odrębne istoty, odrębne byty.

W ogóle zauważyć można, że antyteza idei i woli, jako idei rozumnej i woli ślepej, antyteza będąca osnową całej niemal szkoły współczesnych nam filozofów pesymistów, przeczy *psychologicznym* pojęciom o tych atrybutach osobowości, a z drugiej strony nie jest zgodną z pojęciem *metafizycznym* absolutu, które *eo ipso* zawiera już w sobie pojęcie *jedności organicznej*, syntetycznej łączności cech, stanowiących jego istotę.

A. Co do *psychologicznego* pojęcia idei albo rozumu i woli, to pojęcia te wiążą się ściśle z pojęciem subiekty, to jest pewnego centrum władz duchowych, jednem słowem z pojęciem *osobowości*.¹⁾ Prawda że *myślenie*, *uczucie* i *wola* zależne są od ustroju mózgowego indywiduów i że osobne mają organa, przez które się uzewnętrzniają, a nadto stany patologiczne tych organów, choroby mózgowie, potęgując jednostronny i nadmierny ich rozwój lub zwiększając ich atonię, bardziej jeszcze uwydatniają odrębność tych władz duchowych. Ale to bynajmniej jeszcze nie dowodzi, by władze te były oddzielne i niezależne od siebie, a tém mniej, by można było je personifikować.

Takie odseparowanie rozumu od woli w czynach ludzkich jest niemożliwem. Nie każdy bowiem akt subiekty jest faktem psychologicznym, jednem słowem *czynem*²⁾, podobnie jak funkcyja fizyologiczna organizmu nie jest następstwem woli.

Wola, to nie fizyologiczne dążenie organizmu do pewnego celu, to nie bezwiedne pragnienie zaspokojenia wyłącznie tylko tych dążeń. Jeśli mówimy o woli, to zawsze jako o objawie duchowym, jako o nader złożonym procesie psychologicznym; mamy zawsze na myśli cały łańcuch najróżnorodniejszych pobudek i myśli, uczuć i pragnień, których ostatecznym dopiero wynikiem jest wola—a czyn ostatecznym jęj uzewnętrznieniem się. To też gdzie niema samopoznania, to jest poczucia i pojęcia swojej indywidualności czyli samoistności, tam nie

wprawdzie poza granicami naszego poznania, ukrywa się poza mglistą oponą, oddzielającą myśl naszą od absolutu, ale poznać ją możemy w jęj zjawiskach. Jeśli zaś niedanem jest człowiekowi dotrzeć do istoty Boga, to jednak w prawdziwości i myśli świat cały przenikającęj, znajduje on Jego odbicie, Jego wizerunek (porównaj poprzedni § 4).

¹⁾ Porów. *Bibl. Warsz.* kwiecień, str. 123. W osobnym zaś wydaniu pracy niniejszëj § 4, str. 109.

²⁾ W pojęcie czynu psychologicznego wchodzi z konieczności rzeczy, jako składowe elementa: *rozum*, *uczucie* i *wola*. A jakkolwiek uczucie gra na pozór największą rolę w czynie ludzkim, gdyż zdaje się bezpośrednio na takowy wpływać, to jednak i ono nie jest bez treści i ono warunkuje się ideą pewną; każdy pragnąc czegobądź, ma ideę tego pragnienia, przedstawia ję sobie w taki lub inny sposób.

może być mowy o woli ¹⁾. Instynktowe pragnienie, dążenie do czegoś bezwiedne nie jest objawem woli.

Przyjęte przez niektórych uczonych psychiatrów dzielenie chorób mózgowych na choroby myśli i choroby woli, nie jest też zdaniem naszym, uzasadnione, jak w ogóle głoszenie patologicznego stanu jednej jakiejś funkcji mózgu obok normalnego działania drugich jest zbyt śmiałym przypuszczeniem. Podobnie jak *lucida intervalla* to jest *stany* lub *przerwy jasne* nie dają rękojmi normalności sądu, mogą mieć bowiem jakieś nieznaczące odcienia chorobliwego myślenia a zresztą przez samą swoją nietrwałość są już anormalne; podobnie też i przy każdej chorobie mózgowej, wszystkie kierunki władz duchowych człowieka są bezpośrednio lub pośrednio, słowem mniej lub więcej, chorobą tą dotknięte.

Zresztą inna rzecz choroby naczyń mózgowych czyli *organów ducha ludzkiego* a inna *choroby duszy*, choroby etyczno-duchowe. Rozróżnienie to jest, zdaniem naszym, niezbędnym; czemżeż bowiem innym jak nie chorobą duszy jest n. p. zatwardziałość przestępcy, jego ciągle odnoszony tryumf nad wyrzutami sumienia (wogóle wszelkie przestępstwo)? ²⁾.

Przypuściwszy nawet, że ciągle powtarzanie się takich stanów psychicznych zbrodniarza, w których ten odnosi tak częste, stałe, nad sumieniem zwycięstwo, wpłynąć musi i na fizyologiczne funkcje mózgu jego a tym sposobem drogą nawyku utrwała tę dążność przestępną, to przecież przyczyna tych zbrodni moralnych nie jest materialną, fizyologiczną, ale duchową, życiową. A w tej walce, jaką wola, nim na przestępstwo się zdecydowała, staczać musiała z treścią myślową danego indywidualum, z jego uczuciem, z jego potrzebami serca i charakterem jego, słowem z całym kodeksem paragrafów moralności i bojaźni religijnej, odbija się niedościgła dla nas tajemnica duchowego życia człowieka, cały świat pobudek i względów, dążeń i przeszkód, uczuć i namiętności, pragnień i celów.

Jeżeli zaś nie danym jest nam uchylić tej zasłony świata duchowego, to przecież widzimy, że na poczucie indywidualności naszej, naszego *ja* pozostającego nam do końca życia ³⁾ składa się nierozdzielny łańcuch duchowych cech naszych, cech istotnych i nierozdziel-

¹⁾ Tam też i niema odpowiedzialności.

²⁾ Prawda, że i tu oddziaływanie wzajemne ducha i materji dałoby się wysledzić, ale dążenie materialnego kierunku obecnej epoki do wytlómaczenia wszystkiego nienormalnym stanem mózgu, jest zbyt śmiałe, a dążność do nieograniczonego uwalniania od odpowiedzialności zbyt niehygieniczną moralnie, a ztąd zbyt niebezpieczną.

³⁾ Pomimo, że atomy ciała naszego ulegają ciąglej przemianie, ciąglemu odnawianiu; pomimo, że pojętność oraz zakres wiedzy naszej, a po części nawet i charakter ciągle się rozwija, a my w miarę postępu zapominamy o fa-
zaoch niższych przejść naszych.

nych, jakimi są przede wszystkim *pojęcia, myślenie, i rozum* a z drugiej strony *wola* z pojęciami temi związana, niemi się kierująca i niemi wypełniona, oraz *uczucia*, tak ważną w życiu odegrywającą rolę, a z których najgłówniejszem jest miłość i nienawiść.

A w takim razie *wola* sama jako oderwane pojęcie, jest czczém słowem. Nie mówiąc już o niezliczonej liczbie składników *wolę* warunkujących, ta związana jest jaknajściślej z całym ustrojem duchowym subjektu, indywiduum, a ztąd rozprawianie o *woli* jako o istocie, jako o bycie a nadto bycie absolutnym, jest przenoszeniem pojęć psychologicznych w świat metafizyczny, objaśnianie *ontologii—psychologią* i to psychologią fragmentarną, rozrywającą arbitralnie nieodłączne od *pojęcia* osoby atrybuty, istotne jęj składniki, a to w celu, by z nich utworzyć jakieś nowe *νοουμενον* y, nowe bogi.

Można uogólnić pojęcie *woli*, nadać mu jak Schopenhauer inne, rozleglejsze niż zwykłe znaczenie, ale wtedy, lubo unika się sprzeczności zasadniczych, wprowadza się tém niemniej na błędną drogę rozumienia, dając nieodpowiednią dla rzeczy samej nazwę.

I tak, Schopenhauer w całym wszechświecie widzi jedynie pewne dążenie, prąd pewien, stały kierunek życia, popęd żywotny bez granic, jednem słowem *siłę* i tę nazywa *wolą*. Rozpatruje dalej jęj stopnie, poczynszy od świata nieorganicznego do człowieka; i nic dziwnego, że wobec tego ruchu i nieustającego ani na chwilę życia w przyrodzie, wpada w zachwyt i pierwiastek *siły* wszystko przenikającej podnosi do godności absolutu. Dziwna rzecz jednakże, że unikając pojęć abstrakcyjnych, nazw scholastycznych, pierwiastku tego niechcąc nazywać *siłą* dlatego, iż w słowie tém widzi metafizykę, niezrozumiałość, transcendentalność, mianuje go *wolą*; a biorąc do oznaczenia swego absolutu jedną z cech, jedną z części istotnych psychologicznego *pojęcia* osoby, przymiot od nięj nieodłączny, za samą istotę sądzi, że uniknąć zdoła sprzeczności i że będzie jaśniejszym, bardziej konsekwentnym.

Prawda, że pierwiastek życia, rzecz można miłość w najogólniejszem słowa znaczeniu, jakby szukanie odpowiednich dla siebie, z góry przeznaczonych atomów, jest uderzającym w naturze faktem i że pod tym względem możnaby powiedzieć, *aimer c'est vouloir* ¹⁾ i odwrotnie, *vouloir c'est aimer*, a wtedy miłość tę powszechną, a raczej *wolę* uznać za sprężynę świata. Ale jak powiedzieliśmy, uczucie, miłość, jest jedną tylko pobudką *woli*, jednym dopiero jęj składnikiem; *wola* jest zawsze złożonym procesem psychologicznym, ostatecznem ogniwem nieskończonego łańcucha przyczyn i celów, pragnień i zamiarów. Zresztą pomijając i ten wzgląd ostatni, jeśli już *wolę* w znaczeniu, jakie jęj Schopenhauer nadaje, uważać za tę *siłę* życiodajną, to i wtedy trudno zjawisk *woli* odłączyć od celu, choćby od celu zachowania życia i rozwijania go w nieskończoność. Wszakżeż *wola* jest nienasyconą życiem, celem

¹⁾ D'Arpentigny, *Chirognomie*.

jój życie (Hartmann); więc nie jest bezcelową, jak chce Schopenhauer. A nawet jeśli zaprzeczyć z Schopenhauerem celowości, mądrości świata, to trudno zrobić wolę beztreściową, czystém pojęciem, skoro życie ją wypełnia, skoro życie jest jój treścią, a więc i celem.

To téż żaden z trzech koryfeuszów filozofii pesymistycznej nie mógł utrzymać się na stanowisku pojęć *czystej woli*, nie mógł ograniczyć się na tém jedynie pojęciu.

Zaznaczenie siły ślepej, acz potężnej pod formą woli beztreściowej, jest właśnie najtrudniejszym dla samego Schopenhauera punktem w jego systemacie, a trzymanie się ślepo tego pojęcia, staje się niemożliwém i dla niego samego.

Gdyby téż Schopenhauer wniknął głębiej w istotę głoszonego przez siebie pierwiastku świata, nigdyby nie odważył się na wskazywanie ludziom za ich zadanie, wyrwania się z objęć woli, to sam przekonałby się może o niekonsekwencji, jaka tkwi w takim nawoływaniu do rzeczy niemożliwych *logicznie i praktycznie*.

Logicznie niemożliwych—zład bowiem wiemy, że nicosić jest pożądanszą niż istnienie, wszakże tego uczy nas umysł, będący tylko *slugą woli*. Jak mamy dowierzać rozumowi, gdy ten jest wyłącznie *produktem woli*. Zresztą o znikomości istnienia dowiadujemy się z doświadczeń życiowych; a życie, świat rzeczywisty, to wszakżeż tylko nasze przedstawienie (*Vorstellung*)¹⁾. Gdybyśmy byli bez ciała, powiada Schopenhauer, duchami skrzydlatymi, nie widzielibyśmy świata, tylko wolę.

Praktycznie niemożliwych—bo jeśli wola do życia jest absolutem, to cóż potrafi ją zwalczyć? Wprawdzie *tentare licet*, ale w takim razie zład pewność, że usiłowania nasze pożądanym skutkiem uwieńczone zostaną? Gdyby jeszcze przypuścić istnienie drugiego jakiego, prócz woli do życia, absolutu, np. czarnego jakiego bóstwa śmierci, słowem gdyby monizm filozoficzny Schopenhauera rozbić na dualizm, na walkę dwu pierwiastków, życia i śmierci; to możnaby stanąć po stronie tego drugiego bożka i los swój w jego powierzyć ręce, a wtedy czekać cierpliwie na wynik téj walki tytanicznej albo téż wziąć nawet czynny udział w tém dziele ogólnego zniszczenia. Inaczej głoszenie nirwany będzie zawsze niekonsekwencyą w filozofii Schopenhauera, błędem zasadniczym jego systemu.

I tak np. zapalony wyzuawca pesymizmu, umierający dobrowolnie śmiercią głodową, nie dochodzi, jakby twierdził sam mistrz, do zaparcia woli (*Verneinung des Willens*), ale raczej do spotęgowania jej i uwieńczenia czynem heroicznym, dowodzącym jój zwycięstwa. Wola tu się nie niwecezy, tylko zmienia się jój cel, inną wypełnia się ją tre-

¹⁾ Porównaj *Bibl. Warsz.*, kwiecień, str. 103. W osobném zaś wydaniu pracy niniejszój, część II, rozdział II, str. 54, oraz część III, roz. II, § 3, str. 89.

ścią, daje się jój inny przedmiot za osnowę do działania. Wrodzony popęd do życia nie jest bowiem wola; głód, pragnienie nie są jeszcze jój objawami, a umierający dobrowolnie z głodu także nie działa przeciwko swojej woli, on jój nie pokonywa, ale przeciwnie utwierdza ją meczeństwem.

Hartmann zauważył ten brak logiczności w filozofii Schopenhauera, a niechcąc sam błędu tego popełnić, mówi już o odwrotnej woli a raczej przyjmuje dwie wole ¹⁾. Mainländer głosi znowu przemianę woli (*die Umwandlung des Willens*) ²⁾. A przez to ci dwaj ostatni zdają się być konsekwentniejsi, chociaż pozornie tylko, łatwo bowiem wynaleźć odpowiedniejszą dla pewnej rzeczy nazwę; ale to jeszcze nie nie tłumaczy, niczego nie dowodzi, zwłaszcza gdy rzecz sama nazwiej nie odpowiada. Głosząc zaś przemianę woli do życia, czy to przez drogą przytłumienia, zdławienia w sobie tego popędu ³⁾, czy to przez powołanie do walki drugiej woli, woli odwrotnej ⁴⁾; czy wreszcie zapaleniem woli inną wyższą ideą ⁵⁾; wszyscy oni tém samém niweczą absolut woli do życia a to przyzywając w pomoc, lubo bezwiednie, ideę, rozum ⁶⁾. Rozum ten dopiero ma nas oświecić i dzięki téż jemu, człowiek będzie w stanie zmienić kierunek swojej woli, inną wypełnić ją treścią.

Słowem w gruncie rzeczy wszyscy oni apoteozują w końcu nie tyle samą wolę, ile jój treść, nie tyle istotę woli, ile jój kierunek.

A takim sposobem wola zaprzeczona w imię idei (Schopenhauer), wola nasycona ideą (Hartmann), wola zmieniona wskutek idei, oświecona rozumem (Mainländer): oto jak wygląda ów *neumenon* pesymistów, owa wola w zasadzie czysta, bez treści (*der reine Wille*); oto ile niekonsekwencji, ile sprzeczności w przyjmowaniu za absolut świata—woli, a do tego woli ślepej.

Sprzeczności te jednakże nie dziwią nas wcale. Powstały one drogą bardzo naturalną umysłu ludzkiego, dążącego na mocy wymagań logiki do dopełnienia choćby nawet za pomocą przeskoków i zbożeń od systematu, nieodzownych a opuszczonych zrazu elementów myśli; do usunięcia, choćby tylko formalnego, sprzeczności, spowodowanych stawianiem na miejsce absolutu pojęć cząstkowych, oderwanych (w ścisłym słowa znaczeniu *oderwanych*) od pojęcia całości. *Bóg-wola* nie mógł obejść się bez *Boga-rozumu*, a złączenie ostateczne tych dwu wrogich pierwiastków w walce o byt (w istotnym słowa znaczeniu o byt, gdyż o życie lub śmierć metafizyczną) rozsadziło całą, tak kunsztowną budowę *filozofii woli*.

1) Porów. pracy niniejszej Część II. Roz. II, str. 55—57.

2) Porów. tamże. Część I. Roz. I, str. 17 i 18. Roz. II, str. 33—4.

3) Schopenhauer.

4) Hartmann.

5) Mainländer.

6) *Erkenntniss, Erklärung des Willens* (Schopenhauer i Mainländer).

B. Powiedzieliśmy, że rozrywanie pojęcia osoby na odrębne jej cechy i następnie hypostazowanie tych cech niema uzasadnienia ani w *psychologii* ani w *metafizyce*. Co do sprzeczności psychologicznych, takowe jasno wynikają z tego, co dopióro co przedstawiliśmy; zobaczymy teraz, jakie błędy popełnili filozofowie pesymiści pod względem *metafizycznym* przez stawianie na czele bytu i wszechświata *absolutu woli*.

Niewdając się tu w ocenę, co naturalniejsze: czy wynoszenie do godności Boga pewnego *pojęcia*, czy też stawianie na czele świata *osoby* bożej, to jest czy głoszenie Boga nieosobistego (panteizm, materializm), czy nadawanie Bogu cech osobowości (teizm i deizm); zauważymy tylko, że w jakiegokolwiek formie przedstawimy sobie absolut, zawsze musi on być absolutem, to jest nosić musi na sobie cechy *wiecznej i jednolitej przyczyny*.

Widzieliśmy wyżej (§ 2, str. 80), że istnienie i wieczność łączą się w pojęcie *wiecznej przyczyny świata* i że ta przyczyna jest *substancją jednolitą*.

Otóż jak *wieczność* jest pierwszym atrybutem absolutu, tak *jedność* jest drugą istotną jego cechą; wieczność i wszystkość, całość i jedność—oto nieodzowne przymioty Boga.

Czuli to dobrze nawet i filozofowie-pesymiści a stawiając na miejsce wyrugowanej z Olimpu germańskiego idei, *wolę*, nadawali jej wszechbytność, przyznawali jej wszechwypełnienie świata, tylko, że w przyznawaniu wieczności pozwolili sobie stanąć na połowie drogi. Wszyscy oni uznają *wieczność początkową*, to jest istnienie woli jako absolutu od początku czasów, jednym słowem wiecznie, bez początku; ale nie przyznają wieczności nadal a przynajmniej nie chcieliby jej przyznać. W tém jest, jak to już wykazaliśmy, wielka sprzeczność. O ile zaś sami twórcy tych sprzecznych w sobie systematów czuli ten brak, tę wewnętrzną niekonsekwencją, najlepiej uwydatniło się to w tój niestanowczości, w tém wahaniu się, jakie w nich uderza, gdy przychodzi im uzasadniać swoje nadzieje, zapewniać swoich współwyznawców o możności dojścia do *nirwany* ¹⁾.

Powiedzieliśmy, że sami pesymiści, luho przepołowili pojęcie wieczności, nie mogli jednak uchylić się od postawienia na czele istnienia absolutu z cechą *jedności*.

I tak Schopenhauer głosi wyłączność, prymat woli; umysł (*der Intellekt*) w porównaniu z tą ostatnią jest drugorzędnym elementem, a nawet jej sługą ²⁾. Naturalnie, mamy tu na myśli *wolę* jako *noume-*

¹⁾ Przedstawimy niepewność ich w tym względzie przy rozbiorze *re-kojmi filozofii wyzwolenia*, dla osiągnięcia celu, jaki filozofia ta głosi światu. Zoba czymy tam jak często przedstawiciele tego kierunku filozofii potykają się o własne swoje przeszkody, stawiano duchowi ludzkiemu w logiczném snuciu myśli. (§ 8).

²⁾ Porównaj pracy naszćj, str. 54—89.

non, jako absolut w jego filozofii, a nie wolę fenomenalną, to jest objawianie się tego absolutu w ułamkowych formach bytu ¹⁾. Taka *wola*, jako pierwiastek, jest w systemacie Schopenhauera wolną od wszelkich wysileń, nie zna fadygi, gdy tymczasem umysł wyczerpuje się, nuży się, a nawet ten ostatni może odpowiednio funkcjonować jedynie gdy wola *milczy*, gdy *odpoczywa*. Wola jako charakter, mówi Schopenhauer, była zawsze uważaną za działacza stałego niezmiennego w duchowym życiu indywiduum, gdy tymczasem umysł za element zmienny i niepewny.

Bardzo obszernie rozwija Schopenhauer wyłączość woli w objawach świata nieorganicznego i organicznego ²⁾; nas jednak, jak nateraz zajmuje głównie jęj wyłączość w duchowym życiu człowieka.

Otóż ten element życia, te skłonności, te pragnienia, wszystko to u Schopenhauera odbicie jednego pierwiastku wyłącznego, jedynęj rzeczywistości metafizycznęj—*woli*.

Wola tak pojęta jest właśnie owęm *noumenon* filozofii jego, to tęż uwalnia ją Schopenhauer nawet od prawa przyczynowości; jestto wieczne, nieskończone dążenie.

„Brak końca, brak wszelkich ograniczeń, powiada Schopenhauer jest cechą woli *per se*, woli, która jest nieskończonęm dążeniem.”

Jest ona nadto wyłączną, nie zna współzawodnictwa. „Chcąc zgłębić istotę woli w samęj sobie, a tym sposobem wnikać jak można najgłębięj w wewnętrzne tajniki przyrody, powinniśmy, powiada Schopenhauer, usunąć z myśli naszęj współdziałanie umysłu przy objawach woli.”

Tak pojęty absolut, naturalnie nie zna ani przeszłości ani przyszłości, wola wyższą jest nad formę czasu lub mnogości; nie zna ona ani tego co znaczy *przed*, ani tego co—*po*. Istnienie jęj jest wiecznęm *teraz*. Jest ona nadto *jedną, nierozdzielną*, jakkolwiek w jedności swojej, w swojej pojedynności, zawiera niezliczoną ilość objawień się, wewnętrznie indywidualnych.

Słowem, tak określiwszy pojęcie woli, uwolniwszy element ten życiodajny od skończalności, od wszelkich możliwych ograniczeń, (zarówno czasu jak przestrzeni i potęgi), Schopenhauer postawił na czele filozofii swojej ten nowego rodzaju absolut, jako antytezę i protest przeciwko zimnęj, ponuręj, nieruchomęj idei Hegla. A wyniósłszy do godności absolutu ten pierwiastek życia, musiał mu przyznać jako cechę nieodzowną: *jedność, wyłączność* ³⁾.

¹⁾ Czyli tak zwane przezeń stopnie urzeczywistniania się albo raczěj stopnie objektywacyi woli (*die Objektivation des Willens*). W tęp znaczeniu żołądek jest wolą pożywienia, oko wolą widzenia, mózg wolą myślenia i t. d. Porów. Schopenhauer. (*Welt als Wille und Vorstellung*).

²⁾ *Die Welt als Wille und Vorstellung*; t. II, księga 2, rozdział 19.

³⁾ Zwracamy nawiasowo uwagę na dwa błędy zasadniczo Schopenhauera, jakie w zarodku tu już spostrzedz można, a które z konieczności rzeczy rozwinąć się musiały w dalszęp snuciu filozofii jego.

Podobnież Hartmann swój absolut *das Unbewusste* nazywa *jednią*, *das All-Eine*, a wyliczając cechy swego bóstwa, powtarza niemal epitety Schopenhauera, z tą tylko różnicą, że epitety te stosują się u niego nie do *woli*, ale do czegoś pośredniego pomiędzy ideą i wolą, to jest do owego *mictum compositum*, z którego się składa Nieświadome (*das Unbewusste*). Że zaś owe Nieświadome jest właściwie Bogiem, dowodzi tego cały szereg przypisywanych mu atrybów od pojęcia absolutu osobistego nieodłącznych ¹⁾.

Oto *cechy* absolutu Hartmanna:

1. „Nieświadome nie podlega chorobom” ²⁾.

Dwa te błędy wynikły z niekonsekwentnego rozwiązania dwu pytań, jakie Schopenhauer musiał sobie zadawać: 1. Jak ta wieczność zniszczeje? 2. Jak rozbić jednolitość? Pytania te łączą się ze sobą jaknajściślej, gdyż możność znikomości zależną tu jest od tego, czy owa jedność, jednolitość da się rozbić, czy ciągłość da się przerwać. Samo już zjawienie się tych pytań było niekonsekwencyą wobec zasad jego filozofii, a zamieniły się one w dwa błędy kardynalne, wskutek rozwiązania ich w sposób dogmatyczny, nieuzasadniony. Co znowu wynikło z naprzód nakreślonego w myśli zadania świata, bez krytycznego rozbioru logicznej możliwości spełnienia takiego zadania, oraz co ważniejsza, bez udowodnienia tego celu.

¹⁾ Porównaj Hartmanna: *Philosophie des Unbewussten*. Berlin. 1876, t. II, głównie zaś *Zur Metaphysik des Unbewussten*. Rozdział I. *Die Unterschiede von bewusster und unbewusster Geistesthätigkeit*. Rozdział V I. *Die All-Einheit des Unbewussten*, oraz rozdział XII: *Die Allweisheit des Unbewussten und die Bestmöglichkeit der Welt*.

²⁾ *Das Unbewusste erkrankt nie* Hartmann. *Philosophie des Unbewussten*, t. II, str. 3.

Zwracamy przytém uwagę, że w dziele C. I. Carus'a: *Psyche, Zur Entwicklungsgeschichte der Seele*, Stuttgart, 1851, które w wielu pomysłach co do Nieświadomego służyło Hartmannowi za wzór, znajdujemy określenie absolutu (także *das Unbewusste* nazwanego), w tychże samych niemal słowach jak i u Hartmanna. A cechy, jakie ten ostatni absolutowi swemu przyznaje, są też same co i u Carus'a. Porównaj mianowicie cechy absolutu objęte u nas numerami 1—5 włącznie z odpowiedniami określeniami umieszczonemi u Carus'a w dziele pomienioném, na str. 32, 38, 79, 95.

Ta pobratymczość pojęć co do absolutu, jaką u tych dwu myślicieli znajdujemy, nie uszła też uwagi L. Weissa (*Anti-Materialismus*), który pierwszy, o ile wiemy, zaznaczył to ich pokrewieństwo duchowe, przenosząc na Carus'a sławę pomysłu *filozofii Nieświadomego*. Okoliczność ta wywołała polemikę z Taubertem, jednym z najwierniejszych uczniów Hartmanna.

Porównaj także Oscara Schmidt'a: *Les sciences naturelles et la Philosophie de l'Inconscient* w tłumaczeniu francuzkiém, pp. Soury i Meyer. Paryż. 1879, str. 40; oraz przypisek do str. 19, w którym autor zestawia podobne wyrażenia spotykane zarówno u Hartmanna jak i u Carus'a.

2. „Nieświadome nigdy się nie nuży”¹⁾.
3. „Myśl Nieświadomego nie przejawia się podobnie jak Przedstawienie Świadome w formie zmysłowej, ale nosi na sobie cechę niezmysłową.”
4. „Nieświadome nie zna wahania się, ani podlega zwątpieniu, nie potrzebuje też czasu do namysłu, ale natychmiastowo, bezpośrednio owłada ono rezultatem myśli i to w téjże saméj chwili, gdy przeprowadza proces logiczny”²⁾.
5. „Nieświadome nie błądzi”³⁾.
6. Podczas gdy świadomość warunkuje się z konieczności rzeczy pamięcią, to przeciwnie „Nieświadomemu, jak powiada Hartmann, nie można przyznać żadnej pamięci, gdyż pamięć możemy wyobrazić sobie jedynie jako wrażenia utrwalone za pomocą mózgu, a nadto wskutek uszkodzenia tego ostatniego, pamięć ustępować może zupełnie lub częściowo, z przerwami lub na zawsze. To też, mówi dalej Hartmann, Nieświadome obejmuje myślą w jednéj chwili wszystko, co do danego odnosi się przypadku, a tym sposobem nie potrzebuje żadnych *porównań*. Podobnież nie potrzebuje ono i *doświadczenia*, dzięki bowiem swemu jasnowidzeniu, zna wszystko lub o wszystkim wiedzieć może, skoro tylko *wola* domaga się tego stanowczo”⁴⁾.
7. „W Nieświadomem wreszcie, Wola i Przedstawienie łączą się w jednę nierozdzielną całość, nie może też ono niczego pragnąć, czego sobie nie przedstawia, ani też przedstawiać cośkolwiek, czego nie pragnie.”

Teraz przytoczymy w streszczeniu *działalność* absolutu, jaka wedle Hartmanna⁵⁾ objawia się nam zarówno przy badaniu tajników przyrody jak i dziejów człowieka.

1. „Nieświadome wytwarza i utrzymuje wszelki organizm, nadaje wewnętrzne i zewnętrzne jego uszkodzenia, nadaje celowy kierunek jego ruchom i umożliwia świadomej woli posiłkowanie się organizmem.”
2. „*Nieświadome* obdarza każde stworzenie instynktem do tego wszystkiego co mu jest potrzebném dla utrzymania się, a czego *świadome myślenie* mu nie wystarcza. I tak człowieka obdarza instynk-

1) Podobnie wyraża się Schopenhauer o swoim absolutcie *woli*. Gdy umysł prócz zależności od woli, nuży się nadto przez *działalność* swoją, to *wola*, powiada on, nie zna żadnej fatygi, nigdy też nie ustaje, ale trwa bez przerwy. Porównaj: *Die Welt als Wille u. Vor; Vom Primat des Willens*.

2) Hartmann, l. c. t. II, str. 5.

3) Tenże, l. c. t. II, str. 7.

4) Tenże, l. c. t. II, str. 10.

5) Tenże, l. c. t. I, rozdział XI. *Das Unbewusste und das Bewusstsein in ihrem Werth für das menschliche Leben*.

ktowém rozumieniem wrażeń zmysłowych, instynktowém tworzeniem mowy, instynktem do zakładania państw i wieloma innymi instynktami.”

3. „Drogą popędu płciowego i miłości macierzyńskiej, Nieświadome utrzymuje *gatunki* a przez *wyбір* (Auswahl) w miłości uszlachetnia je, a przytem szlakiem dziejowym prowadzi ono ludzkość i zbliża do celu, jakim jest możliwie wysokie udoskonalenie się.”

4. „Drogą uczucia i przeczucia, Nieświadome kieruje ludźmi w takich czynach, w których niemogliby sobie poradzić z samém myśleniem świadomém.”

5. „Wnikając w myślenie zarówno w przedmiotach wielkiej jak i małej doniosłości, Nieświadome przyspiesza sam proces myśli a drogą mistycyzmu prowadzi ludzi do przeczuwania wyższych, niemystycznych istot.”

6. Wreszcie „Nieświadome uszczęśliwia ludzi obdarzając ich poczuciem piękna i interesem dla dzieł sztuki” ¹⁾.

To cośmy przytoczyli wystarczy zapewne dla przekonania czytelnika, że owe Nieświadome jest absolutem w filozofii Hartmanna. Wszystkie niemal czynności *woli* Schopenhauera, pojęte jako *noumenon*, Hartmann przenosi na *Nieświadome*, z tą jednak różnicą, że Schopenhauer te przejawy swego absolutu uważał za przypadkowe, ślepe, bezcelowe, gdy tymczasem jedném z główniejszych zadań filozofii Nieświadomego jest właśnie wykazanie celowości w naturze i w dziejach ludzkich. To też ci nawet, którzy ze swego stanowiska najbardziej na systemat Hartmanna piorunują (n. p. oficjalni przedstawiciele teologii), zasługę tę przyznają mu powszechnie. Widzenie celowości w naturze i wogóle we wszystkich objawach świata, zwiększyło też jego pesymizm, który, jak niżej zobaczymy (§ 7), nie jest tak bardzo czarnym, a wobec tego ponurego poglądu na świat, jaki Schopenhauer głosił, wygląda stosunkowo nawet pocieszająco i dość ponętnie.

To też czytając traktaty Hartmanna o owym wielkim nieznanym, dziwić się nieraz przychodzi, dlaczego Hartmann tak skrupuła-

¹⁾ Hartmann, *Philosophie des Unbewussten* t. I. str. 355—6.

Co do ostatniego punktu zwracamy uwagę, iż w ogóle wszyscy pesymiści z wyjątkiem Juliusza Bahnsena (*Zur Philosophie der Geschichte*. Berlin 1872) przyznają za jedyną rozkosz prawdziwą, dostępną dla człowieka, za jedyną oazę wśród cierpień świata—zatapianie się w abstrakcyjnym myśleniu i kontemplacji dzieł sztuki. A jeśli Hartmann i na tém polu głosi illuzję, to jednak nie dla wartości wewnętrznej tych rozkoszy, ale dla innych towarzyszących im zwykle stron ujemnych. Bahnsen, najczarniejszy ze wszystkich pesymistów, przeciwnie neguje z zasady wszelkie znaczenie tego rodzaju procesu umysłowego, bo nie widzi żadnej myśli we wszechświecie, żadnego celu rozumnego a ztąd i zatapianie się w abstrakcyjnej krainie myśli uważa za niedorzeczne. Bliższe o tém szczerogóły znajdzie czytelnik w § 7 niniejszego rozdziału.

tnie unika nazwy Boga dla swego absolutu, dlaczego go wprost Bogiem nie nazywa. Prawda, że Hartmann więcj może niż kto inny obawiał się zarzutu antropomorfizmu, ale cóż znaczy unikanie nazwy, gdy rzecz sama, choć pod inną formą, tu występuje. Znajdujemy nawet w *filozofii ducha bezwiednego, ducha nieświadomego*, miejsca, w których temu ostatniemu wręcz przyznaje Hartmann epitety, mogące zatrwóżyć wiernych jego adeptów. I tak temu absolutowi przypisuje się wprost stwarzanie (*Schaffen*) ¹⁾ a nawet i opatrnościowe działanie ²⁾, niemówiąc już o zawsze przyznawanej mu wszechwiedzy, wszechmądrości (*Allweisheit*) ³⁾.

Mówiąc zaś o tożsamości substancji w obu atrybutach bóstwa swego ⁴⁾, Hartmann stara się przedewszystkiem uwydatnić *jedność, nierozdzielność* ⁵⁾ tego absolutu.

Mainländer znowu, jakkolwiek wręcz głosi ateizm i jego *wola* świat przenikająca jest właściwie tylko pozostałością Bożą, odbiciem się woli Bożej (*der Wille Gottes*) we wszechświecie, ale, jak zobaczymy niżej, jest to pozorne tylko usunięcie Boga ze świata. Ateizm jego wywołany chęcią uniknięcia niekonsekwencji Schopenhauera i Hartmanna w głoszeniu *zniknięcia absolutu* (to jest istnienia w najobszerniejszym słowa tego znaczeniu), jest więcj formalnym, aniżeli istotnym, a ztąd nadaje się do bardziej jeszcze wyraźnych niekonsekwencji. Pomijając jednak to, że i w ateistycznym poglądzie na świat Mainländera z konieczności rzeczy widnieje, lubo przezeń nie uznany, absolut; zwróćmy jeszcze uwagę na tę okoliczność, iż łączenie jedności z pojęciem absolutu jest tak niezbędnym, że nawet i ów twórca filozofii wyzwolenia nie mógł tego nie uwydatnić. A lubo Boga wyrugował ze świata, lubo osadził go w dobie transcendentalnej istnienia, lubo wreszcie i w określaniu go był także, podobnie jak Schopenhauer i Hartmann, nader ostrożnym; to przecież mówiąc o Bogu musiał mu przyznać: *jedność, swobodę i bezruch, w przeciwstawieniu do świata nacechowanego: mnogością, koniecznością i ruchem* ⁶⁾.

Otóż wszyscy ci trzej wybitniejsi przedstawiciele pesymizmu filozoficznego, mieli przeświadczenie o konieczności jakiegoś absolutu, a jeśli różnie ten ostatni pojmowali, to przecież przyznawali mu nieo-

¹⁾ Hartmann: *Philosophie des Unbewussten*, 1876. Tom II, str. 399 i 410.

²⁾ Tenze, l. c., t. II, str. 379.

³⁾ Tenze, l. c., t. II, str. 273.

⁴⁾ Tenze, l. c., t. II. C. *Metaphysik des Unbewussten*. Roz. I. *Die Einheit von Wille und Vorstellung im Unbewussten*, nr. 7, str. 10. Roz. XV. *Die identische Substanz beider Attribute*, nr. 4, str. 451.

⁵⁾ Tenze, l. c., t. II, str. 457. *Die untrennbare Einheit beider Attribute*.

⁶⁾ Mainländer: *Philosophie der Erlösung*, str. 107.

dłączną odeń cechę, istotny przymiot: *jedność*. Bo i Mainländer, lubo świat, jako antytezę Boga, nazywa *mno-gością*, to przecież i w téj mnogości jego tkwi *jedność*, jedność celu i harmonia w dążeniu; a że sam tego nie dopatrzył, nie uznał, popełnił błąd nader wielki, który pchnął go na drogę ciągłego przeczenia samemu sobie.

Wszyscy oni wychodzili tym sposobem z punktu widzenia jedynie usprawiedliwionego, a tego koniecznego stadyum wszelkiej filozofii, to jest przyznania absolutu i *jedności* tego Boga własnej ich kreacji—*woli*

Ale czy wytrwali w tém dążeniu?

Bynajmniej, a nawet i wytrwać w żaden sposób nie mogli, mając w myśli swój naprzód już powzięty programat doprowadzenia całego stworzenia do nirwany.

Tak więc wierni wytkniętemu przez się zadaniu stworzenia filozofii nicości, odpowiednie téż wybierają środki; nie pomni jednak na to, że tym sposobem tylko formalnie udowadniają głoszoną przez siebie doktrynę, ale nie zaspakajają wrodzonych myśli naszej wymagań, odnośnie do pojęcia absolutu, jako *wiecznego, co do istnienia i jednolitego co do istoty swojej*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ruch literacki na Łużycach.

PRZEZ

A. J. Parczewskiego.

Niewielki liczebnie lecz duchowo dzielny górnołużycki naród, za wzór służyć może wszystkim, pod względem wewnętrznej siły oporu, przeciw nieprzyjaznym zewnętrznym pierwiastkom. Lubo ze wszech stron otoczony przemożnym niemieckim żywiołem i pozbawiony historyczno-politycznej przeszłości, przedstawia jednak zdumiewający przykład cichego bohaterstwa w gorliwej obronie rodzinnéj mowy i to nie wśród skał i rozpadlin górskich, gdzie łatwiej jest mniejszości odnosić orężne zwycięstwa nad przeważającą większością, lecz na szerokim otwartym gościńcu cywilizacyi, na którym każda walka przy nierównych siłach daleko jest trudniejszą, choć mniej efektowną i dlatego do piękniejszych wieńców daje prawo. Dokładną cyfrę górno-łużyckiego narodu podać jest dziś bardzo trudno; to tylko pewna, że nie

przechodzi ona stu tysięcy lub też przewyższa je bardzo niewiele, więc przedstawia mało co więcej niż przeciętną cyfrę, któregośkolwiek z naszych lepiej zaludnionych powiatów. Jestto ludność liczebnie bardzo niewielka, a jednakże wychodzi wśród niej aż sześć czasopism peryodycznych. Ostatnia ta cyfra świadczy bardzo wymownie o wysokim stopniu oświaty ludowej. Najpoważniejszym przedstawicielem peryodycznej literatury łużyckiej jest: *Časopis maticy serbskeje*, organ nie od dziś dopiero datujący, bo zaczął wychodzić jeszcze w r. 1848 w epoce narodowego odrodzenia, a w różnych rocznikach swych posiada cenne, samodzielnie opracowane rozprawy lingwistycznej i historycznej treści, np. Pfuła: *Pomniki Słowian polabskich*, Jenča *Opowiadanie o królach serbskich*, *Dzieje mowy i narodowości serbskiej*; Dućmana: *Pismienictwo Serbów katolików* i w ogóle pracami w sobie pomieszczonemi przyczyniło się wiele do wydoskonalenia mowy rodzinnej w gramatycznym i leksykograficznym względzie. Na kartach jego zaznaczyli swe imiona prawie wszyscy współcześni uczeni i literaci łużyccy, więc: Buk, Cyż, Dućman, Fiedler, Hornik, Jakób, Jenč, Imiš, Laras, Pfuł, Rola, Rostok, Seiler, Smoler, Wiela, Wehla, z których ostatni wykłada obecnie język górno-łużycki w gimnazjum Budyszyńskim. Czasopismo posiada 300 prenumeratorów, a wychodzi pod redakcją ks. Michała Hornika, staraniem Towarzystwa Maticy serbskiej, które wydaje nadto inne książki swego nakładu. Od r. 1855 drukuje także stale kalendarz, rozchodzący się w liczbie 5,000 egzemplarzy, inny znowu kalendarz wydawany dla katolików przez Towarzystwo SS. Cyrylla i Metodego wychodzi zwykle w 800—1000 egzemplarzy. Aby dać wyobrażenie o pożytecznej działalności tej instytucji, dość tylko przytoczyć, iż według jednego z dawniejszych nieco sprawozdań, w ciągu 25 lat od początku istnienia, rozrzuciła ona między lud łużycki 100,000 egzemplarzy książek rozmaitej treści. Pożądanem jest, aby te usiłowania bratniego ludu i u nas także znalazły sympatyę, którą czynem możemy ujawnić, posyłając na rzecz Towarzystwa zasiłki pieniężne, choćby tylko zwykłe wkłady członków, wynoszące zaledwie cztery marki rocznie. Godzi się także, aby nasi nakładcy i wydawcy książek pamiętali o zasilaniu księgozbioru Maticy serbskiej, w czem innym ludom słowiańskim, mianowicie Czechom, daliśmy się wyprzedzić ¹⁾.

W zeszłym roku wydało staraniem swém Towarzystwo książkę bardzo sympatycznej treści; jest nią: *Towarzystwi śpiewnik dla ludu serbskiego*, ułożony przez K. A. Fiedlera (*Towarzystwi śpiewnik za serbski lud, zestawił K. A. Fiedler*); książki tego rodzaju, ułożonej na wzór podobnej czeskiej, wydanej w Pradze przez Pichla i Zwonařa, nasza ludowa literatura nie posiada dotąd, a przydałaby się bardzo. Są w niej ludowe pieśni, zaczerpnięte z znanego zbioru Smolera, są i pieśni współczesnych literatów łużyckich: Pfuła, Cyża, Wehli, a przede-wszystkiem ulubionego poety Seilera, który w r. 1872 jako pastor

¹⁾ Adres: An den Verein der Matica Serbska in Bautzen (Sachsen).

w Łazie życie zakończył, a wszędzie dodane melodye, bądź ludowe, bądźto od innych ludów słowiańskich przejęte, więc czeskie, polskie, serbskie (z nad Dunaju), bądź też utworu narodowego muzyka łużyckiego Kocora. *Spiewnik* zaczyna się narodowym chorałem: *Lišće Serbstwo niezhubjene*, śpiewane na dobrze znaną nam nutę, na podobieństwo której śpiewają także Czesi: *Hej Slovane*. Niektóre melodye Kocora są wielkiéj, wzruszającéj do głébi serca rzewności, np. śpiew: *Serbski kraj a lud* do słów Seilera, zaczynających się: *Ja znaju kraj*.

Wydanie narodowego śpiewnika w każdym kraju jest potrzebém, dla Serbów łużyckich jest pierwszej wagi. „W życiu narodowém, którego budzenie i utrwalanie jest właśnie zadaniem Macicy serbskiéj, mówi w przedmowie swéj Fiedler, śpiew jest wielce doniosłego znaczenia. Śpiew czyni nam język ojczysty miłym i drogim i budzi w sercu miłość do ziemi rodzinnéj. Dlatego może on ludowi serbskiemu dopomóżyć wiele, do rozniesienia wzrostu i utrzymania narodowego ducha łużyckiego. Śpiew kojarzy dusze w serdeczne grono, a przez stowarzyszenia śpiewaków, przez zgromadzenia i koła, w których pieśń panuje, budzi się, rośnie i umacnia dzielny duch bratni, przyjaźń wierna i miłość między ludźmi. To też bezwątpienia serbskie uroczystości śpiewackie, należą do najważniejszych i najdzielniejszych środków, których słynni patryoci serbscy używali celem budzenia i umacniania narodowego życia wśród naszego kochanego ludu serbskiego. One to otworzyły piękne, krzepiące źródło, z którego dobroczynna rosa spłynęła na błonia drogich naszych Łużyc. Jakież radosne życie serbskie zagrało przy odgłosie pieśni serbskich obchodów śpiewackich! Jakąż krasą młodości ozdobiły się piękne Łużyce! Niechże więc krzewi się serbski śpiew narodowy; jest on koniecznym do utrzymania narodowości serbskiéj: póki w naszych Łużycach narodowe serbskie pieśni rozlegać się będą, póty Serbowie zostaną Serbami.”

W takichto gorących słowach potrafią przemawiać Łużycanie, łączymy i my także z całego serca życzenia bratniemu narodowi i powtarzamy z Fiedlerem: „Wesoło graj serbska pieśń w szkołach i domach, w dolinach i górach, wśród pól i lasów, na wieczornicach i biesiadach, na weselach i w podróży, słowem wszędzie, gdzie tylko biją miłujące serbski naród serca.”

Literackim pismem lżejszego pokroju jest: *Lužičan*, wychodzący raz na miesiąc, pod redakcją Smolera i o ile mi wiadomo, spodziewający się w roku bieżącym około 500 prenumeratorów. *Lužičan* jest nawet pismem obrazkowym, bo zamieszcza portrety współczesnych znakomitości różnych narodów słowiańskich. W drugim numerze tegorocznym oglądamy portret i życiorys serbskiego (z nad Dunaju) uczonego Stojana Nowakowicza; w trzecim numerze ma być portret Bleiweisa, wielce zasłużonego dla narodowości swéj Stowinca; w czwartym Kraszewskiego, o którego jubileuszowém uczczeniu nie zapomnieli i Łużycanie: przy sposobności imienin, obok innych telegramów pozdrowiał go i telegram z Budyszyna, a ks. Hornik wypowiedział w kół-

ku łużyckiem odczyt o stanowisku i zasługach jubilata. Jak widzimy, w wydawnictwie tego czasopisma zaszło pewne opóźnienie, spowodował je natłok zajęć w drukarni i o ruchu literackim na Łużycach nie należy z tego źle wróżyć. Liczba czasopism nie ubywa, owszem w roku zeszłym przybył nowy miesięcznik literacki: *Lipa serbska*. Jestto głównie organ młodzieży łużyckiej, liczy 500 prenumeratorów i wychodzi pod nominalnym sterem osiwiątego w trudach i pracy Smolera; czas jakiś redagował ją student filozofii E. Muka, niedawno w roku zeszłym za rozprawę z filologii klasycznej doktoryzowany w Lipsku. Smoler jest także rzeczywistym redaktorem polityczno beletrystycznego tygodnika: *Serbskie nowiny*. Pismo to posiada 1,600 prenumeratorów. W religijnym kierunku pracują dwa czasopisma, dla protestantów: *Missyonski Posol* (redaktor Rychtar, raz na miesiąc, 2,200 prenumeratorów); dla katolików: *Katholski Posol* (pod redakcją Michała Roli, dwa razy miesięcznie, 700 prenumeratorów). Ostatnia cyfra jest stosunkowo bardzo wysoka, ile że cała ludność łużycka wyznania katolickiego, skupiona w kilku parafiach około Budyszyna nie przechodzi dwunastu tysięcy. Oba powyższe czasopisma są organami właściwych stowarzyszeń, które około 1862 r. w celu wydawania książek treści religijnej założono, a mianowicie dla protestantów: *Ewangelisko-lutherske knihowne towarstwo*, obecnie pod przewodnictwem pastora Imiśa, dla katolików zaś Towarzystwo SS. Cyrylla i Metodego pod prezydencją kanonika Kaćanka. Na rok bieżący zapowiedzianem było jeszcze siódme z rzędu czasopismo treści rolniczej pod nazwą: *Serbski Hospodar* w Wojerecach (Hojerswerda), dotąd jednak wychodzić nie zaczęło. A szkoda, bo lud łużycki jest przeważnie ludem rolniczym, więc gospodarskie pismo w narodowym języku byłoby bardzo pożądanem.

Nie tak dobrze dzieje się dotąd na dolnych Łużycach; tam jeszcze wśród zapadłych nizin nadsprewiańskich, gdzie niegdyś według ludowego podania ostatni niepodległy władca Łużyc przebywać miał; w głębokim śnie pogrążony spoczywa lud łużycki, tam dotąd jeszcze syn chłopski, gdy porzuci chatę ojców i ukończy gimnazjum lub uniwersytet, zapomina mowy ojczystej i przerabia się na Niemca. Smutny fakt, który na górnych Łużycach przestał być już ogólnem prawidłem. Na dolnych Łużycach niema ani księgarni krajowej, ani też dzielnych pracowników, którzyby trud życia całego sprawie mowy rodzinnej poświęcili. Zapomniany ten i zaniedbany lud powinien nas przecież żywo interesować, ile że bliższy nam jeszcze od górno-łużyckiego, a język jego podług zdania Aleksandra Petrowa jest pod słownikowym względem zupełnie do polskiego podobny ¹⁾. Wprawdzie wychodzi w Chociebużu: *Bramborski serbski casnik*, redagowany przez Śwełę, lecz z niego niewielka pociecha; prenumeratorów ma 500.

¹⁾ *Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydz. filolog. Akademii; t. III, str. 76.*

W ostatnich czasach lubo tak ciężkich zkądinąd i tu przecież, w tych nadsprewiańskich dolinach czuć pewien zwrot ku lepszemu. Pomyślano przedewszystkiém o poprawniejszym pod względem języka wydaniu śpiewów kościelnych. Było ich dwa zbiory: jeden mniejszy, drugi większy; mniejszy wydawano dwa, większy ośm razy; wszystkie te nakłady wyczerpane i teraz zachodzi potrzeba nowego. Otóż z inicyatywy pastora Broniśa w Chociebużu zawiązaną została w tym celu komisya i zabrano się do roboty, którą oby uwieńczył pomyślny skutek. Z prawdziwą radością możemy także zaznaczyć kilka pomyślnych objawów, które na dolnych Łużycach poraz pierwszy miały miejsce. Oto pastor Fengler w Chociebużu, wydawca niemieckiego religijnego czasopisma, wyuczył się po serbsku i w wydanym na rok bieżący kalendarzu niemieckim zamieścił siedm stron tekstu łużyckiego, język w nim co prawda niepoprawny, lecz czasem może się polepszyć. Jeszcze drugi fakt, który również poraz pierwszy miał miejsce: w dniu 5 grudnia zeszłego roku, pastor Broniś w Driowku obchodził 90 rocznicę urodzin; członkowie wybranej w celu wydania śpiewnika komisji, przystali mu telegram z powinszowaniem, a było pierwszy według *Casnika*, jaki w łużyckim języku z Chociebuża wysłano. Skromne to początki, lecz przyszłość może być lepszą i nadziei w nią nie należy tracić; potrzeba tylko chociażby jednego człowieka złotego serca i żelaznej woli, któryby w tamtych stronach osiadł, a zaznajomiwszy się z językiem i obyczajem, oddał się bezinteresownie pracy około krzewienia mowy i literatury dolno-łużyckiej.

13 czerwca 1879 r.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Babylonian Literature: Lectures delivered at the Royal Institution by A. H. Sayee. London, Bagsters 1877.

Sayee, znakomity profesor filologii porównawczej w Oxfordzie i autor wielu głośnych prac naukowych, ogłosił pod powyższym tytułem: *Odczyty o literaturze babilońskiej*, przetłómaczone prawie jednocześnie na język niemiecki przez Karola Friederici ¹⁾. Ze względu na niezmiernie interesującą treść tych odczytów uważamy za pożyteczne bliżej z nimi czytelników naszych zapoznać.

Do najcudowniejszych zdobyczy nowożytnéj wiedzy należy niewątpliwie odcyfrowanie klinowych napisów asyryjskich i babilońskich. Przed stu laty, nawet nie podejrzywano ich istnienia, a znaki na pieczęciach i ceglach babilońskich, które podróżnicy znajdowali, uważano prosto za ozdoby: nikt się w nich pisma nie domyślał.

Pierwszy Niebuhr ogłosił dokładne napisy klinowe perskie, której to pracy wzrok poświęcił; lecz dopiero w początkach bieżącego stulecia Grotefend, młody uczonec z Bonn, zrobił odkrycie, które odąd niby kłębek Aryadny prowadziło uczonych po labiryncie tajemnic klinowego pisma. Wykazał on, że perskie klinowe legendy napisane zostały alfabetem z czterdziestu głosek złożonym, i zdołał odczytać w nich nazwiska: Daryusza, Kserksesesa, Artakserksesesa, Cyrusa a wreszcie i powtarzany często wyraz *Khshayathiya*, znaczący w starożytnéj zendzkiej persów mowie *król*. Tym sposobem gieniusz Grotefenda założył trwałe podwaliny do dalszych odkryć, które francuzki uczonec Burnouf ustaleniem filologii zendzkiej nie mało przyszłym badaczom ułatwił, tak, że Lassen wreszcie ułożył prawie zupełny alfabet z 39 znaków i przetłómaczył znane wówczas napisy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie młody angielski oficer, dzisiejszy Henryk Rawlinson, niezależnie od Lassena, przyszedł do tych samych rezultatów. Tym sposobem klucz do odcyfrowania napisów Daryusza i jego następców został wynaleziony i pozostało tylko dokonać rozpoczętego dzieła.

Jednocześnie prawie nowa praca oczekiwiała badaczy. Okrom perskich klinowych legend znalazły się i dwie inne również klinowymi znakami napisane, które jednak różniły się znacznie od pisma przez

¹⁾ *Babylonische Literatur Vortrāge gehalten in der Royal Institution London.* Leipzig, 1878.

perskich pisarzy używanego. Pojedyncze wyrazy nie były od siebie oddzielone, a liczba znaków zdawała się być prawie niewyczerpaną. Wkrótce jednak i te nowe trudności zwyciężyli uczeni, okazawszy po mozolnych usiłowaniach, że nowo odkryte pisma były zabytkiem języka babilońskiego.

Na miejscu, gdzie stała starożytna Niniwa, francuz Botto i angielski Layard robili wytrwałe poszukiwania, uwieńczone odkryciem zakopanego miasta z jego pałacami, rzezbami i pomnikami starego życia. Wkrótce też przekonano się ze zdziwieniem, że odkryte na ścianach napisy były tym samym pismem klinowym i w tymże języku, w jakim ułożone były semityckie napisy perskich tekstów. Niektóre napisy klinowe Babilonii znajdowały się już w Anglii, a jakkolwiek prawie część większa używanych w niej znaków, różniła się cokolwiek od znaków Niniwy i Bechistun; to jednakże zestawienie tekstów pozwoliło doktorowi Hincks odczytać nazwisko Nabukaduezara i napisy na jego pałacach.

Zaledwie jednak pierwsze wypukłorzeźby Niniwy obudziły zdumienie publiki i zaledwie wynaleziony został klucz do odczytania napisów Nabukaduezara, już dwa nader ciekawe odkrycia zostały dokonane. Pierwszym z nich było istnienie biblioteki w Niniwie, nie z książek wprawdzie ale z tablic z wypalonej gliny, które zawierały w sobie rzeczywisty zbiór dzieł w rozmaitych gałęziach wiedzy, jaką Assyryjczycy uprawiali. Drugą zdobyczą było odkrycie stariej mowy, która okazała się być językiem pierwotnych Chaldejczyków, tych budowniczych Babilonii, wynalazców klinowego pisma, praocjów sztuki i cywilizacji, której Assyryjczycy byli tylko dziedzicami i naśladowcami. Prawdopodobnie mowa ta już na siedemnaście wieków przed Chrystusem była martwa. Najdawniejsi królowie Chaldei nazywali się królami z Sumir i Akkad, albo panami kraju Akkadyjczyków, którzy odegrali bardzo poważną rolę w intelektualnej historii ludzkości; onito bowiem pierwsze błyski cywilizacji do zachodniej Azji przynieśli. Aż do nich możemy odnieść sztuki, nauki, religijne podania i filozofią nie tylko assyryjczyków lecz fenicyan, aramejczyków a nawet hebreów. Chaldei również zawdzięcza Grecya zarody swojej sztuki, jak niemniej wybitniejsze postacie bogów i bohaterów: budowle na słupach dosięgły najwyższego rozwinięcia w Babilonii, a grecki Herkules ze swemi dwunastu pracami ma swój pierwowzór w bohaterze wielkiego chaldejskiego eposu. Prawie cała assyryjska literatura pochodzi z Akkad i została przetłómaczona z umarłego języka pierwotnej Chaldei. Assyryjczycy słusznie zostali nazwani Rzymianami stariej Azji; byli oni narodem żołnierzy i prawodawców, a nie myślicieli i uczonych. Ich sztuka, nauka, prawo, literatura z Babilonii pochodzą, nawet ich świątynie, na wzór babilońskich, budowały się z cegieł, chociaż Assyrya posiadała podostatkiem kamienia.

Akkadyjczycy posiadali wiele bibliotek, z których najświetniejsza była w mieście Agane, założonem przez Sargana I, na siedemnaście wie-

ków przed Chrystusem. Dla tej biblioteki ułożone było dzieło o astronomii i astrologii w 72 księgach, które Berosus na język grecki przełożył. Założyciel tej biblioteki Sargon był pierwszym zapewne semityckim zdobywcą, opiekującym się literaturą. Język akkadyjski przestał już być mową narodu i rozumiany był tylko przez uczonych, jak łacina w średnich wiekach. Książki więc, które do nowych bibliotek sprowadzano, były albo tłumaczeniem akkadyjskich oryginałów, albo oparte na akkadyjskich tekstach i technicznymi wyrazami stariej mowy przepełnione. Każda tablica w bibliotece była wciągnięta do katalogu, miała stałe miejsce, stosownie do treści i swój numer, który czytelnik napisać i podać bibliotekarzowi musiał, skoro jakiej tablicy do czytania zażądał.

Pierwsza assyryjska biblioteka była w mieście Kalah, zbudowaną przez Salmanassara I około r. 1300 przed Chrystusem; lecz dopiero Assurbanipal połączył w bibliotece Niniwy wszystkie najcenniejsze skarby Babilonii i Assyrii. Stare dzieła były przepisywane i tłumaczone, jak również tworzono nowe, już to w assyryjskiej już w akkadyjskiej umarłej mowie, której studia znów się ożywiły. Biblioteka ta dostarczyła Europejczykom najwięcej wiadomości o literaturze oraz historii Babilonii i Assyrii. Pozostałe z niej ułamki tablic odkrył Layard w r. 1850 i kilka skrzyń napełnionych niemi do Anglii wysłał. H. Rawlinson zawiązkował pierwszy o ich znaczeniu, lecz dopiero George Smiths zajął się uporządkowaniem i ułożeniem tych zdobyczy w Britsch-Museum a następnie wyprawą po odszukanie reszty biblioteki Assurbanipala (1878). Wiele z tych tablic jest obecnie bez wartości, gdyż części, któreby je uzupełniły, leżą jeszcze zagrzebane w oczyszczonej ziemi, gdy znów inne odkrywają nam tylko połowę swjej historii i tam się właśnie zatrzymują, gdzie ciąg dalszy byłby najbardziej pożądany.

Bądźcobaż od biblioteki Assurbanipala oczekiwać teraz możemy wielu ważnych wiadomości o literaturze babilońskiej. Obejmuje ona dzieła o rozmaitszych przedmiotach: historyczne i mitologiczne epizody, religijne podania, prawne, geograficzne, astronomiczne i astrologiczne rozprawy, poetyczne utwory, poszukiwania językowe, spisy kamieni, drzew i zwierząt, kopie umów, rachunków handlowych, próśb podawanych do króla i książęcych rozporządzeń. Większa część religijnych i poetycznych utworów są to tłumaczenia z akkadyjskiego; tekst pierwotny podany jest obok przekładu assyryjskiego. Historia babilońska ma bardzo szerokie tło mytyczne; przed potopem miało tu panować dziesięciu królów, których rządy 432,000 lat trwały. Ten olbrzymi okres czasu wypełniają czyny bohaterów, stanowiące oddzielny cykl podań.

Xisuthrus, Etanna, Tammuz i Izdubar byli to czterej bohaterowie, których apoteozowali z upodobaniem pisarze i poeci historycznego okresu. Izdubar szczególnie, utożsamiony słusznie przez Smitha z Nimrodem, był bohaterem niezliczonych legend i śpiewów. Działalność

jego stanowi łączące spoiwo w wielkim poemacie bohater'skim Babilonii, obejmującym historią przedpotopową wraz z arką, na której ocalał Xisuthrus. Poemat składa się z ksiąg dwunastu, podług pewnej astronomicznej zasady ułożonych, gdyż każda z nich odpowiada pewnemu stałemu znakowi Zodyaku i miesiącowi akkadyjskiego kalendarza.

Izdubar przedstawia się jako bohater słońca. Jego dwanaście przygód, które oznaczają bieg słońca w dwunastu miesiącach roku, wskazują wyraźnie, że bohater ten jest prototypem greckiego Heraklesa. Ten ostatni jest Melkartem z Tyru, gdzie świątynia tego bożka słońca była już założona na 2,300 lat przed bytnością Herodota w tém handlowém mieście. Historia więc Heraklesa była tylko powtarzaniem starożytnego Izdubara, Hlabani, powiernik chaldejskiego bohatera, to Kentaur Kheiron, nauczyciel Heraklesa, gdyż Kheiron był synem Kronosa, a Kronos to babiloński Hea, stwórca Hea-banisa. Lew, którego Izdubar zabił, to lew nemejski; byk skrzydlaty, którego posłał Anu dla pomśzczenia zniewagi swój córki, jest bykiem z Krety; tyran Kumbala przez Izdubara zamordowany, to tyran Geryon; przyniesione z drzew leśnych z téj strony bramy słońca klejnoty, to jabłka Hesperyd, a śmiertelna choroba Izdubara niczem innym nie jest jak chorobą, z zatrutój odzieży Nessusa powstałą. Z porównania tego widzimy, że zanim poeci greccy snuć zaczęli tęczową przedzę swój mitologii, prawdziwi akkadyjscy wieszczowie już tenże sam materyał obrobili w Izdubarowym eposie, który jest rzeczywiście zdumiewającym składem mytów i legend.

Xisuthrus (słońce życia), bohater potopu, był niemięj sławny w babilońskiej legendzie jak Izdubar. Potopowe przygody tego bohatera, który zbudował arkę 600 łokci długą i 60 szeroką, ocalał na nią; są bliźnięco podobne do biblijnej historii Noego. W dalszym ciągu saga opowiada dzieje walki identycznie z opowiadaniem greckich pisarzy o zapasach Tytana, Prometeusza i Ogyesa przeciw Kronosowi czyli Hei; dalej idzie biblijna historia o wieży Babel, ze wszystkimi jej akcesoryami i walka olbrzymów z bogami.

Z pomiędzy wielu poezyi, niezmiernie ważnych dla mitologii i historii religii, Sayee przytacza jedną, której przedmiot należy do mitycznej zoologii, a przypomina grecki myt o Tereusie i Philomeli z powodu przemiany króla Lugal-turda w rodzaj ptaka drapieżnego, który kradnąc „ojcu bogów” „koronę jego majestatu” „tablicę przyszłości” i jego „tajemnice” jest znów najwymowniejszym pierwowzorem greckiego Prometeusza. Wpływ tych mytów, które poeci turańscy Babilonii w kunsztowną szatę odziewali, trwał jeszcze bardzo długo i potem, gdy już mowa w której się poematy owe skryształizowały, zamarła. Przeszedłszy z jednéj strony na Greków, z drugiećj na Fenicyan i Hebreów, stały się one tym sposobem spuścizną całej ucywilizowanój ludzkości. Oznaczyć ściśle wiek ich zatrudno; w każdym jednak razie musiały one powstać na 20 wieków przed Chrystusem, gdyż najstarożytniejsze glemmy jakie posiada Europa, przedstawiają przygody Izdubara i wiele in-

nych mytów. Tym sposobem rozkwit poezji akkadyjskiej można śmiało odnieść na 4000 lat przed Chr., skoro myty natury straciwszy posiadane kiedyś rzeczywiste znaczenie, zamglily się z czasem i zostały wreszcie przedmiotem niezliczonych ballad i hymnów. Część starochaldejskiej literatury, którą od pisarzy Assurbanipala posiadamy, jeszcze dalej sięga.

Przed epiczną epoką Babilonii istniał okres, który odpowiada wedyjskiej epoce Indyan, to jest doba hymnów, układanych w języku akkadyjskim na cześć bogów. Powstały one w tym czasie, kiedy pierwotny szamanizm Akkadyjczyków ustąpił miejsca ubóstwieniu sił abstrakcyjnych. Prawie wszystkie frazesy i metafory sanskryckich hymnów Rig-wedy, spotykamy w tych pochwalnych pieśniach, co dowodzi, że człowiek wszędzie przy jednakowych warunkach życia, tym samym kolorze skóry i kształcie czaszki, mniej więcej podług jednakowej formy uzewnętrzniał swoje myśli. Weźmy np. hymn do słońca, a przekonamy się, że forma jego nie wiele się różni od hebrajskich psalmów. Oto jak poeta zaczyna:

„O, Pani!... rozjaśnicielu ciemności!... Litościwy Boże, który upadłych podnosisz i słabych wspierasz!... W świetle twojem błyszczą wielcy bogowie!... Duchy ziemi... wszyscy korzą się przed Twem spojrzeniem!...” Mnóstwo głów się zgina przed światłem południowego słońca i t. d.

Jeszcze więcej budzi zdumienia następujący psalm pokutny:

„O, mój Boże!... przestępstwo moje wielkie i liczne moje grzechy!...
 O, bogini moja!... Przewinienie moje wielkie i liczne moje grzechy!...
 O, mój Boże!... Ty wiesz, czego ja nie wiedziałem; moje przestępstwa
 [wielkie i liczne grzechy moje!...
 Przystępstw, które popełniłem—nie znałem; grzechów których się dopu-
 [ściłem—nie znałem.
 Rzecz zakazaną zjadłem;... na rzecz zakazaną wstąpiłem!...
 Mój Bóg w gniewie swojego serca ukarał mię; Bóg w silę swego serca
 [zwyciężył mię!...
 Bogini skarała mię niedolą i pogrzyżała w boleści!...
 Ległem na ziemi i nikt mię nie wziął za rękę!... Płakałem, a rąk moich
 [nikt nie trzymał!...
 Krzyczałem głośno—nie było nikogo, ktoby mię chciał wysłuchać!...
 Bogu oddałem swe nieszczęście, moję modlitwę!... Jak długo, o, mój Bo-
 [że! mam cierpieć?...”

Niektóre z hymnów opiewają o czarodziejskich środkach, o mistycznych formułach, które chorym zdrowie przywracały; inne opisują jak grzesznik swoje najdroższe i jedyne dziecko za grzechy duszy swój oddać musi: „głowę swego dziecka za własną głowę, twarz swego dziecka za twarz własną;” przyczem dowiadujemy się, że niewinne ofiary ogniem pochłaniał. Kult Molocha tedy nie jest semityckim wynalazkiem,

lecz dostał się Semitom od turańskiej ludności Chaldei, jak wiele innych rzeczy.

Na podobieństwo Rig-wedy istniały i w Babilonii zbiory hymnów, które zczasem stały się modlitewnikami akkadyjskich kościołów. Oprócz tego były o wiele starsze zbiory magicznych formuł i zaklęć, odnoszących się do pierwotnego kultu szamańskiego, które przez długi czas między niższymi klasami nie straciły wartości, gdyż jak wiemy, czarodziejstwo, magia, astrologia, jeszcze w pałacach cesarskiego Rzymu były jako zabytki z czasów turańskiej Babilonii przez Chaldejczyków uprawiane, a przesady i zabobony u ciemnych ludzi do dziś dnia mają znaczenie. Jednakże wśród fałszywych nauk starożytnéj Chaldei, były również i zarody prawdziwéj wiedzy i wspaniałych odkryć, które do dzisiaj przetrwały.

Słusznie pisarze klasyczni nazwali ojczyzną astronomii Babilonią, która jest też rodzinnym krajem matematyki i pierwszego porządnego kalendarza. Niektóre tablice w brytańskiem Muzeum zawierają ułamki, inne kwadraty i sześciiany. W każdym mieście istniały obserwatoria, które co dwa tygodnie przesyłały swe spostrzeżenia królowi. Tak zwane „obserwacye Bela” w 72 księgach były bardzo popularne. Dzieło to było od czasu do czasu uzupełniane podług nowych obserwacyi. Tak np: przy rozdziale o kometach spotykamy dodatek, że gdy w r. 1150 przed Chr. Nabukadnezar szedł na wojnę, ujrzano kometa o jasnym jak dzień cielsku, które zakończone było podobnym do żądła skorpiona ogonem. Posuwała się ona z północy na południe i uważana była za wróżbę nieszczęść. W rzeczywistości „obserwacye Bela” zamiast dążyć do rozstrzygnięcia astronomicznych problematów, prowadziły raczej na astrologiczne manowce.

Akkadyjczykom zawdzięczamy znaki zodyaku i dnie tygodnia. Niebo podzielone było na cztery części, których przebieg cztery pory roku oznaczały; rok zaś składał się z 12 miesięcy albo 360 dni. Dnie tygodnia miały nazwy od słońca, księżyca i pięciu planet; 7, 14, 21 i 28 dni miesiąca zwąły się Sabbath *v.* Rasttag, w czasie których jedzenie gotowanych owoców i mięsa, zmiana odzieży, noszenie białych sukien, jeżdżenie wozem wojennym, mustrowanie wojska i przyjmowanie leków było nawet królom wzbronione. Miesiące po akkadyjsku nazywały się podług znaków zodyaku, a nasz marzec, assyryjki *Nizan* był pierwszym. Legenda mówi, że w tym miesiącu Bel swego jedynego syna na ofiarę poświęcił, co nam przypomina ofiarę Abrahama. Ułamki globusów świadczą, że usiłowano przenieść niebo na mapę i obrazy gwiazd ułożyć. Z tych fragmentów widać, że równik na 240, a ekliptyka na 360 stopni podzielona była. Z wyjątkiem ziemi znano wówczas tylko pięć planet.

Prawodawstwo było już dość rozwinięte; pan krzywdzący niewolników, ojciec opuszczający dzieci, syn wypierający się rodziców, ponoszą muij lub więcej surowe kary, a żony wiarołomne topią się.

Ponieważ rząd był najściślej z Kościołem połączony, przeto n. p. grabież świątyni do najcięższych występków liczona była.

Handel był bardzo rozwinięty. W VII i VIII wieku przed Chr. Niniwa stanowiła środkowy punkt handlu i miała swoje stowarzyszenia kupieckie w Indjach, na Wschodzie i prawdopodobnie w Tartessus na Zachodzie. Wiele istnieje aktów handlowych z tego czasu. Między innymi zwracają na siebie uwagę: akt sprzedaży córki przez ojca i braci za 100 złotych, sprzedaż domu w Niniwie w dalszym punkcie miasta za 360 złotych; sprzedaż trzech żydów przez Fenicyanina za tysiąc osiemdziesiąt złp. Spotykamy także akty wypożyczenia srebrnych, żelaznych i innych metalowych przedmiotów na procent, na którychto dokumentach wierzyciel, dłużnik i sędzia wy-ciskali swe pieczęcie.

Upodobanie w handlu nie wyrugowało zajęć rolniczych, które także były dość rozwinięte, jak o tém świadczy znaczna liczba najrozmaitszych narzędzi gospodarskich, których nazwy do nas doszły. Zajmowano się także urządzeniem ogrodów owocowych; wołów używano do gospodarstwa, a koni do polowania i wojny.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść interesujących odczytów p. Sayee, który słusznie twierdzi, że te szczątki duchowej spuścizny Babilończyków, niezależnie od swęj literackięj wartości, którą naturalnie specjaliści tylko ocenić mogą, są nieocenione dla studyów lingwistycznych, historycznych i religijnych ¹⁾. Kulturę i podania Akkadyjczyków odziedzyczył Semita, a następnie Grecy, Rzymianie i świat współczesny. Wiele kwestyi, ciemnych dotąd w mitologii znajduje teraz wyjaśnienie, nie jedna obyczajowa i religijna zagadka zostaje z łatwością rozwiązana, gdyż tym sposobem sięgamy do źródła cywilizacji zachodnięj Azji. Gramatyczne i leksykograficzne dzieła w bibliotece Niniwy są dla nas szczególnie interesujące, gdyż przedstawiają najwcześniejsze próby w tym rodzaju. Powtarzane przez nas zadanie, że „nic nowego pod słońcem,” mówi autor, zamykając swą pracę, sprawdza się codzięń nowemi odkryciami w Babilonii i Egipcie; nie jeden z dzisiejszych „nowych wynalazków” znany był już nad brzegami Tygru i Eufratu przed 40 wiekami.

Zdobytcze filologii porównawczęj na dziewięćm polu klinowych zabytków starożytnęj literatury są jeszcze wprawdzie bardzo skromne, lecz na przyszłość niezmiernie wiele obiecują. Z tęj strony śmiało wyczekiwać może nauka niepospolitych dla siebie rezultatów. Ileż cudownych tajemnic w tych odwiecznych zabytkach, jakie niewyczerpane źródło faktów, idei, dokumentów i wyjaśnień!... Lecz jeżeli przypomnimy sobie, że autorowie tych tajemnicznych tablic pisali na wszystkich murach swoich świątyni, na każdęj cegle swych pałaców, na

¹⁾ Znaczenie Assyriologii dla porównawczęj historii religii wykazał prof. holenderski Tide w ciekawęj rozprawie p. t. *Die Assyriologie und ihre Ergebnisse für die vergleichende Religionsgeschichte*. Leipzig.

klejnotach żon swoich i na amuletach dzieci; jeżeli pomyślimy, że n. p. roczniki Assyrii, t. j. ogrom napisów lapidarnych formują wzgórze, z których główne ma przeszło dwadzieścia metrów wysokości u podstawy i dwa kilometry obwodu i że kilka podobnych zapasów jak *Birs Nimrud Mondjellibeh, El-Kasz*, spotyka się wśród pustyni; jedynym słowem jeśli zwrócimy uwagę na te olbrzymie bogactwa poetyczne, historyczne i legendowe, jakie dotąd w łonie piasków spoczywają: przyjdziemy niewątpliwie do przekonania, że trzeba jeszcze pracowników uczonych wielu pokoleń, zanim te wszystkie skarby zostaną dla nowożytniej nauki dokładnie zeksplloatowane. Każdy krok w tym kierunku interesować nas musi; więc też polecamy czytelnikom ciekawe odczyty Saye'go, a ciekawszych odsyłamy jeszcze i do tłumaczeń Opperta, których interesujące próbki liryczne starożytnej Chaldei, w II tomie „Biblioteki wschodniej” wydrukował ¹⁾.

J. A. Świącioki.

O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych, oraz umiejętnym ich poszukiwaniu (dwa odczyty publiczne w Muzeum techniczno-przemysłowym w Krakowie). Przez A. Kirkora, przewodniczącego sekcji wykopalisk kom. archeolog. Akad. Umiejęt. Kraków 1878 r. (w 8-ce, str. 30).

Autor, znany już oddawna z badań archeologicznych, które dokonywa rok rocznie, jako delegat z ramienia Akademii Umiejętności w Krakowie, na początku pierwszego odczytu, mówiąc o poszanowaniu zabytków przeszłości, ze smutkiem wspomina ileto pamiątek dla nauki zaginęło przez nieświadomość i brak potrzebnej wiedzy.

Długi przywodzi szereg niszczenia drogich pomników przeszłości. Tak z barbarzyńskiej ręki zniszczonym został posąg bałwochwalczy, tak groby kamienne zużytkowano do nowych budowli wiejskich, a urny z nich wydobyte i zabytki cenne poniszczono nieoględnie. Ale ten popęd ich niszczenia ustaje, dzięki rozszerzającej się wiedzy o ich ważności. Sam autor wyraża: „Z pewną dumą powiedzieć możemy, że w okolicach gdzieśmy poszukiwania robili, niekiedy z uśmiechem, prawie z politowaniem spotykane, następnie odczute i zrozumiane, tam żaden zabytek nie zaginie.”

Do najstarszych zabytków na ziemi naszej, należą: jaskinie, pieczary i grotty. Mamy jaskinie w skałach przeważnie wapiennych, niektóre bardzo obszerne, składające się z kilku kurytarzy i sal dużych na znacznej przestrzeni, jak np. w Bilczu na Podolu. Jaskinie były najpierwotniejszą siedzibą człowieka. A więc w jaskiniach znajdują

¹⁾ *Bibliothèque orientale*, II, Paris 1872, p. 201 i nast.

się najstarożytniejsze wyroby rąk ludzkich: okazy ceramiczne, kości zwierzęce do użytku zastosowane, broń i wyroby rozmaite z krzemienia i kamienia.

Przy roszadaniu skał, kopaniu rowów, nadto często w szczybach gór gliniastych lub piaszczystych, działaniem wód, po wiosennych wylewach działywanych, znajdują się nadzwyczajnej wielkości kości i zęby zwierząt olbrzymich: niedźwiedzia jaskiniowego, mamuta, mastodonta, jelenia i innych zwierząt wygasłych, które troskliwie zachowywać potrzeba dla nauki.

Największą uwagę zwracać na siebie powinny stacye przedhistoryczne, które przechowały najstarożytniejsze ślady pobytu człowieka na ziemi. Stacye te znajdują się najczęściej na wybrzeżach rzek lub jezior, w wydmach piaszczystych, na których na samej prawie powierzchni znaleźć można mnóstwo okrzesków krzemiennych. Przy obrabianiu rozmaitych narzędzi porzuconych, wśród nich są uszkodzone mniej więcej ostrza strzał, siekierki, noże, skrobaczki, heble i t. p. Rozpoznać je łatwo z samego kształtu.

Wynalezienie takich stacyi przedhistorycznych ma nader doniosłe znaczenie, świadczą one bowiem o miejscu zamieszkania człowieka pierwotnego i dlatego gdzie tylko znajdzie się taka stacya, można być pewnym, że w bliźszości jest i *grodzisko* albo nadwodne mieszkanie, a zawsze cmentarzysko pogańskie.

Kraj nasz przepiękny jest grodziskami, na Rusi nazywanemi *horodyszczami*. Do tego rodzaju zabytków należą także: *tyńce*, *tyny*, *tyniny*, tak samo oznaczające gród, miejsce ogrodzone. Wszelkie ogrodzenie do dziś dnia w niektórych okolicach nazywają tyńcem albo tyńcem. Grodziska i tyńce dalekiej sięgają przeszłości i mają jednakie znaczenie, chociaż zdarza się, że blisko siebie położone, jedno nazywa się grodziskiem, drugie tyńcem; jak pod Krakowem góra warowna, gdzie później stanął klasztor Benedyktynów zowie się Tyńcem, a tuż za nią od strony Skawiny, na południe od ruin klasztoru i wioski, góra do dziś dnia przechowywała nazwisko „Grodziska.”

Tak więc grodziska, horodyszcz, a od nich powstałe Horodnice, Horodce, Horodki i t. p., należą do najdawniejszych osad. Są to właśnie wyniosłości, na których ludzie w bardzo dalekiej przeszłości, wyszedłszy z jaskiń osiedlać się zaczęli. Na wierzchołku, w lepiance z gliny, kamieni lub chróstu wzniesionej, mieszkał zwierzchnik rodu, patriarchy pokolenia, oraz starszyzna i ich rodziny. Zarazem było punkt zborny dla narad *wieczowych*, dla modłów i ofiar składanych bogom.

Grodziska te były u nas zawiązkiem grodów, zamków, siedliszcz, dworzyszcz. Wiele miast, miasteczek i wsi do dni naszych przechowały nazwisko grodzisk, albo horodyszcz, horodków i tym podobnych.

Mamy już dowody, że i w naszych stronach ludzie na wodach mieszkali. Ślady mieszkań nawodnych znajdujemy albo w jeziorach istniejących, albo też w oddawna znikłych i zbiegiem wieków w torfo-

wiska zamienionych. Mieszkania te sięgają czasów starożytnych, kiedy człowiek wyszedł z jaskiń i szukał przytułku na powierzchni ziemi: obierał sobie siedzibę na wodzie, bo woda broniła go od napaści wroga i drapieżnych zwierząt.

Ponieważ budowle te trwały przez tysiące lat, w epokach: kamienną, brązową i żelazną, przeto odszukują w nich, na dnie jezior lub torfowisk, wyroby gliniane, kamienne i krzemienne, bursztynowe, szklane, żelazne i inne.

Autor rozróżnia dwa rodzaje budowli nawodnych: pałowy i pokładowy. Zwraca nadto uwagę na nazwiska starożytnych osad, gajów, niw, jezior, przypominających to lub owo bóstwo bałwochwalczych Słowian; na fundacje kościołów, które się odnoszą do pierwszych wieków wprowadzenia do nas Chrześcijaństwa.

Do zabytków przedhistorycznych należą także wały, szańce, szlaki wojenne, wędrownie i handlowe.

Tak prelegent wyliczywszy wszystkie prawie ważniejsze zabytki, jakie na ziemi naszej z czasów pierwotnych ocalały, jakie wznosił i zdziałał człowiek przedhistoryczny dla życia i potrzeb swoich w miarę własnego uzdolnienia; drugi odczyt poświęcił wspomnieniu pracy żyjących ku czci zmarłych i ich zacnym chęciom, przekazania najdalszym pokoleniom pamięci swych ojców.

Przechodzi przeto szczegółowo: mogiły, kurhany, grobowiska i cmentarze pogańskie, kryjące szczęty pierwotnych mieszkańców tej ziemi.

Autor badając długo a starannie te zabytki, w corocznych niemal wycieczkach naukowych, jakie przedsięwziął w Galicyi z polecenia komisji archeologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie, wskazuje i opisuje szczegółowo rozmaite zabytki grobowisk, czyto w kształcie sypanych mogił i kurhanów, czy w odnalezionych grobach kamiennych, które w kilku miejscowościach odkrył i zbadał. Wykład to wielce zajmujący, pokazuje, że w czasach bardzo odległych grzebano trupy i palono na stosach. Pierwsze wskazują pozostałe szkielety, drugie urny z popiołami. Opisuje szczegółowo, jakie zgromadzono wiadomości po dokonanych odkryciach, po rozkopaniu mnóstwa mogił i kurhanów, jakie w nich zabytki odnaleziono, oprócz szkieletów i popiołów; rozróżnia rozmaite gatunki urn, z których osobliwie twarzowe, zwracają szczególną uwagę badacza. Podaje sposoby wydobywania ich bez uszkodzenia z mogił, kurhanów i nasypisk ziemnych. Wskazówki te są wielce pożądane, bo brak wprawy przy wydobywaniu glinianych urn, mnóstwo tego rodzaju pamiątek zniszczyło.

Odczyty te oznajmiły słuchaczy z przedmiotem dla nich obcym, a tyle obchodzącym naukę. Teraz każdy pilniejszy zwracać nie przestanie uwagi na miejscowości, mogące przechowywać tego rodzaju pamiątki z epoki przedhistorycznej; może nawet niejednego zachęcić do poszukiwań w swojej okolicy cennych zabytków, które zapadła przeszłość matce-ziemi powierzyła dla późniejszych pokoleń. Objasnienia te

i wskazówki, jakie prelegent podał, uważamy za korzystne w rozwoju badań archeologicznych, nauce młodej, która jednakże badaczom dziejów może oddać wielkie usługi. R.

Rocznik kółek rolniczo-włościańskich w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. (Poznań. Drukiem i nakładem I. J. Kraszewskiego i dr. W. Łebskiego, 1879. W 8-ce, str. 149).

Piąty rok upływa od założenia tych *Kółek*, i piąty obecnie wyszedł *Rocznik*, obejmujący szczegółowe sprawozdanie o ich działalności. Piękna myśl przewodniczyła ich zawiązaniu, albowiem mają za cel główny rozszerzanie między ludem wiadomości do ulepszenia gospodarstw włościańskich, polepszenia przez to dobrobytu najliczniejszej warstwie społecznej, obok tego niepuszczała z baczenia i uwagi, podniesienia poziomu umysłowego ludu wiejskiego. Wspominaliśmy już o tém, mówiąc o tomie IV tego wydawnictwa. Teraz widzimy, że ze skromnego zawiązku tych stowarzyszeń rolniczych, rozrosły się pomyślnie kółka w szerszych rozmiarach. Obecnie Wielkie Księstwo Poznańskie liczy już 120 takich *Kółek*, w których przeważny udział bierze lud wiejski, i to nietylko w zgromadzaniu się ochotnym na zebrania powołany, ale sam w nich występując jużto ustnie już piśmiennie. Pocieszający tego dowód mamy w zgromadzeniu Kółka w Hakle powiatu Wyrzyskiego, na którym włościanie mieli opracowane odczyty, w których przebijają się pewność zdania i znajomość rzeczy.

Wprawdzie wykazują się w różnych okolicach i ujemne strony, w zaniedbaniu zbierania się ochotnego na zgromadzenia *Kółek*, nieprzyrowadzania na nie przez ojców swoich już dorostków, niechęć do ubezpieczenia się od klęski pożaru, ale powoli złe ustępuje a ochota wzrasta coraz większa. Wpływ tu przeważny wywiera inteligencja miejscowa. Gdzie są dziedzice na folwarkach, lub dzierżawcy, gorliwsi, tam i lud garnie się ochoczo; gdzie oziębli i niedbali, tam daremnie ze strony samych włościan szukać poparcia. Na czele każdego Kółka jest prezes albo patron, który niém kieruje. Pomędzy prezesami znajdujemy i samychże włościan, którzy czuwają nad ich rozwojem, zagajają posiedzenia i prowadzą dyskusye całego zgromadzenia.

Z początku szło oporem wykazywanie potrzeby dobrej uprawy gleby, i zasilania odpowiednim nawozem roli; ale gdy się z pojedynczych przykładów przekonano o bujnym plonie, a tém samym i korzyściach, włościanie rzucili się do sztucznych nawozów i sprowadzają niemną ilość superfosfatu ¹⁾, widząc że ziarna zbierają z jednej morgi więcej trzy szefle, ci, co nim zasilili swoje zagony.

¹⁾ W r. 1878 sprowadzili włościanie superfosfatu centnarów 6025.

Złączą się z Kółkami wystawy płodów rolniczych po powiatach, błogo oddziaływając na ludność wiejską, zagrzewaniem do uprawy starszej nietylko zbóż kłosowych, ale warzyw i roślin pastewnych. Nie mały wpływ wywierają odwiedziny gospodarstw wzorowych, w których włościanin na gruncie bierze przekonanie o korzyściach, jakie odniesie biorąc się sam do dobrego ich naśladownictwa.

Że się włościanie za przewodem Kółek garną umiejętnie do podniesienia swych małych gospodarstw, pocieszające się w tym kierunku dążenia, już okazały i objawy. Na wystawach włościańskich urządzonych przez Towarzystwa Rolnicze niemieckie, którym rząd zapomogi daje, polscy chłopcy z Kórnika i Żnina najpierwsze otrzymali nagrody. Kółka rolnicze podają sposobność do wydobycia ukrytych zdolności, one wyrabiają ludzi do samodzielnej pracy. Już jest z włościan kilku prezesów, sekretarzy Kółek, a nawet prelegentów; załować potrzeba, że p. patron w sprawozdaniu swoim na walnym zebraniu delegatów Kółek rolniczo-włościańskich, pomieszczonym na czele tomu V *Rocznika*, imiennie ich nie podał do powszechnej wiadomości. Takie zjawiska należy podnosić usilnie, a jednostkom pojawiającym oddać hołd powinny. Pomyślano także o zaprowadzeniu rachunków gospodarczych, starając się wpoić przekonanie, że skrupulatnie utrzymywane rejestra są nieodzownym warunkiem rolniczego postępu.

Chociaż lud się garnie do pomienionych Kółek, nie wszędzie doznaje poparcia i zachęty od właścicieli ziemskich, którzy przyjęli na siebie obowiązek przewodniczenia w takich. Jakoś zatracili pamięć że to obywatelskie najpiękniejsze zadanie, że to apostołstwo, w rozszerzaniu wiedzy i oświaty pomiędzy ludem wiejskim: wpajanie w nich zdrowych zasad społecznych, w rozwoju cywilizacyjnym, że to sposób najskuteczniejszy uchronienia warstwy najliczniejszej ludności, od zgubnych podszepków, dążących do przewrotu ustroju społecznego. Nie wszędzie lud tak jest szczęśliwy, że we własnym gronie znaleźć może gospodarza, mogącego pełnić obowiązki prezesa: jak ma to miejsce w Opokach. Potrafił on zamiłowanie do uczęszczania na zebrania utrwalić, i chociaż w okolicy brak większych właścicieli ziemskich, to członkowie z pod słomianej strzechy czują się szczęśliwi, gdy na zebrania się schodzą, bo „choć mało nauki, to zawsze coś wejdzie w głowę i w niej zostanie.” Tak się wyrażają wiejscy członkowie niepiśmienni nawet.

P. M. Jackowski na walnym zebraniu Centralnego Towarzystwa Rolniczego, złożył szczegółowe sprawozdanie o „stanie Kółek rolniczo-włościańskich.” Sam biorąc w nich przeważny udział, i energicznie je podtrzymując, przekonany o potrzebie ich rozwoju, a wielkiego pożytku dla rolniczego ludu, maluje nam w tym sprawozdaniu, stan Kółek włościańskich i strony ujemne, wykazując otwarcie prawdę, że nierozrastają się jak zamierzano pierwotnie, i jak usiłowano następnie.

„Bez względu (mówi p. Jackowski) jakie owoce dotąd Kółka wydały, zapał stygnąć, wytwałość słabnąć i rwać się zaczyna. Już w ro-

ku zeszyłem skargę mą na obojętność obywateli zaniesioną przed Walne Zebranie, zakończyłem słowy: „Daj Boże! abym w roku przyszłym tę pocieszającą mógł przynieść wiadomość, że udział w Kółkach stał się ogólnym.” Rok minął! a ja téj wiadomości nie przynoszę: obojętność rozbiła nasze oczekiwanie. Weźcie panowie *Rocznik* do ręki, a dowiecie się jak skargi i narzekania na brak udziału sfer światlejszych i możniejszych, ciągną się jedném pasmem przez wszystkie niemal sprawozdania. Na 120 Kółek, dziesięć tylko wspierają obywatele, resztę sami prezesi prowadzą, niektórzy nawet dwóm Kółkom przewodniczą. Dziwić się nie można jeśli opadają ludziom ręce gdy pomyślą, że cały trud nie przyniesie owocu, gdy nie będzie ich komu zastąpić. Bo i na kogoż liczyć mają, jeżeli inicjatorowie, sami w krótkim usuwają się przeciągu czasu. Jeśli wódz nie stanie na czele swój chorągwi, to i szeregowcom dziwić się nie można, gdy pójdą w rozsypkę.” Lekceważenie to dla sprawy ogólnego dobra srodze dotyka szanownego sprawozdawcę, i już nie w ogólnikach, ale szczegółowo palcem wytyka powiat Odolanowski, w którym jest pięć Kółek, do których: „ani jeden obywatel nienależy.” W innych powiatach chociaż nie w tym stopniu, wszędzie jednak, brak poparcia czuć się daje. Widzimy z boleścią że obojętność obywateli ziemian większych własności, zgubnie na tak piękną instytucję podniesienia rolnictwa i oświaty pomiędzy ludem oddziaływa. Postępowanie panów ziemian zasługuje na najsurowsze skarcenie, przed trybunałem opinii publicznej, bo to jest przemieszczenie dla najważniejszych obowiązków obywatelskich. Lud sam więcęj poczuwa się do tych obowiązków, i gdzie prezesami są włościanie, obojętności żadnej niema, gorliwość w pracy wzrasta, i byt tych Kółek zapewniony.

W zakończeniu swego sprawozdania p. Jackowski wyraża:

„Upadek kółek byłby dla nas ciężką klęską: arterye organizmu naszego rolniczego podcięteby zostały. Uniknąć możemy jój tylko, jeśli opinia publiczna postawi *Kółka rolnicze*, w pierwszym rzędzie instytucji społecznych, jeśli będzie czuwać nad ich powodzeniem, jeżeli ogółom ziemian za obowiązek obywatelski położy należenie do *Kółek* i pracowania w nich.”

Wdzięczni jesteśmy szanownemu sprawozdawcy za szczerą i opartą na doświadczeniu obraz stanu *Kółek rolniczo-włościańskich*. Z jednej strony przekonani o ich ważności, może znajdują poparcie i u nas, coby wpływ nie miały wywarło na podniesienie dobrobytu włościańskiego, z drugiej znajdujemy jakoby przestrogi, unikania obojętności w tak godnej poparcia sprawie, która przez to, nietylko że postępować nie może, ale chwije się w swoim rozwinięciu i zagraża upadkiem

W dalszym ciągu *Rocznika* mamy sprawozdań 120, o każdym Kółku, nadesłanych przez ich prezesów. Z nich odbija, w jednych większa działalność, w innych ospałość w działaniu, i brak energii. Smutne

te objawy—coraz gęściej przewijają się w kółkach, gdzie niedokładają ręki ziemianie szlachta, właściciele większych posiadłości. W.

Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1878. We Lwowie, w Drukarni Zakładu narodowego Im. Ossolińskich 1878. r. (w 8-ce str. 70).

Wedle dobrego zwyczaju, zarząd tego Zakładu narodowego, na publicznem posiedzeniu zdaje rok rocznie sprawozdanie z czynności jego w ciągu upłynionego czasu, i takowe drukiem ogłasza, które szerszemu kołu czytelników podaje wiadomość o działalności, tak ważnej dla nas instytucji naukowej.

W d. 12 października 1878 r. odbyło się we Lwowie publiczne posiedzenie, które zagał kurator literacki Kazimierz hr. Krasicki, a następnie odczytano szczegółowe sprawozdanie. Z niego widzimy, że gorliwość obywateli galicyjskich w pomnażaniu zbiorów pomienionego Zakładu nie ustaje; że liczba użytkujących z bogactw jego duchowych co rok się pomnaża, szerząc światło i wiedzę: że literaci znajdują niemałą pomoc w korzystaniu z ksiąg i rękopismów, do których mają wstęp otwarty: że wostatku majątek Zakładu, hojną ręką założyciela na utrzymanie i rozwój jego pozostawiony, sumiennie strzeżony, nietylko na żaden uszczerbek narażonym nie został, ale się powiększa dobrą administracją i troskliwą oszczędnością.

Spis darów, który większą połowę wydanego sprawozdania zajmuje, wyszczególnia wzbogacenie biblioteki w księgach i rękopismach, zbiory zaś, w monety i medale, obrazy i ryciny, oraz muzeum w pamiątki i zabytki narodowe. Po odczytaniu *sprawozdania*, dyrektor Zakładu dr. Wojciech Kętrzyński mówił o Zbigniewie Ossolińskim wojewodzie sandomirskim, którego *pamiętnik* z rękopismu równocześnie drukował. W przedmowie wydawca objaśnia, że Zakład narodowy ogłaszając zabytki piśmiennicze, które Ossolińscy po sobie zostawili, Zakład noszący ich imię, spełnia akt wdzięczności względem swego fundatora. W rokueszłym Zakład wydał Autobiografię Jerzego Ossolińskiego. Czy znajdzie się więcej zabytków godnych druku po tój zasłużonej rodzinie, nie wiemy: dr. W. Kętrzyński, w zwięzłej biografii Zbigniewa przedstawia nam go w dokładnych zarysach jako obywatela kraju, uzupełniając dołączony do sprawozdania jego *pamiętnik*.

Obie te publikacye chociaż w drobnych rozmiarach, są przyczynkiem pożądanym: *sprawozdanie* do dziejów działalności i rozwoju samego *Zakładu*, *pamiętnik* zaś dorzuci nie jeden szczegół do dziejów z końca XVI stulecia.

R.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1879 r.— Wystawa na rzecz rodziny ś. p. Tegazza, w miesiącach maju i czerwcu r. b. otwartą została w pałacu Brühlowskim w Warszawie. Ś. p. Tegazzo, artysta sumienny i pracowity, zakończył żywot w sile męskiego wieku, pozostawiwszy wdowę i drobne sieroty, bez żadnego zasobu. Towarzysze jego w sztuce, przez ten sposób pragnęli mu choć po zgonie wyjawić swoją miłość braterską i współczucie. Zgromadzili przeto na pomienioną wystawę celniejsze dzieła malarstwa ostatniej doby, nie pomijając i dawniejszych z okresu Simulewicza i Bacciarellego. Znalazły się przeto drogocenne zabytki krajowej sztuki, będące ozdobą prywatnych zbiorów. Tak widzieliśmy rzadkie prace olejne i otówkowe Aleksandra Orłowskiego, oraz już z naszego okresu: Breslauera, Antoniego Brodowskiego, Leonarda Straszynskiego i wielu innych. Współtowarzysze zmarłego na korzyść wdowy i sierot po zmarłym artyście, ofiarowali nadto utwory swego pędzla, które miały być przez licytacją sprzedane. Licytacja ta odbyła się w miejscu wystawy i przyniosła ogólną sumę około 4,000 rubli wraz z dochodem z wejścia. Tak cel szlachetny szczęśliwie osiągniętym został, rodzina pozostała otrzymała pokaźny zasiłek, a wdzięczność należy się tym, którzy się tą zacną sprawą gorąco i gorliwie zajęli.

— Nakładem Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie wyszła z ciągu powieści historycznych VIII, J. I. Kraszewskiego: *Stach z Konar*, w IV tomach, z czasów Kazimierza Sprawiedliwego.

— Ukazał się tom X wydania jubileuszowego J. I. Kraszewskiego wyboru pism, obejmujący pierwszą część powieści *Sfinks*. Braknie już tylko pięciu tomów do ukończenia całości, które wedle zapowiedzi wydawcy, ma obejmować tomów XV i wyjść przed dniem jubileuszu, t. j. przed 30 września r. b.

— Na polu badań etnograficznych, od lat kilkunastu stoi samotny badacz i muzyk Oskar Kolberg, od roku do roku przypominający się coraz nowemi w tej gałęzi pracami. Z młodziej generacji pomocników w tym kierunku nie widzimy, dlatego nie z tąoną pociechą zapisujemy tu nowego współpracownika w osobie p. Władysława Dębskiego, ziemianina z okolic Mławy, który przeświadczony o znaczeniu naukowym badań etnograficznych, przygotował do druku zbiór pieśni ludu dawniej ziemi Zawkrzeńskiej, z najbliższych okolic miast: Mławy i Szreńska, odwiecznych siedzib Mazowszan.

Zbliżony do ludu rolniczego, wtajemniczony w jego zwyczaj i obyczaj, zajął się spisaniem jego pieśni i potrafił zgromadzić około stu pieśni dotąd śpiewanych. Okolice te, blizkie granic Prus, przez naśladownictwo niedalekich sąsiadów, ulegając ich wpływowi, coraz więcej tracą wybitne cechy swoje w obyczaju i zwyczajach. Po uwłaszczeniu go ziemia, jakby się wstydził dawnego chłopskiego ubrania, granatowe swoje sukmany zamienia na szlacheckie, jak je nazywa *paltosy*; kaftany zaś niemieckie zastępują u kobiet rodzinne dawne kabaty i tołuby. Przeobrażenie szybko następuje, ten tylko u nich do zamożniejszych się liczy, kto w nowym stroju wystąpić może.

„Tyś biedny, mówią tu do włościanina siermięgowego, to noś sobie sukmanę; ja mogę wdziać surdut i szlachecki paltos.”

Są, chociaż w mniejszej liczbie, zwolennicy dawnego obyczaju i ubrania; to też, gdy przed kościołem w niedziele i święta zgromadzą się liczniej i wtedy ukazują się ochotnie przestrojeni po szlachecku, żartując sobie z nich mówią: „Wej! wej! patrzajcie go, wypaltosił się bestya, gdyby pon!”

Autor podzielił swój zbiorek na dwie części. Pierwszą stanowią zebrane w okolicach Mławy, stolicy dawnej ziemi Zawskrzeńskiej; drugą z okolic Szreńska. Różnią się od siebie głównie melodyą, która w okolicach Mławy bywa bardziej rzewna, w okolicach zaś Szreńska więcej skoczna i ochocza. Życzyłoby należało, ażeby szanowny autor uzupełnił tę pracę opisem obchodów i obrzędów wioskowych, których brak właśnie, jakkolwiek pieśni weselne przywodzi, a zarazem sposobu zabudowań gospodarczych, ich urządzeń wewnętrznych i dochowanego stylu architektonicznego, w chatach, stodołach, oborach i t. p. budowlach; dołączył podania i powieści, bez których świat wioskowy nigdy się nie obchodzi, oraz opisał naczynia i sprzęty, jakich używa do użytku domowego i w gospodarstwie roluém. Wszystko to są dla etnografii pożądane szczegóły.

Wzór do tego ma już gotowy w wydanych pracach O. Kolberga. Lubo w pomienionym zbiorze wiele jest znanych i już spisanych, znajdujemy obok tego zupełnie nowe i w żadnym zbiorze pieśni ludowych nie pomieszczone. Z téj wiązki pieśni przytoczymy jedną rzewną: *Pieśń sieroty*.

Przy dworeczku, przy płoteczku
Małowany słupek;
Tam drożyna idzie bokiem,
Śpieszy dziewczę szybkim krokiem,
Na swój matki grób.

Matko! leżysz i nic nie wiesz:
Ojciec nie jest sam;
Gdybyś wstała z grobu swego,
Ujrzałaś coś nowego:
Ja macochę mam.

Druga matka łaje, bije,
 Tylko z ojcem dobrze żyje,
 Bóg najlepší wié.
 Mnie na świecie biéda gniecie:
 Zabierz, matko, mnie!
 Z każdą wiosną, kwiatki rosna,
 Barwią matki grób;
 Dobrze tobie, matko, w grobie:
 Zrób mi miejsce tu, przy sobie:
 Zrób mi, matko! zrób!

— Dnia 10 czerwca r. b. odkryto grobowiec ś. p. dr. Polikarpa Girsztowta w kościele Ś-go Krzyża w Warszawie, który padł pod nożem mordercy.

Pomnik ten wykonany z piaskowca przez artystę rzeźbiarza Kazimierza Ostrowskiego, ma wysokości stóp 14, szeroki u podstawy stóp ośm. Wypukłorzeźba przedstawia naturalnej wielkości postać *Hygeę* opartą o *columbarium*, w którym mieści się popiersie zmarłego; pod nim umieszczono te wymowne słowa:

„*Fryzjacielowi uczącej się młodzieży.*”

Poniżej napis: „Polikarpowi Girsztowtowi Doktorowi Medycyny, Profesorowi Chirurgii w b. Medycznej Akademii w b. Szkole Głównej i w Uniwersytecie Warszawskim, Założycielowi i Redaktorowi *Gazety Lekarskiej*, którego serce tu spoczywa, Lekarze i Aptekarze w dowód czci tę pamiątkę kładą.

Urodził się na Zmujdzi dnia 15 Lutego 1827 r. we wsi Hryniskizki w pow. Rosieńskim. Zmarł w Warszawie 12 Listopada 1877 r. ugodzony mordercy ręką.”

— Adam Asnyk piszący pod pseudonimem El...y'ego, jeden z pierwszych naszych żyjących poetów po Kornelu Ujejskim, rzadko się odzywa, każdy przecież jego utwór odznacza się świeżością myśli, formą artystyczną i prawdziwie poetycznym natchnieniem. Dziennik *Echo* podał nam nowy jego wiersz p. n. *Baśń Tęczowa*, który w całości podajemy.

Od kolebki biegła za mną
 Czarodziejska baśń tęczowa,
 I szeptała wciąż do ucha
 Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
 Z cichych gawęd mych piastunek,
 Spała ze mną, na mych ustach
 Kładąco we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
 I wraz ze mną ciągle rosła,
 I z kołyski na swych skrzydłach
 W jakiś dziwny świat mnie niosła...

Po nad morza purpurowe,
 Po nad srebrne niosła rzeki;
 Po zwodzonym moście tęczy
 W cudowności świat daleki...
 Otworzyła mi zakłębionym
 Brylantowy w skałach parów—
 I wkroczyła raz na zawsze
 W kraj olbrzymów, widm i czarów;
 I zamknęły za mną wrota
 Jakieś wróżki czy boginie,
 Więc na całą życia kolęj
 Szedłem błądzić w tej krainie.
 W tej krainie, w której wszystko
 Ożywioną bierze postać,
 W której każdy głaz ma duszę
 I człowiekiem pragnie zostać...
 Złotolistnym szedłem gajem,
 Gdzie się wszystko skrzy i złoci;
 Gdzie zakwita skryty w cieniu
 Tajemniczy kwiat paproci;
 Szedłem gajem, gdzie dokoła
 Śpiewające szumią drzewa,
 Gdzie młodości wiecznej źródło
 Czyste wody swe rozlewa;
 I witały mnie po drodze
 Rozmarzone oczy kwiatów,
 Co patrzyły tak wymownie
 W niezmierną przestrzeń światów,
 I witały ludzkim głosem
 Różnobarwnych ptasząt chóry,
 Ukazując dalszą drogę
 Nad przepaści brzeg ponury.
 Ja słuchałem śpiewnej wróżby,
 I z ożywczej pitem fali,
 I w głąb dzikszej coraz puszczy
 Niestrwożony szedłem dalej.
 Próżno groźne widma straszą,
 Próżno kłęby gadzin syczą,
 Biegłem naprzód zapatrzony
 W jakąś jasność tajemniczą;
 I przebyłem czarne puszcze,
 I spienionych wód odmęty,
 I stanąłem u stóp góry
 Prostopadle na dół świętej.
 Na jój szczycie błyszczał zamek,
 Kryształowy gmach olbrzyma,

Co zaklęciem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.
Przed zamczyskiem stoją smoki,
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną;
Swe spiżowe jeżąc luski
Bronią skarbu zaklętego,
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak mimo czujnej straży
Jam ją ujrzał na skał szczytce,
I odgadłem, że tu przybył,
Aby dla niej oddać życie.

Miała gwiazdę na swém czole,
Pod nogami sierp księżycy;
Błękit niebios w swoich oczach,
I aniołów cudne lica;

I odrazu swém spojrzaniem
Zaszczepiła miłość w duszę—
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnać się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królowny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwytać ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty—
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: „Za nią! za nią!
„Idźcie gonić, o, rycerze!

„Idźcie pięć się w górę, w górę!
Po nad ciemnych skał krawędzie;
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiedzie.

„Choć nie dojdzie—choć padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza ośłatka życia
W takiej walce i pogoni.

„Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu,
Warto płacąc krwią i bolem
Wejść w krainę ideału.

„Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi,
Za tą piękną na błękiecie!”

— *Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych*, w zastosowaniu się do ustawy Towarzystwa, na posiedzeniach swych z dnia 21 kwietnia (3 maja) i 26 maja (7 czerwca) r. b. odbytych, postanowił ogłosić i niniejszém ogłasza następujące konkursy: malarzski, architektoniczny i dwa rzeźbiarskie, z których jeden z nagrodą z funduszu pochodzącego z zapisu ś. p. hr. Stanisława Szczęsnego Kossakowskiego:

Temata: *a)* na konkurs malarzski: Obraz olejny, przedstawiający znalezienie soli przez św. Kunegundę, wykończony według wymagań sztuki; wysokość figury pierwszoplanowej wynosić ma 18 cali. Obraz zostaje własnością autora.

b) Na konkurs architektoniczny: Szkic do projektu budowy gmachu w rodzaju Atheneum, składającego się z pomieszczenia dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Muzeum przemysłowego i Towarzystwa muzycznego.

Budowa zaprojektowaną być ma w granicach placu prostokątnego 100—120 łokci obszernego, ze wszystkich stron otwartego. Główny front, wschodni, długi 100 łokci, przylega do ulicy szerokiej 60 łokci, prawy front północny 120 łokci długi, do ulicy szerokiej 50 łokci, lewy front 120 łokci długi, południowy, wychodzi na obszerny skwer, tylny zaś, zachodni, 100 łokci długi na aleję starych dużych drzew, 25 łokci szeroką.

Budowla powinna mieć charakter gmachu publicznego i może być jedno lub dwupiętrowa w całości lub części.

Żądane są pomieszczenia główne następujące: 1) dla Towarzystwa Sztuk Pięknych:

Vestibul z kontramarkarnią, schody główne, sala wystawy rzeźb lub wielkich obrazów, około 1,200 łokci kwadratowych obszerna, pomieszczona na parterze z oświetleniem górném, kilka mniejszych sal na rzeźbę i architekturę, kilka sal v. galerii malarstwa, razem około 2,000 łokci kwadratowych, sala rysunkowa, pomieszczenie dla komitetu, kancelaryi, biblioteki i mieszkania kustosa.

2) Dla Muzeum przemysłowego:

Vestibul z kontramarkarnią, schody główne, kilka sal na Muzeum, razem około 2,500 łokci kwadratowych mających, sala odczytów publicznych około 1,000 łokci kwadratowych, kancelarya, biblioteka i mieszkanie kustosa.

3) Dla Towarzystwa muzycznego:

Obszerny vestibul z odpowiednią kontramarkarnią, schody główne, sala koncertów publicznych około 2,000 łokci kwadratowych obszerna z odpowiednimi galeryami, kilka salonów do zebrań codziennych, podręczny, kancelarya, lokal komitetu, biblioteka i mieszkanie sekretarza.

Oprócz tego na parterze żądany jest lokal na pierwszorzędną café-restaurant z ułatwioną komunikacją z trzema wymienionymi działami gmachu.

Suteryny pomieszczą przynależności zakładu restauracyjnego, mieszkanie woźnych i stróżów, składy opału i inne t. p.

Wybór stylu, materiałów budowlanych, rodzaju konstrukcyi, systemów ogrzania, odpowiednie rozmieszczenie, względnie do danej miejscowości lokalności wymienionych, jako też rozwinięcie programu co do szczegółów (oprócz części wskazanych) inianowicie komunikacyi schodów podrzędnych, miejsc ustępowych, dziedzińca, bram przejazdowych, podjazdów i t. p., pozostawia się projektującym.

Szkic ma być sporządzony na skalę 7 łokci w calu i obejmować plany wszystkich pięter, najmniej dwie elewacye i dwa przecięcia.

Główna jednak elewacya i główne przecięcia winny być wykonane na skalę 3½ łokcia w calu.

Wykończenie mniejsze lub większe od szkicu ołówkowego do akwareli, pozostawia się woli konkurujących.

e) Na konkursu rzeźbiarskie: 1) Statuetka w gipsie, przedstawiająca Wita Stwosza, wysokość figury cali 24. 2) Statuetka w gipsie, przedstawiająca Chrystusa zmartwychwstałego, wysokość figury cali 24.

Nagrody: autorowie prac konkursowych uznanych przez komitet Towarzystwa za najlepsze z liczby przyjętych do konkursu, jako odpowiadających podanym warunkom, otrzymują następujące nagrody: 1) za obraz olejny rs. dwieście, 2) za projekt architektoniczny rs. trzysta, 3) za rzeźbę na temat pierwszy rs. dwieście, 4) za rzeźbę na temat drugi rs. dwieście dwadzieścia siedm.

Termin złożenia prac konkursowych na powyższe temata wyznaczony zostaje na dzień 19 (31) grudnia r. b.

Ocena prac konkursowych i wydanie nagród, niezwłocznie potem dopełnione będą.

Koszta przesyłki i zwrotu dzieł konkursowych należą do autorów.

Dzieła konkursowe zostawać mają na wystawie Towarzystwa w ciągu dwóch tygodni, nieodebrane zaś z wystawy w ciągu sześciu miesięcy przechodzą na własność Towarzystwa.

Autorowie dzieł nagrodzonych obowiązani są złożyć do zbiorów Towarzystwa fotograficzne kopie takowych.

Do dzieł konkursowego dołączoną być winna opieczętowana koperta z nazwiskiem, imieniem i dokładnym adresem autora. Koperta tym samym znakiem co dzieło konkursowe ma być opatrzoną.

Pokwitowanie z odbioru dzieł konkursowych udziela kustosz wystawy Towarzystwa.

W zastępstwie vice-prezesa Towarzystwa *F. Sobański*.

P. o. sekretarza komitetu *Ign. Kosmowski*.

— Jeden z pierwszych artystów naszych, odwiedzając koleżę swego po piórze, przy rozpatrywaniu się różnym zabytkom archeologicznym w mieszkaniu tego ostatniego, dostrzegł i rozpoznał obraz bardzo dawny, olejny, dwu wiekowej przeszłości, który nieodgadniony dotąd przez posiadających go, przedstawia popiersie *Stanisława Żółkiewskiego*, hetmana wielkiego koronnego, poległego, jak wiadomo, pod Cecorą dnia 6 października 1620 roku. Ówczesny nieznanany dotąd malarz, biegłym pędzlem wyobraża hetmana w sile męskiego wieku, okrytego delią hetmańską, spiętą kłamrą ozdobną. Wszystkie zaś cechy téj pamiątki przez znakomitego artystę dopatrzone, dowodzą przekonująco, że obraz ten był z natury zdjęty, że przez to jest wielce szanownym zabytkiem, przedstawiającym w naturalnej wielkości oblicze bohatera polskiego.

Taką wiadomość podaje nam Aleksander Wejnert pracowity badacz starożytności Warszawy. Po bliższém wyszukaniu dawniejszych posiadaczy tego wizerunku, biegłym pędzlem oddającego oblicze wielkiego hetmana, bliższe szczegóły téj pamiątki cennej podamy.

— *Pielgrzymka do Ziemi świętej* Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, w pierwotnym oryginale po polsku napisana, wyszła w przekładzie rosyjskim p. t.: *Pochożdenije w Ziemli Swiatuju Kniazia Radziwiłła, w 1578 i 1584 godach*. Praca ta ma stanowić dodatek do XV tomu Roczników Towarzystwa geograficznego w Petersburgu.

— W pismach naszych codziennych czytamy ważny i zajmujący artykuł księcia Michała Ogińskiego, w którym wymownie a przekonująco, staje w obronie rasy koni żmujdzkich, i zachęca do hodowania jój w czystej krwi, jako godnej téj troskliwości. Sam jako obywatel żmujdzki i hodowca rasy żmujdzkiej, najlepiej zna jój zalety i wartość.

— W Moskwie wychodzi staraniem pp. Ławrowa i Fedotowa przekład dzieł poetycznych Wład. Syrokomli. Z tego zbiorowego wydawnictwa wyboru poezyi litewskiego lirnika ukazał się tom pierwszy. PP. wydawcy w przedmowie wyrażają swe przekonania: „że poznanie i zrozumienie poezyi narodu, z którym zblizenie się jest pożądane, ma bardzo ważne znaczenie.” Mamy w udatnym przekładzie *Deboroga*, *Janka Cmentarnika*, i *Starostę Kopanickiego*. Opowiadanie o *Filipie z konopi*, i wybór drobniejszych poezyi. W następnych tomach ukazać się mają *Margier* i inne. Całość ma dać dokładnie poznać talent naszego poety. Tłómaczyli te utwory Syrokomli pp. Minajew, Palmina, Piotrowski, Meja i Wajuberg.

— Dr. Aleksander Brüchuer docent gramatyki porównawczej języków słowiańskich na uniwersytecie Lwowskim, otrzymał na konkursie z funduszu księcia Jabłonowskiego w Lipsku nagrodę 700 marek, wyznaczoną na rok 1878 za rozprawę na temat: *Zestawienie dających*

się dokładnie udowodnić słowiańskich nazw miejscowości w dzisiejszym cesarstwie Niemieckim.

— Dnia 11 czerwca r. b. w Krakowie odbyła się uroczystość konsekracji ks. Albina Dunajewskiego na biskupa. Starożytna Jagiellonów stolica, już od wielu lat nie była świadkiem tak wspaniałego obchodu, który nabrał tém większej powagi, że asystował mu nuncyusz papieżki. Po ceremonii religijnej w kościele Panny Maryi, nuncyusz udzielił ludowi z polecenia papieżkiego, otrzymanego drogą telegraficzną, błogosławieństwo apostolskie. O godzinie jedenastej z rana wyruszyła procesya instalacyjna z kościoła Panny Maryi do katedry na Wawel, gdzie nowokonsekrowany biskup w infule z pastorałem, błogosławiąc obecnym, przybył w progi katedry i zasiadł na tronie swoim biskupim.

Wieczorem miasto zapłonęło świetną illuminacją. Stary gród wrzał niezwykłym życiem. Nazajutrz pierwszą Mszę ks. biskup odprowadził w kościele PP. Wizytek, gdzie przez lat kilkanaście sprawował obowiązki kapelana.

— *Czy potrzebny nowy teatr w Krakowie?* Pod takim napisem wyszła wielce zajmująca broszura w Krakowie (1879 r., w 8-ce, str. 114). Złożyli się na nią dwóch pisarzy: Wł. L. Anczyc znany autor dramatyczny i zdolny pisarz, oraz Walery Rzewuski obywatel i radny miasta Krakowa, z powodu, że dyskusya żywa w pomienionej radzie powstała, co „budować wprzód: teatr czy wodociągi?” a to ze względu na stan majątkowy starego grodu. Jeżeli Anczyc wymownie przedstawia znaczenie, wpływ i cel teatru na społeczeństwo, biorąc za godko piękny czworowiersz J. N. Kamińskiego twórcy teatru we Lwowie, i strażnika pilnego sceny polskiej w Galicyi:

„Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,
Kto częściej zabawy szuka tu powodu;
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu.”

zamyka piękną swą rozprawę przerażającemi okazami pożarów różnych teatrów w Europie i Ameryce, a zarazem klęsk i śmierci, których się stały powodem. Teatr krakowski z powodu swój budowy zacieśnionej i bogaty w materyał palny, mógłby się stać powodem pożogi miasta i zgonu wielu obywateli.

P. W. Rzewuski, ze stanowiska tylko ekonomicznego wychodząc, zaleca budowę teatru przed wodociągami, i popiera swój wniosek silnemi dowodami, nie tak łatwemi do zbiccia, lub usunięcia. Każdy czytelnik bezwątpienia wezwany o danie głosu w tej sprawie, najchętniej przechyli się do wniosków radcy Rzewuskiego: tak są bowiem jasno i gruntownie postawione, że niepodobna z tegoż stanowiska innego sądu wydać. Zyczyć należy, ażeby sprawa ta jak najrychlej rozstrzygniętą została, czego się spodziewać można przy energicznym zarządzie dr. Zybkiewiczza, jako prezydenta miasta Krakowa.

— Z drzeworytni czasopisma wiedeńskiego Heimath, odznaczającymi się ślicznie wykonywanymi rycinami, wyszedł nakładem znaney firmy artystycznej Józefa Bermann'a, piękny portret zasłużonego księgarza lwowskiego Karola Wilda. Naczelnik domu od lat stu istniejącego we Lwowie, Karol Wild, za świadectwem Estrejchera, „pierwszego płaćić po 4,000 złp. za tom niewielki dzieł naukowych, co nie było dotąd praktykowane, z wyjątkiem nakładu na dzieła Mickiewicza i Wincentego Pola; nie szczędził nakładu za prace pożyteczne dla kraju, jak Szajnoch, Ujejskiego, Szujskiego, Tatomira“ i t. p.

— W Gdańsku, w kaplicy zwaney *królewską*, odkryty został portret *Jana Sobieskiego*, malowany w r. 1677, w czasie pobytu monarchy w tém mieście, przez słynnego naówczas malarza Adolfa Schutze. Portret dochowany dobrze. Głowa króla pięknie modelowana, technika wyborna, a co najważniejsza, że portret ten niewątpliwie, najwierniejsze przedstawia podobieństwo króla bohatera.

— *Dziennik ludowy pomorzański*, jeszcze w r. 1846 wydrukował wiadomość o wspaniałym pojeździe króla Jana Sobieskiego; obecnie dzienniki niemieckie powtarzają takową:

„Kiedy król polski, Jan Sobieski, wyswobodził Wiedeń w dniu 12 września 1683 r. od Turków, oblegających to miasto, odbył swój wjazd tryumfalny w drogocennój karocy. Na prośbę pewnego kościoła czeskiego ofiarowano mu ją na własność.

Podczas siedmioletniej wojny, pruski generał v. Kleist, wóz tryumfalny króla Jana III uwiózł z Czech razem z innymi zdobyczami wojennymi i przechował go w swojej lennej majątności Raddacz, w pobliżu Nowego Szczecina (Neustettin).

Czescy mnisi zwrócili się do Fryderyka Wielkiego z prośbą, o zwrot kosztownej pamiątki, co im téż przyrzeczonem zostało.

v. Kleist, dowiedziawszy się o takiem postanowieniu króla, wpadł na wykretny pomysł zatrzymania swojej zdobyczy; rozkazał tedy karocę przepiłować na pół: dolną część w miejscowym kościele umieścić jako ambonę, górną zaś jako baldachim nad nią i w ten sposób powstała oryginalna pamiątkowa ambona. Dowiedziawszy się Fryderyk o tak szlachetnym użytkowaniu powozu, zwycięzcy pod Wiedniem, rozkazał pozostawić go w tém miejscu, gdzie się dotychczas jeszcze znajduje.”

— Król włoski Humbert, J. I. Kraszewskiego mianował wielkim oficerem orderu Korony włoskiej i nadał mu gwiazdy tego orderu. Z polecenia tego monarchy, kanclerz orderów włoskich Correnti, przestał zarazem list następujący do naszego pisarza:

Rzym, 31 maja 1879 r.

Dostojny panie!

„Król Jegomość, wielki mistrz przestawnego Zakonu korony włoskiej, do którego już należysz, szanowny Panie, jako komandor,

chciał dać Wam świetniejsze jeszcze świadectwo swój przychylności, mianując Was wielkim oficerem tegoż orderu.

„Mam zaszczyt przesać JW Panu, wraz z dyplomem Waszój nominacji, godła nowego stopnia, na jaki wyniesiony zostałeś i załączam najszczerze moje powińszowanie nowego dowodu troskliwości, z jaką JK Mość śledzi rozwój licznych prac Waszych, które imieniu Waszemu zdobyły tak zaszczytne stanowisko w dziejach tegoczesnego piśmienictwa.”

Najwyżchliwszy

Cezary Correnti.

— Serbski tygodnik *Vienac*, wychodzący w Zagrzebiu, zamieścił piękny portret Matejki, z krótkim, lecz trafnie skreślonym artykułem objaśniającym. W *Svietozorze* prazkim zamieszczono artystycznie wykonany portret J. I. Kraszewskiego z sumienném ocenieniem zawodu pisarskiego, znakomitego autora *Sfinks*a. Obecnie *Humoristické Listy*, tygodnik polityczno-humorystyczny, wychodzący w Pradze, dał bardzo podobny portret Henryka Siemiradzkiego w dużym formacie. W artykuliku do tego portretu między innemi powiedziano: „Polacy mają szczęście; nie tylko we wszystkich zakresach sztuki, w poezyi, muzyce, plastyce, posiadają wielkie talenta, lecz te talenta pozyskują też powszechnie uznanie poza granicami kraju swego, w szerokim świecie ukształconym. Grotger, Matejko, Siemiradzki stanowią trójliście malarzów historycznych, a każdy z osobna listek stanowi sam w sobie odrębną całość. Artur Grotger zbyt wczesnie przez śmierć porwany, jest w każdym rysunku swoim poetą elegijnym, Jeremiaszem przenikającym serce dziełami swémi; Jan Matejko już w swoim *Rejtanie* dał się poznać jako malarz dramatyczny; Henryk Siemiradzki po raz pierwszy stanął przed nami z pracą swoją, a już brzmi wyrok: wielki malarz, wytrawny historyk. Jego *Pochodnie Nerona*, wzbudziły w Pradze największy podziw, a dzień w dzień pielgrzymują do nich coraz nowe tłumy ludu. Siemiradzki *jest Rzymianinem*.”

— W korespondencji *Gazety Polskiej* z Pragi Czeskiej czytamy: Dnia 21 czerwca r. b. przedstawiono *Mazepę*, dramt J. Słowackiego w przekładzie p. Hovozka, w celu powiększenia funduszu na postawienie domu dla akademików. W dzień przedstawienia trudno już było bilet dostać, bo też udział publiczności był ogromny. Wszystkie miejsca były zapełnione, i cała publika składała się z lepszej warstwy tutejszego społeczeństwa. Był więc i rektor uniwersytetu prof. Streng, wielu innych profesorów, dalej p. Fr. L. Rygier, Sładkowski, znany i wielce lubiony powieściopisarz Neruda, profesor języka polskiego p. Kolar i wiele innych osób, którzy swą bytnością zaszczytili ten wieczór. Bo też i wykonanie było bardzo dobre. Główne role grali najlepsi artyści. Amelię p. Sklenarowa, Mazepę p. Seiferd, króla p. Szymanowski, wojewodę grał p. Kolar. Role były dobrze wystudowane i wszyscy z zapamiętaniem grali, choć były i usterki; szczególnie p. Sładkow w roli Zbi-

gniewa często się zająkował, widocznie nieumiejąc dobrze swój roli. Ubiory były wszystkie nowe, a co więcej historyczne, i na przepychu, jak w ubiorach tak i w wystawie niezbywało. Przed rozpoczęciem przedstawienia odegrana była uwertura z „Romeo i Julja“ Czajkowskiego, ale mało kogo potrafiła zachwycić. Zato mazurek z „Życie za Cara“ Glinki i polonez z „Halki“ ogólnie zyskał sobie brawa. Publiczność od początku do końca okazywała swoje zadowolenie, a przy końcu piątego aktu brawom niebyło końca—ba! jeszcze z ulicy długo można było słyszeć uporcezywe wywoływania artystów, zasługujących w zupełności na oddawane im pochwały. Jaki gorący udział miała publiczność w całym przedstawieniu, dość może pokazać suma 835 reńskich, czyli dochód z sobotniego przedstawienia. Przedstawienie to było nie-małej wagi pod tym względem, że obecnie dyrekcya teatru, widząc, jakie powodzenie miała ostatnia sztuka nasza u publiczności, nie będzie robiła trudności w przedstawieniu jeszcze innych dzieł naszych; będzie więc możebne w krótkim czasie coś nowego na scenę czeską wystawić. Wiem, że robią się starania o wystawienie „Kiejstuta“ Asnyka, przetłómaczonego przez p. Klikę. W ogóle kóiko przyjaciół naszej literatury coraz się powiększa; daj Boże, aby to tak dalej trwało, a stosunki przyjazne między Polakami i Czechami, aby się coraz nowe zawiązywały, a dawne utrwały. W krótkim czasie wyjdzie Słowacki w przekładzie p. Mokrego i Bohdan Zaleski w przekładzie p. Pokornego, a o ile mogę ten przekład ocenić, zdaje się, że zadowolni wszystkich. Jeden z najmłodszych poetów czeskich, znany już tutaj z tłómaczeń polskich poetów najnowszej doby, jako to: Asnyka, Chamca, Tarnowskiego, zakończył już prawie cały przekład dzieł Krasińskiego: i takowy w księgarni p. Otto wkrótce się ukaże. Jednym słowem, zyskujemy coraz nowych przyjaciół, szkoda tylko, że u nas w kraju tak mało się Czechami i ich literaturą zajmują, bo dotąd ten prąd przyjazny wieje tylko od Czechów, z naszej strony, nic o nim nie słyhać.

— Czytelnicy, ciekawi postępów psychologii porównawczej, z zapalem powitać winni dzieło: *Uzucie koloru, jego początki i rozwój* (*The Color-Sense; its Origin and Development, au Essay in Comparative Psychology*) p. Granta Allen. Londyn, Trübner 1879 r. Autor tej pracy stoi na gruncie darwinistycznym, ale poglądy swoje na rozwój funkcyi psychicznych wypowiada tak trzeźwo, tak malowniczo, z taką ich spójnością, pomimo bogactwa analitycznego, że nawet przeciwnicy tego obozu muszą uszanować metodę, choćby jej wyników nie podzielali. Grant Allen rozpoczyna od faktów fizycznych światła i barwy.

I tu jednak autor upatruje jeszcze pośrednie punkta: pomiędzy poczuciem światła a poczuciem koloru, uważa on jako pośredniczące: wrażenie ciemności. Dopiero na tém pierwotném, elementarném jeszcze sprzeciwieństwie (wrażeń światła i wrżeń ciemności), wykluc się mogło przy stopniowym biegu funkcyi psychicznych, poczucie barwy.

I tu, naturalnie, nie obeszło się bez przywołania na posiłki teorii *wyboru*. Wykształcenie uczucia barwy jest, podług autora, wynikiem wprawy organów barwo-jemnych (*the employment of the colour-percipient structures*). Ciągłe wprawy tego rodzaju, mówi p. Allen, w wyszukiwaniu pożywienia u zwierząt trawo-żernych i owocami żyjących, prowadzą ostatecznie do wzmocnienia tych organów, a następnie do rozwinięcia towarzyszącej temu procesowi rozkoszy. Ta rozkosz objawia się w formie zamitowania do barwy. Zamitowanie podobne spostrzegamy w wielu gatunkach. Objawia się ono już to w wyborze pożywienia o barwach jaskrawych, już to w ogólném upodobaniu do przedmiotów świetnych, ale przedewszystkiém w pćciowym wyborze współnika o jasnych barwach. Temuto właśnie popędowi winniśmy powstanie pięknych barw motyli, ptaków i wielu innych zwierząt.

Fizyologicznego, a raczej fizykalnego pochodzenia uczucia barwy, p. Grant Allen dowodzić chce nawet filologicznie. Podług niego nazwy pojedynczych barw, pochodzą ze źródła czysto-konkretnego (różowy, fiołkowy, zielony). *Historyczność* znowu tego uczucia autor widzi dotykalne na nadziejach kultury. Podług p. Allen, Homer nie znał barwy zielonćj i błękitnćj (?). I dlatego p. Allen upomina się o urządzenie badań wśród ludów w stanie pierwotnym zostających, t. j. odsuniętych od owćj kultury, którćj środkiem była kotlina morza Śródziemnego i wyśledzeniem osiągniętego przez nich stopnia uczucia kolorów. Na te i tym podobne rysy, *mechanizujące* zanadto proces najpiękniejszćj ze sprężyn psychicznych, a biorące proces za samę jego substancją, na zasadowe poglądy p. G. Allena, nie każdy się zgodzi, to pewno, ale, zamykając książkę z wykrzykiem: „nie pozwalam,” przyznać musi, że ją czytał z natężeniem i szczerem zajęciem.

— I. Frohschammer. *Monady i Fantazya Światów Monadeu und weltphantasie*. Monachium 1879. Profesor Frohschammer znany ze swoich zajęć z obrońcami tradycyi, jeszcze w roku 1863 z powodu gromu, jaki rzucono na niego z najwyższych sfer tćj tradycyi, wypowiedział był odczyt p. t. *prawa filozofii nowożytnćj w obec Scholastyki* (Monachium 1863 C. Staht). W obecnćj książce nasz filozof podaje przyczynek do swego dzieła „Fantazya jako zasadniczy czynnik w procesie świata.” Jest to jedna z owych teorii Szelingowskich, którą w różnych czasach w różnym ukazywała się kroju, a którą najwymowniej i najwydatniej przedstawił Herman Fichte, w swójćj antropologii. Podług prof. Frohschammera, w zjawisku mamy dualizm: formę i materią, t. j. treść daną i siłę twórczą, albo inaczej: pierwiastek kształtujący. Natura jest tu artystą, i to artystą plastycznym, tworzącym bez świadomości. Takiem jest zadanie pierwszćj części jego dzieła. Drugą część poświęca ocenie monadologii Leibnitsa i Herbarta, a następnie krytyce stanowisk Hermana Fichtego, Carriera i innych.

— Spencer Walpole *Historja Anglii (A History of England from the Conclusion of the Great War in 1815)* od końca wielkiej wojny w 1815 r. tom I i II. Londyn 1879 Longmans.

Dzieło nadzwyczaj ważne tak jakościowo, jak ilościowo. Przed głównym cyklem dziejów Anglii (od r. 1815), autor podaje obszerny zarys historii Anglo-Europejskiej okresu poprzedniego, szczególniejsz zatrzymując się na wielkiej wojnie rewolucyjnej i jej wpływie na Anglię. Maluje on nadzwyczajny wzrost przemysłu i handlu angielskiego, podczas owiej wojny, oraz przewagę na morzu, pod której osłoną kupcy angielscy wyroby swoje po całej kuli ziemskiej rozwozić mogli. Następnie przedstawia jej stronę ujemną, skutki nadmiaru produkcji i bezpośrednio jego następstwo: zastój w zbyciu, zatrzymanie w biegu fabryk, a wreszcie przy współdziałaniu klęsk nieurodzaju—nędzę i jej zwykłych satelitów: zbrodnie i wstrząśnienia. Dalej, jako następstwo, idzie: upomnienie się większości czynniejszych o głos w sprawach publicznych, wadliwości dotychczasowej reprezentacji, godny politowania obraz zyskiwania krzesel w Izbie niższej, gdzie miejsca szły na sprzedaż, jak „bilety na operę.” Pod naciskiem tedy nowych prądów z jednéj, a tłoczeniem nieubłaganego prawodawstwa z drugiejsz strony, powstał ruch ku reformie wyborczej. Autor daje nam tu wyborną charakterystykę tak ludzi rutyny (*Castelreagh'a*) jak i postępowych (Pitta młodszego) zapatrujących się na zasady Adama Smitha i Jeremiasza Benthama, wprowadzone w dziedzinę prawodawstwa. Niemniej świetnie przedstawiony został ujemny wpływ widma zakałowego na umysły prawodawców angielskich, który spowodował, że to, co po tamtęj stronie kanału zniosło nadużycie, w Anglii je utrwaliło na cały okres. Dopiero samobójcza śmierć Castelreagh'a położyła koniec zastojowi. Była to nietylko śmierć męża, ale i śmierć systemu. Mamy tedy czasy Canning'a, Peela i pół-postępowca a pół-rutynisty: Wellingtona. Obok polityki autor kreśli żywymi farbami i stan literatury za czasów regencyi.

† Dnia 11 maja, we Lwowie zakończył życie ś. p. **Stanisław Kurnasiewicz**, dziennikarz i archeolog. Ogłosił drukiem *Przechadzki archeologiczne po Lwowie. Kilka słów o Rocznikach archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich*, 1872 roku; oraz *O wykopališkach i ich znaczeniu*.

— Dnia 13 czerwca r. b., w Warszawie zakończył życie ś. p. **Kazimierz Rogiński** nauczyciel, rektor gimnazjum i inspektor szkoły handlowej i rzemieślniczo-niedzielnej. Ukochany przez uczącą się młodzież znakomity pedagog, był, jako uczeń dawnego uniwersytetu Warszawskiego najwybitniejszym przedstawicielem patryarchalnego, ojcowskiego stosunku, między nauczycielem i uczniami. Otaczał go też należny, powszechny szacunek za życia, a skon jego wywołał szczerą a serdeczną smutek.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki**.

Wydawca **Józef Berger**.